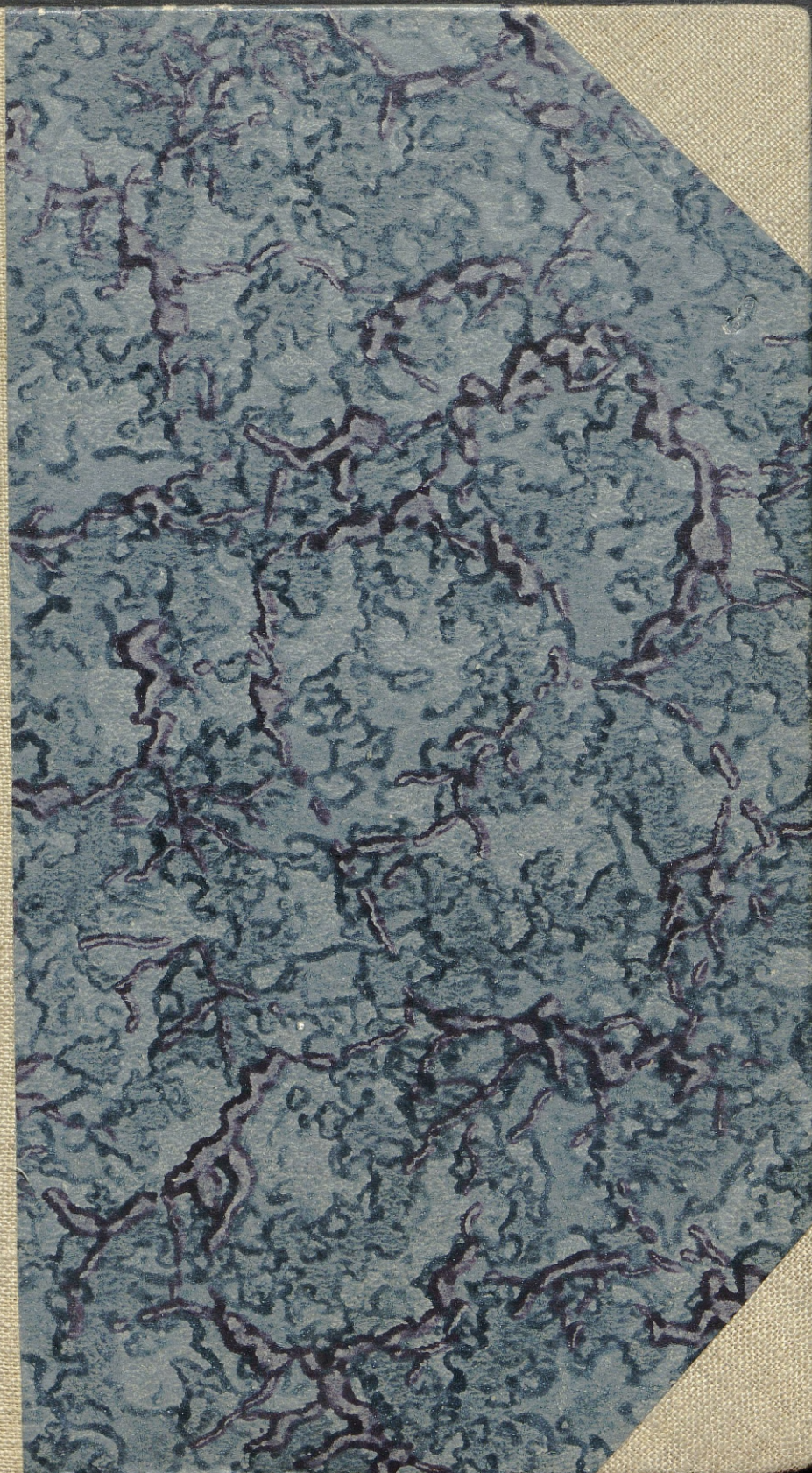
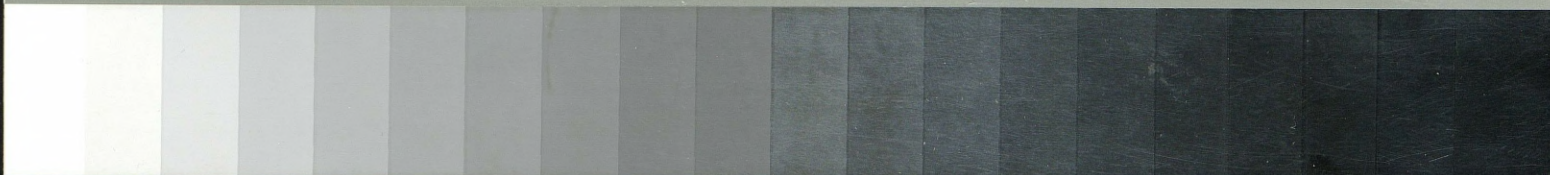


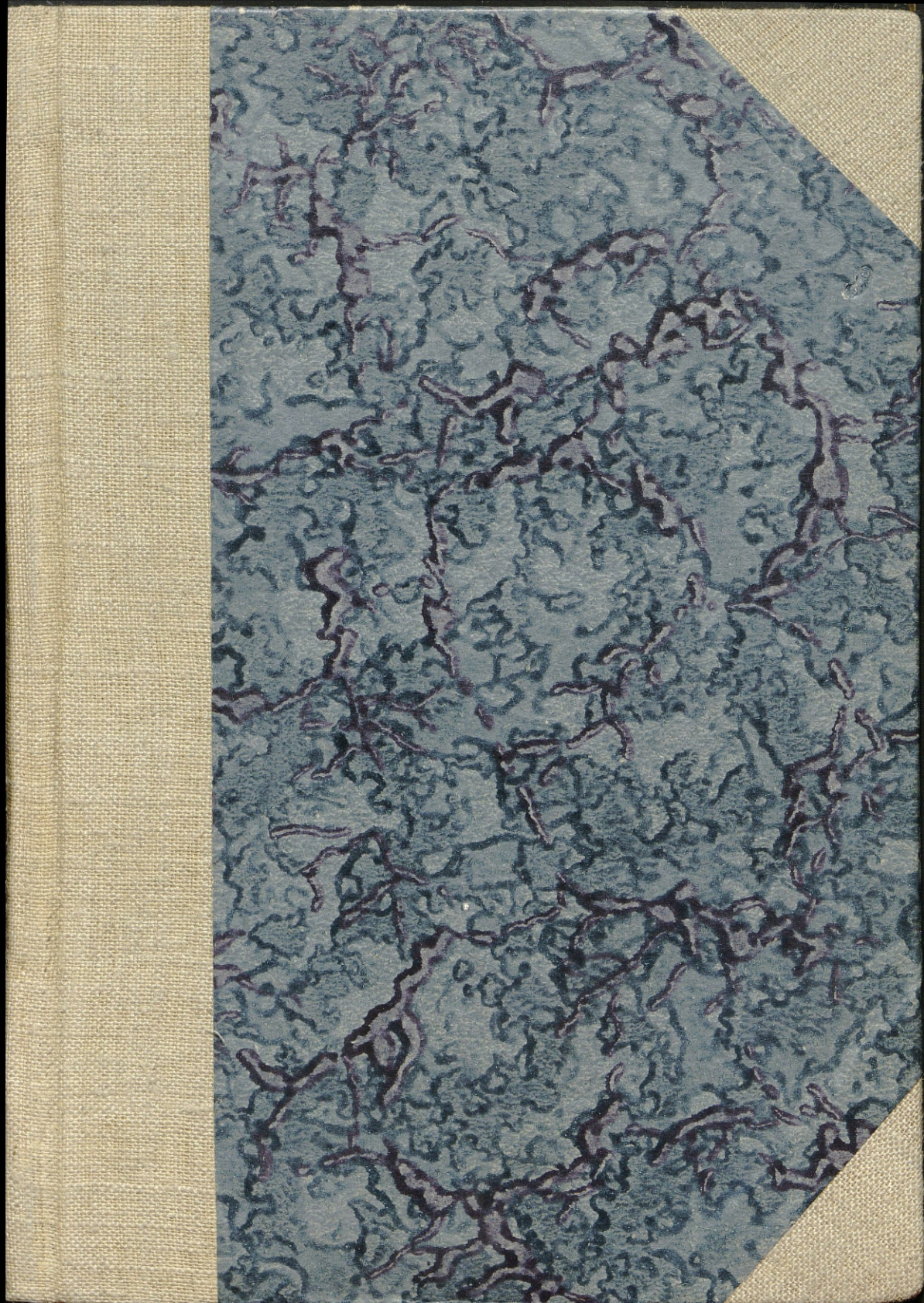
Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





ŻOŁNIERZ-OBYWATEL

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

ŻOŁNIERZ - OBYWATEL

KSIAŻKA O POLSCE DO NAUKI
OBYWATELSKIEJ W ODDZIAŁACH

OPRACOWANA
PRZEZ INSTYTUT OŚWIATY DOROSŁYCH
I WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OŚWIATOWY

1024,

WARSZAWA - 1937

WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OŚWIATOWY

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstell

355.45 (77)

SOLIMERS

OSTY WATKI

WYKAZ OPOWIEŚCI
WYKAZ WYKAZ

32247/2



TŁOCZONO W DRUKARNI OŚWIATOWEJ, WARSZAWA, UL. ŻELAZNA 93

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

Książka, którą Wam, Żołnierze, do rąk dajemy, ma być pomocą w pracy sposobiącej Was do służby Ojczyźnie, zarówno teraz w wojsku, jak i później, gdy znowu staniecie przy swoich warsztatach cywilnych na wsi czy w mieście.

Uważajcie ją za swego przyjaciela i doradcę. Pouczy Was ona o wielkiej naszej Ojczyźnie, o Jej bogactwach i pięknie, o ludzie pracującym dla pomnożenia Jej chwały i potęgi, o Jej dziejach i Jej obecnym rozkwicie.

Dowiecie się z tej książki o wielkich mężach, którzy Ojczyznę naszą w czasach dawnych ku sławie wiedli, i o tych, co w latach niewoli walczyli o wolność dla Polski, aż Ją wreszcie uczynili wolną, wielką i potężną.

Znajdziecie tam też wskazówki, jak macie pracować, jak postępować i co czynić, abyście zasłużyli na miano dobrych żołnierzy i dzielnych obywateli.

Czytajcie więc tę książkę uważnie, kochajcie ją i szanujcie.

Życzę Wam, abyście odnieśli z niej jak największy pożytek — dla dobra i chwały Rzeczypospolitej, której wiernymi żołnierzami jesteście.

LEON WACŁAW KOC

Putkownik dyplomowany

Szef Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego



JÓZEF PIŁSUDSKI

Pierwszy Marszałek Polski, Twórca odrodzonego wojska polskiego



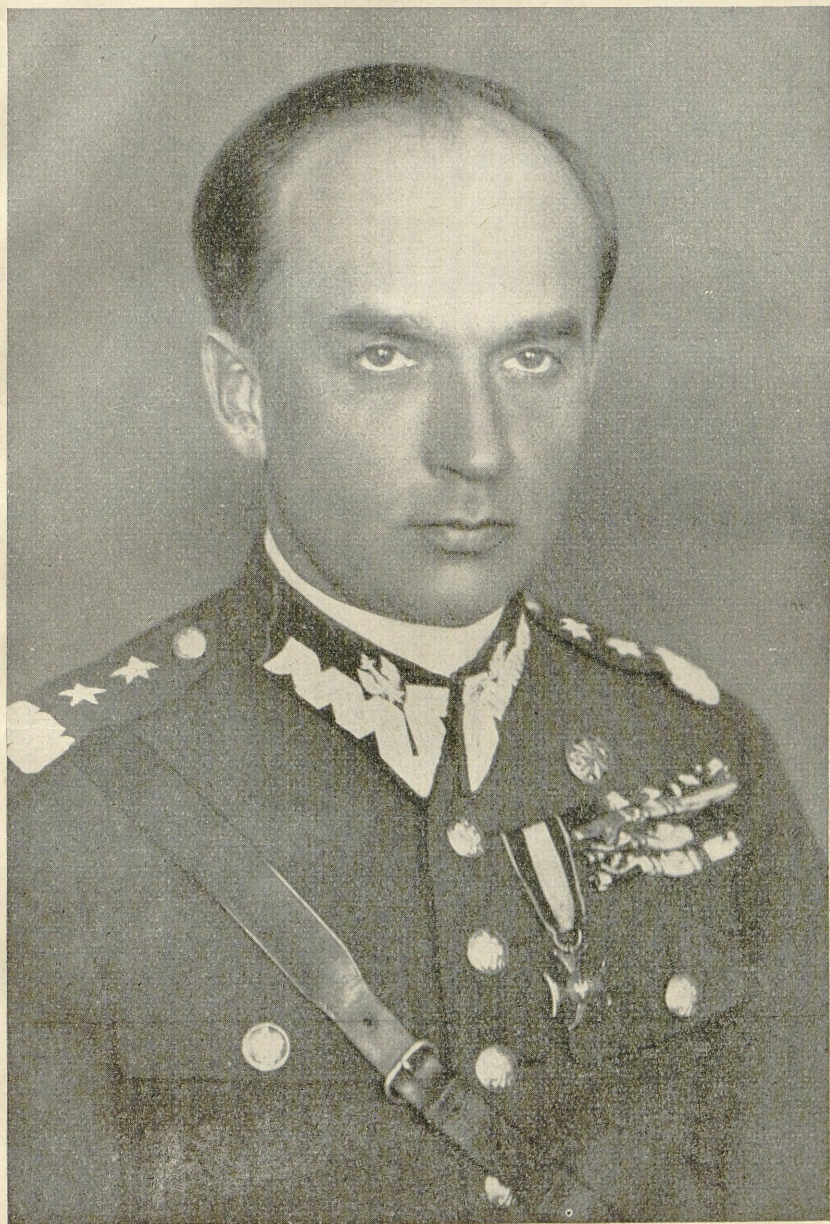
IGNACY MOŚCICKI

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Najwyższy Zwierzchnik Sił Zbrojnych Państwa



EDWARD ŚMIGŁY-RYDZ

Marszałek Polski, Naczelnny Wódz



TADEUSZ KASPRZYCKI

Generał dywizji, Minister Spraw Wojskowych

HYMN NARODOWY

*Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.*

*Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski!
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.*

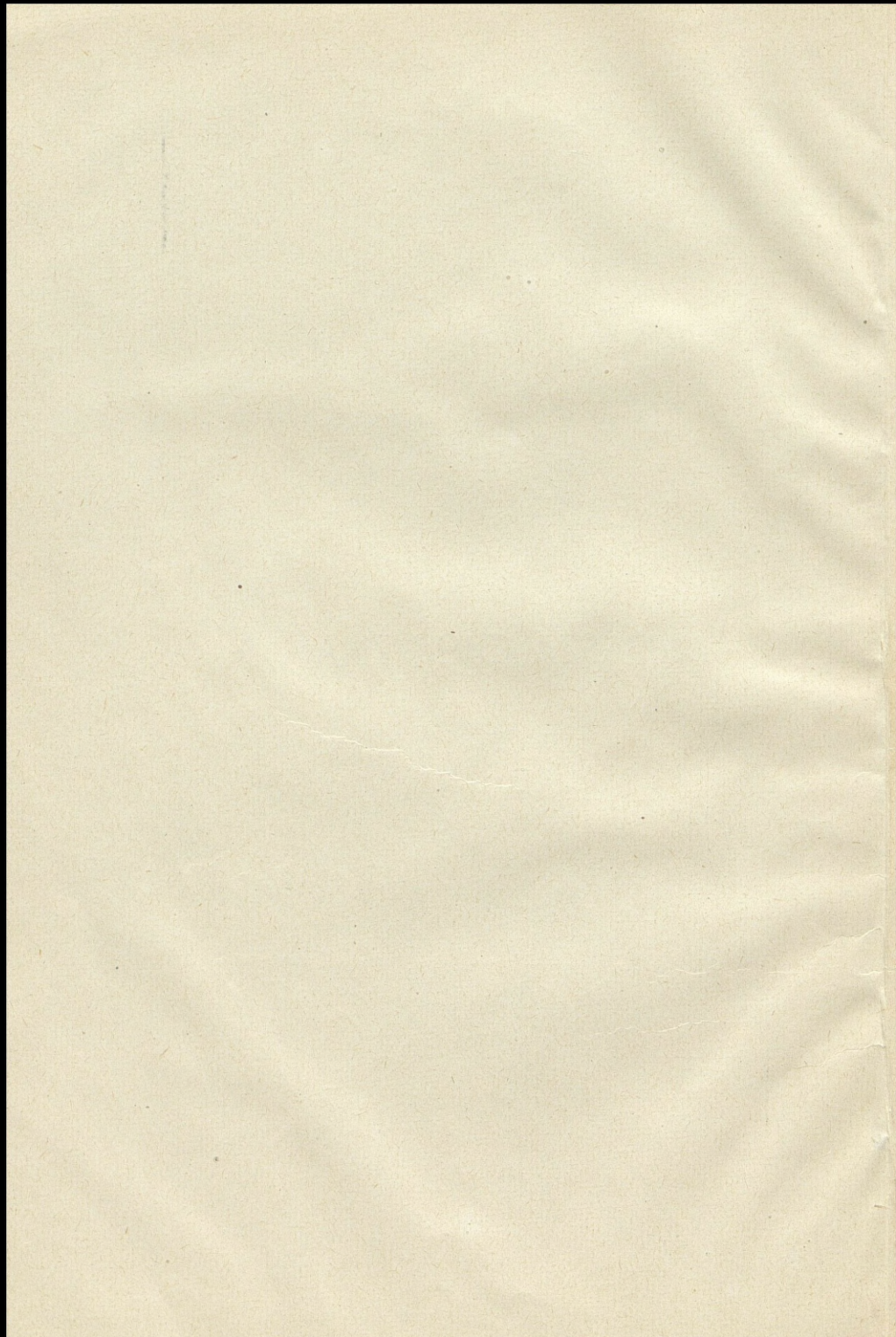
*Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.*

Marsz, marsz, Dąbrowski... i t. d.

*Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze,
Dla Ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.*

Marsz, marsz, Dąbrowski... i t. d.

NASZA OJCZYZNA



KIM JESTEŚMY

W sali koszarowej, jak zwykle o tej porze, odbywa się czyszczenie broni pod okiem pana kaprała. Ale pan kaprał wyszedł. Zrazu szeptem, potem coraz śmiej i głośniejsz zaczyna się rozmowa. To nowy rocznik, jeszcze trochę oszołomiony życiem koszarowym, daje folę udręczonemu sercu.

— Nie wiecie, kiedy to nas do domu na święta puszcza? — ryzykuje pytanie Józiek, trac zawzięcie lufę karabinu.

— Dopiero służba się zaczęła, a on już o urlopie myśli! — zaśmiał się wesoły Bronek.

— Myśleć, to każdy myśli, ale nic nie wymyśli! Jak przyjdzie rozkaz, żeby jechać, to pojedziemy, a jak nie, to nie. A do tej pory nikt nic się nie dowie — odezwał się tonem wyższości Franek Barczak, przewany Profesorem dla swej powagi i czytania.

— A mnie powiadał jeden ze starszego rocznika — zawołał pyzaty, z zadartym nosem Jacek — że pojedziemy na dwie tury: najpierw Polacy, a potem prawosławni!

— Powiedział, co wiedział! Hej chłopcy, jeżeli kto czego nie wie, to jak w dym niech do Jacka Szafranca leci. On wszystko wytłumaczy!

— Cicho do licha! Zaraz nam tu szarżę sprowadzisz lub samego pana szefa! — uciszali żartownisia inni.

— Czekajcie — wtrącił śpiewnym akcentem Marek ze Lwowa, wysoki, cienki na chudych nogach — ja o coś Jacka spytam. Gadałeś, Jacku, że najpierw pojedą Polacy, a potem prawosławni. A jak ja jestem Polakiem ale wyznania grecko-katolickiego, to kiedy ja pojedę?

Jacek podrapał się w głowę.

— A jakże to: Polak i nie rzymsko-katolik — zdziwił się.

A Józiek dodał z przekonaniem:

— Każdy Polak to katolik.

— Wiadomo — podchwycili inni.

— Jakto — zaperzył się Marek — czy to ja nie Polak! Ojciec mój Polak i matka Polka, w domu po polsku mówimy, do polskiej szkoły chodziłem. Mój ojciec bił się z Moskalami o Polskę!

— Nie kłóćcie się — uspokajał Franek Profesor. Nie każdy Polak musi być rzymsko-katolikiem, choć takich jest najwięcej. Na ten przykład Marek i Grzegorz to dobrzy Polacy, choć grecko-katolicy, a w domu u nich tylko po polsku mówią.

— A wiecie wy co! — wtrącił Bronek, odkładając oczyszczony bagniet — Miller, piekarz z naszego miasteczka, co to jego dziad do Polski przywędrował i tylko po niemiecku gadał, to ten Miller, choć luter, ale taki Polak, że innym z niego przykład brać. Sam pięknie po polsku umie i dzieci swoje tak uczy, a w 1918 r. to był pierwszy do rozbrajania Niemców.

— Co tam Niemiec — przemówił znów Franek Profesor — ja czytałem o jednym Żydzie, Berku Joselewiczu, co się za Napoleona o Polskę bił i nawet pułkownikiem został.

— I to Żyd powiadasz?

— A czego się dziwisz? — oburzył się milczący dotąd rudy Heniek Kaczor. — Czy to mało było w 1920 r. ochotników Żydów, co się za Polskę bili! Cały rozum masz pewnie w tych patykach — tu Heniek pokazał z lekceważeniem na Markowe cienkie nogi.

— Oj ta u nas pod Lwowem — wtrącił Marek — tyle Ukraińców jest, co po rusku mówią, to oni wcale Polakami nie są. Ot, Wasyl powiedz, kto ty.

Wasyl małomówny, krępy Rusin, pochłonięty przepychaniem pakuł przez lufę nie od razu odpowiedział:

— Nu, kto ja? Ukrainiec.

— To jak ty nie Polak — zdziwił się znowu pyzaty Jacek — to dlaczego ty w wojsku polskim służysz?

— Oj durny, ty durny — rozgniewał się Franek Profesor — to ty nie wiesz, że każdy musi służbę wojskową odbywać, czy to Polak, Niemiec, czy Ukrainiec?

— Jak ty wiesz, to powiedz, a nie wymyślaj — obraził się Jacek.

No dobrze — złagodniał Profesor — to widzisz tak. W państwie na ten przykład ludzie są jakby w wielkim domu, w kamienicy. Tam każdy może mówić po jakiemu zechce, wiarę każdy mieć może inną i żyć jak chce, byle innym nie szkodził. Każdy płaci komorne, coś niby podatki, a jak remont potrzebny dachu czy schodów, to go rządca (niby rząd) musi kazać zrobić. I dozorcę z tych pieniędzy opłaca, żeby pilnował do-

bytku, a złodziei nie puszczał. A jakby złodzieje czy bandyci napadli na ten dom, to wszyscy go muszą bronić, wszyscy!

— Aj, profesor, prawdziwy profesor! Ty się tu nie uchowasz, ciebie do podchorążówki wezmą — zawołał Bronek.

— I to odrazu na nauczyciela — dodał Józiek.

A rudy Heniek zaczął ich poskramiać.

— Dajcie spokój. Morowo gada. Tylko czy Jacek aby zrozumiał.

Jacek ściągnął swe jasne brwi, zmarszczył czoło i po namyśle odrzekł:

— Na mój rozum biorąc, to jest tak: dlatego wszyscy w Polsce muszą służyć w wojsku, że jakby na nas kto obcy napadł, to wszyscy muszą Polski bronić, tak jak swego domu przed złodziejami.

— Słuchajcie, słuchajcie! Nareszcie od Jacka mądre słowo! W górę go i o ziemię — zawołali koledzy, odkładając karabiny.

Nagle śmiech i gwar się urwał. We drzwiach stanął pan kapral i zawołał:

— No, chłopcy! koniec czyszczenia broni. Za 10 minut zbiórka na wykład.

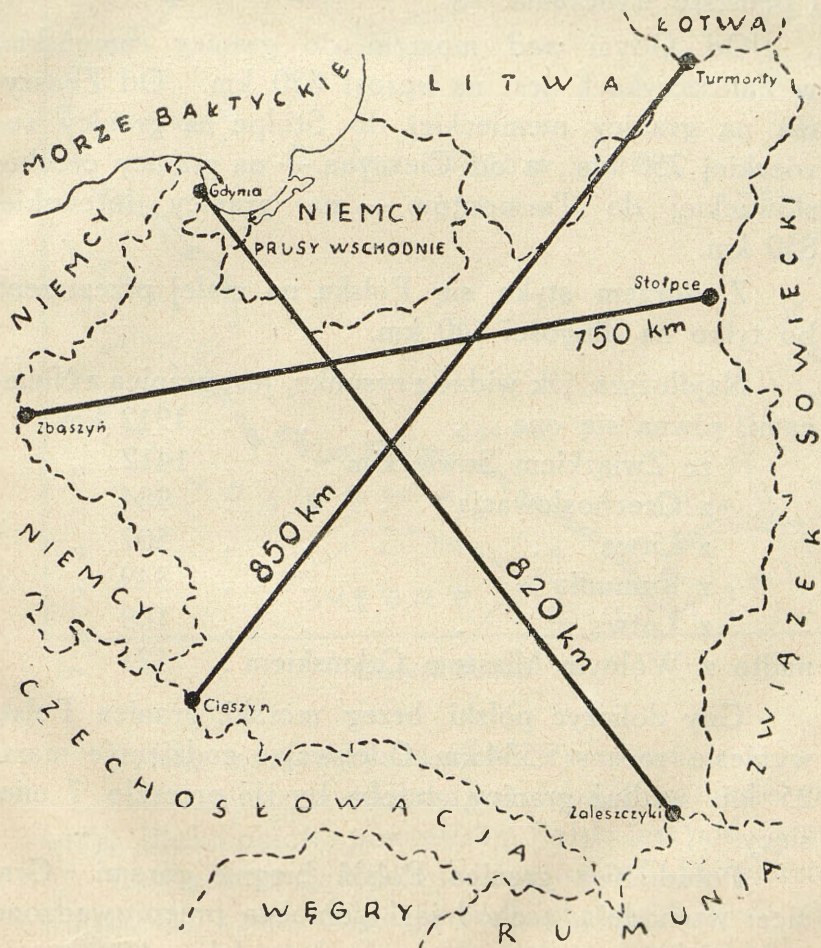
Żołnierz swą pracę pokojową, doskonaląc rzemiosło żołnierskie, dać musi Polsce poczucie, że chwile słabości nie istnieją dla jego Ojczyzny, że wszyscy obywatele kraju spokojnie pracować mogą, nie doznając trwogi i niepokoju, że jakakolwiek pięćdziesiątka ziem ojczyściej stać się może pustynią czy ruiną od najazdu wroga.

Józef Piłsudski

NASZE WIELKIE GOSPODARSTWO – POLSKA

Polska jest duża, rozległa. Są w niej pola uprawne, i lasy, i łąki, i pastwiska, i sady, i ogrody, i jeszcze dość dużo ziemi nie do użytku.

Wszystko to, jeśli zliczyć razem, wynosi 389 tysięcy kilometrów kwadratowych. Gdyby tę ziemię ułożyć



Rozległość Polski.

w jedno pole, to długość jego byłaby tysiąc kilometrów, a szerokość 389 km.

W Europie są większe: Związek Sowiecki, Francja, Hiszpania, Niemcy i Szwecja. Pozostałe państwa — Finlandia, Norwegia, Włochy, Rumunia, Anglia, Czechosłowacja, Łotwa, Litwa są od Polski mniejsze.

Jak duża jest Polska, pokazuje załączony rysunek i poniższe wyliczenia.

Od Gdyni nad morzem do granicy rumuńskiej w Zaleszczykach jest na wprost 820 km. Od Zbąszynia na granicy niemieckiej do Stołpc na granicy sowieckiej 750 km., a od Cieszyńska na granicy czeskiej do Turmontów — na granicy łotewskiej 850 km.

Z morzem styka się Polska na małej przestrzeni, bo tylko na długości 140 km.

Najdłuższa, jak widać z rysunku, jest granica z Niemcami, równa się ona	1912 km
ze Związkiem Sowieckim	1412 „
z Czechosłowacją	984 „
z Litwą	507 „
z Rumunią	349 „
z Łotwą	109 „
nadto z Wolnym Miastem Gdańskiem	121 „

Gdy doliczyć polski brzeg morski, granica Polski wyniesie razem 5.534 km. Odbywając codziennie marsz 25 km wzdłuż granicy, trzeba by iść przeszło 7 miesięcy.

Południowa granica Polski biegnie górami. Granice: wschodnią, zachodnią i północną przeprowadzono rzekami lub wprost przez pola, lasy, łąki i bagna.



Granice Polski.

Polska ma skarby na ziemi i w ziemi.

Najważniejszym skarbem jest gleba, którą ludzie uprawiają. Blisko połowa powierzchni Polski jest pod uprawą.

Lasy pokrywają blisko jedną czwartą ($\frac{1}{4}$) powierzchni Polski, łąki jedną dziesiątą ($\frac{1}{10}$), pastwiska nieco mniej niż łąki; sady i ogrody około jednej setnej ($\frac{1}{100}$) powierzchni Polski.

Pozostała ziemia jest zajęta pod budynki, koleje i inne drogi, lub też pokryta rzekami i jeziorami. Nadto pewna część nie została wyzyskana, stanowiąc nieużytek.

Niema w Polsce w ziemi złota, ani drogich kamieni. Jest natomiast pożyteczniejszy od nich węgiel kamienny, ropa naftowa, воск ziemny, gazy ziemne, kruszce cynku i ołowiu, rudy żelazne, sól zwykła, sole potasowe, fosforowe, węgiel brunatny, torf, różne kamienie budowlane i drogowe, gliny i piasek.

Najważniejszy jest węgiel kamienny. Dzięki niemu poruszają się pociągi, statki, pracują fabryki. Przerobiony na koks węgiel pozwala z rudy żelaznej otrzymać żelazo i stal.

Z ropy naftowej mamy naftę i benzynę.

Sole potasowe i fosforowe są cennymi nawozami sztucznymi.

Cynku wytapia się w Polsce tyle, że znaczne jego ilości wywozi się do innych państw.

Z wapieni wypalamy wapno, z gliny robimy cegłę, dachówkę, dreny; z czystszych odmian gliny wytwarzamy garnki, miski, talerze.

Piasek w hutach szklanych przetapia się na szkło; mieszany z wapnem daje zaprawę murarską.

Polska więc to jakby jedno wielkie gospodarstwo, złożone z wielu drobnych gospodarstw.

Jeśli się dzieje dobrze w małych gospodarstwach, dzieje się dobrze w gospodarstwie całej Polski. Odwrotnie: zła gospodarka lub nieszczęścia wielu drobnych gospodarstw mogą się stać nieszczęściem całej Polski.

PIĘKNO POLSKI

*„Piękna nasza Polska cała,
Piękna, żyzna i niemała.”*

Niemała — ba, nawet duża, pośród państw Europy co do wielkości piąta z kolei. Owe 389.000 km², które liczy sobie obszar naszego państwa, to jest naprawdę niemało.

Żyzna — chociaż nie wszędzie. Miejscami tak nieżyźna, iż zda się niewarto ziarna wrzucać w glebę. Lecz prawie wszędzie przy pracy wyżywia człowieka, a nawet jeszcze daje pewien nadmiar plonów.

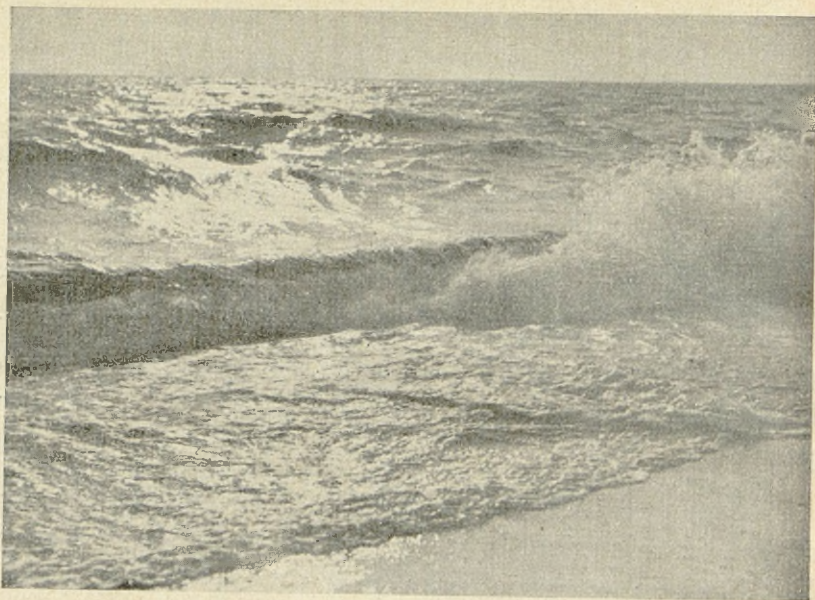
Piękna — jużci bardzo piękna, nawet wówczas, gdy nieżyźna, gdy bagnami i trzęsawiskami pokryta, gdy w czasie powodzi grozi potopem przytulonym do wierzb chałupom.

Gdy kraj swój rodzinny trzeba opuścić i iść w obce, choćby najbogatsze strony, tęskni się do niego.

Bo miłość ojczystej ziemi, to jest coś bardzo dziwnego: tkwi mocno w duszy ludzkiej, a wypowiedzieć się nie daje.

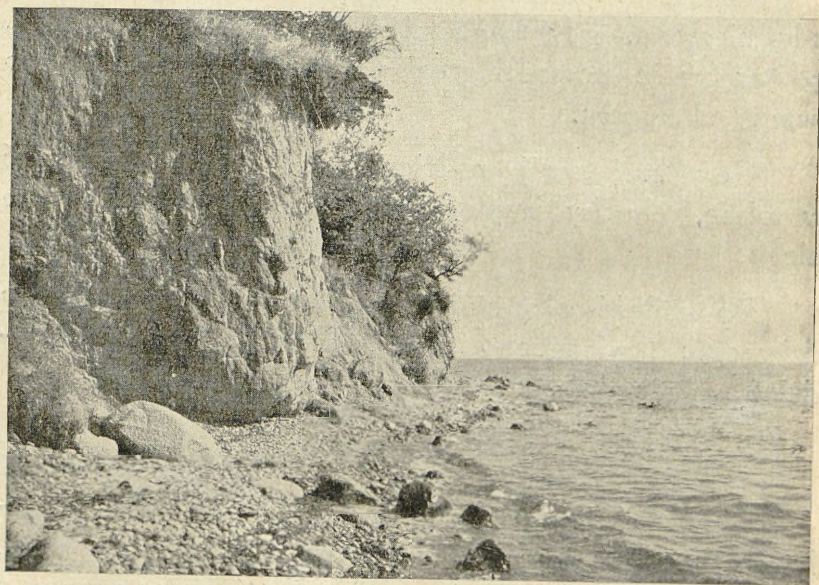
Jesteśmy nad brzegiem morza.

Siny, zielonawy bezmiar wody Bałtyku. Fale z białymi grzywami suną na niski brzeg. Zalewają żółty, czysty piasek, cofają się na chwilę i znów nasuwają z pluskami i hukiem.



Bałtyk.

Fot. Photo-Plat



Nad Bałtykiem — brzeg pod Orłowem.

Fot. H. Poddębski

W pobliżu brzeg wysoki, na nim na skraju las sosnowy, a dalej pola, zwykłe pola ze zbożem, chwiejącym się od wiatru na kształt owej wody opodal.

Na piasku wybrzeża leżą łodzie czarne, niezgrabne, a jak sprawne w wodzie! Obok suszą się całe sznury sieci.

A ludzie też jacyś powolni, niezgrabni, a jakże obrotni i zręczni, gdy rozhukane fale morskie miotają ich niewielkimi łodziami, powracającymi z połowu!

Na południowym krańcu Polski wznoszą się góry Karpaty.

Ziemia tutaj niczem woda w morzu pofalowała swą powierzchnię.

Niższe wzgórza i wały pokryte są polami, wyższe — lasami, niżej bukowo-jodłowymi, wyżej — świerkowymi. W wyższych częściach rosną krzewy kosówki i trawy.

W dolinach potoków i rzek przysiadły wsie, w szerszych kotlinach rozparły się miasteczka i miasta.

W najwyższych Tatrach widnieją skały ostre, nagie, groźne.

Człowiek tu nie mieszka. Jedynie latem przychodzi jako pasterz na niżej położone zbocza i dolinki ze stadami owiec, kóz i krów, zebranych z wielu wsi i przysiółków, rozrzuconych u stóp Tatr.

Przychodzi tu także turysta (człowiek, który zwiedza kraj, wędruje po nim dla przyjemności), wspina się po stromych ścianach gór, lub wędruje po wydeptanych ścieżkach. Chodzi nimi coraz liczniej. Wchłania w oczy czarowne widoki, oddycha szerzej rzeźwym powietrzem górskim i powraca wypoczęty i wzmocniony w doliny, skąd przyszedł.

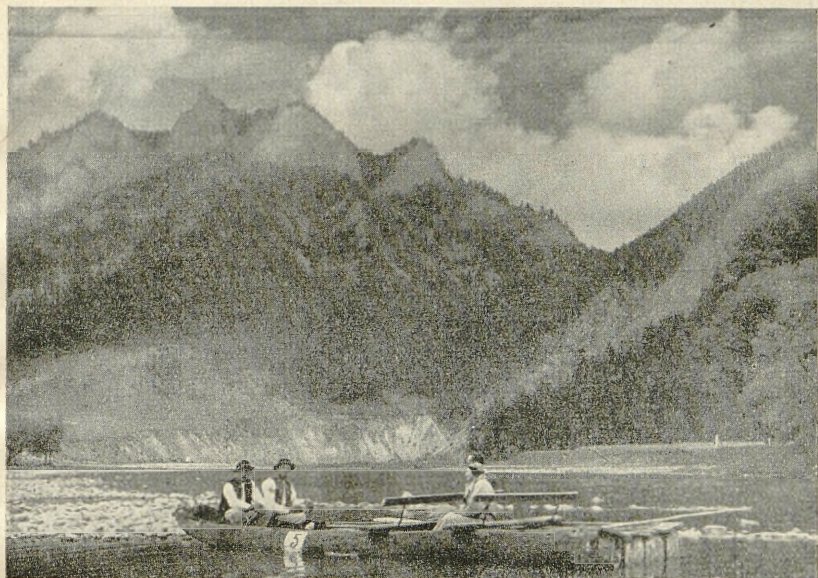


Tatry — szczyty nad Morskim Okiem,

Fot. Photo-Plat

W zagłębiach Tatr drzemią jeziora, „stawy”.

Barwa ich zmienia się z każdą niemal godziną: to szarzeją jakby były taflą ołowianą, to niebieszcza się, czasami żywym srebrem połyskują. W zimie zamarzają i lód trzyma je długo w swych okowach.



Pieniny — Trzy Korony nad Dunajcem.

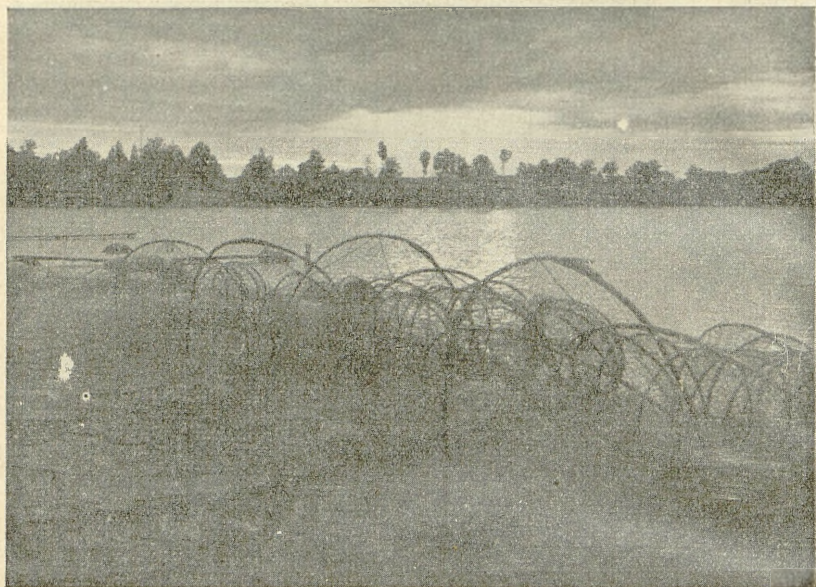
Fot. Photo-Plat

Niedaleko Tatr wśród Podhala wznosi się wąskie pasemko Skalek — Pieniny.

Płynie przez nie wężowymi skrętami Dunajec i tworzy przełom, jeden z najpiękniejszych przełomów. (Przełom tworzy się wówczas, gdy rzeka przebija się przez góry — wobec czego brzegi jej są bardzo wysokie i urwiste).

Woda Dunajca miejscami tak cicha, że zda się nieruchoma, odbija wysoko wznoszące się białe skały, uwieńczone zielonym lasem, to znów tak bystra, iż kotłuje się i pieni.





Fot. Photo-Plat

Pojezierze wileńskie — nad jeziorem Braślawskim.

Przerzucimy się stąd w inny kraniec Polski, hen, daleko na północny wschód, na obszar pojezierza wileńskiego.

Jesteśmy wśród jezior okolic Braśławia.

Poważnie, niemal majestatycznie zalegają jeziora w płytkich a obszernych zagłębieniach, wśród chaotycznie rozrzuconych wzgórz, o łagodnych kopulastych kształtach.

Wokół jezior są pola, lasy, łąki, nawet i bagna.

Nad jeziorem rybak rozpościera sieci, by je po połowie wysuszyć; na polach snują się chłopci przy pracy.

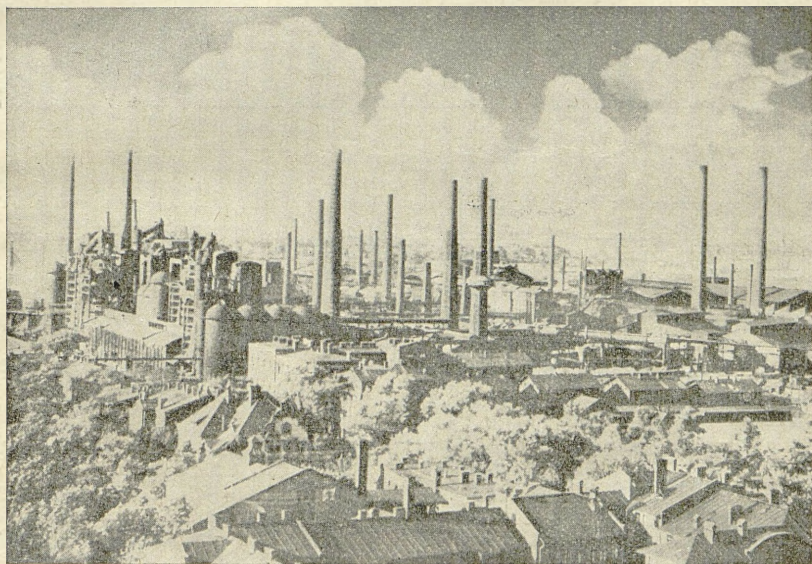
I znów przerzucmy się daleko, na południowo-zachodni kraniec Polski.

Miasto przy mieście, osada przy osadzie. Jedna się nie kończy, druga się już zaczyna.

Jakieś cudaczne wieże stoją, kominów prostych a krągłych, niczem maszty, moc. Z kominów dym wyciska się czarny, sunie w górę, rozpościera się coraz szerzej na płask i tworzy jakby baldachim nad tą śląską krainą. Człowiek, patrzący w górę, nie widzi błękitu, jeno jakąś siną szarość.

Liczne drogi, koleje przecinają tę krainę w różnych kierunkach tworząc sieć dróg, po których krążą samochody lub pociągi.

Huk, gwar, hałas, stukot, odgłosy syren kopalniowych i fabrycznych, w nocy tysiące, tysiące światel



Na Górnym Śląsku.

Fot. Photo-Plat

i łun nad wielkimi piecami — wszystko to dopełnia obrazu krainy, pełnej jakiejś grozy, wzniosłości i bardzo wytężonej pracy.



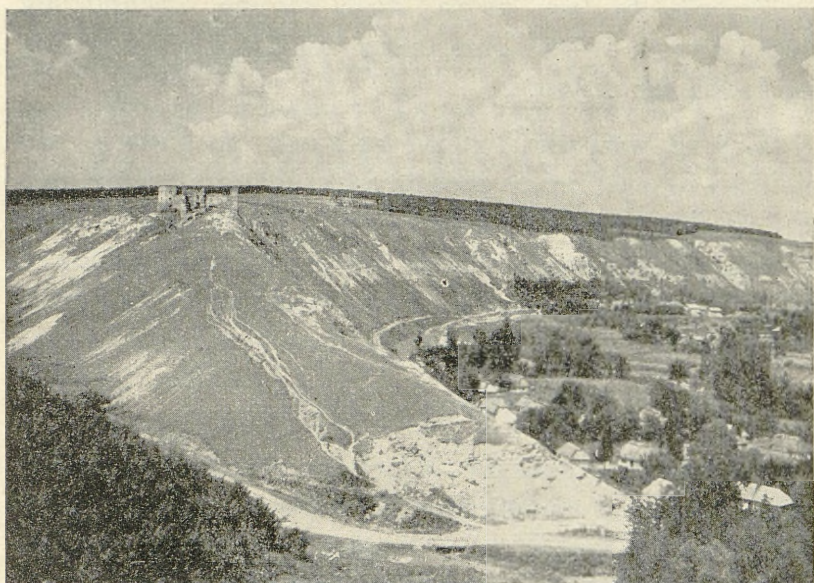
Na moczarach Polesia.

Przenieśmy się teraz myślą na nasz wschód, w dorzecze Prypeci na Polesie.

Równno, cicho, wilgotno. Bagna i lasy. Nieco jezior i dużo trzęsawisk. Rzeki płyną, wielokrotnie się rozwidlają, a płyną tak leniwie, iż nie wiadomo, w którą płyną stronę. Na wyższych, suchszych miejscach rosną dęby, sosny, graby. Człowiek na Polesiu prowadzi bardzo biedny żywot. Uboga rola, chude bydło, pasące się w lesie i na polankach, ryby w rzekach, dziczyzna w lesie żywią mieszkańca tej ziemi.

Bezdroża. Czasem przesunie się łoś, przeleć żurawie, przebiegnie podstępnie wilk lub przekradnie się ryś. Ptactwa wodnego tu moc.

Z oparów i bagien Polesia znów przerzucimy się w inną krainę, tym razem nieco bliżej.



Podole — widok z nad Zbrucza.

Fot. Tow. Krajozn.

Jesteśmy na Podolu. Kraina płaska, równa, sucha. Wciąż pola, pola. Kraina bezleśna.

Gleba tłusta, żyzna. Żółta a także czarna. Łany pszenicy, kukurydzy, buraków cukrowych.

A człowiek jakby wymarł, choć wiadomo, że być musi, bowiem ktoś te pola musi uprawiać i plony z nich zbierać.

Nadchodzimy nad brzeg doliny. W głębokiej dolinie, jarze — wieś. Tutaj na zboczach jaru i las się znajdzie. Dołem płynie rzeka. Płynie jarem Gniła Lipa, płynie innym jarem Złota Lipa, płynie Koropiec, Strypa, Seret, Zbrucz i inne, a wszystkie z północy na południe. równolegle do siebie, a wszystkie do Dniestru.

Zejście do jaru nagłe, dość strome. Schodzimy ścieżką często wśród skał, które zalegają równo, płasko, jedne na drugich.

Czy to wszystko? Czy wędrując po Polsce, widzieliśmy wszystkie, a choćby najważniejsze krainy, mające odrębny wygląd i charakter? Wiele jest jeszcze pięknych i ciekawych okolic, ale poprzestaniemy już na tych. Powiedziały one już nam wiele o pięknie Polski.

FRONTEM DO MORZA

„Każdemu narodowi więcej na morskim państwie zależy, niżli na ziemskim. Bo kto ma państwo morskie, a nie używa go, albo da sobie wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddała, a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się staje, z bogatego — ubogim”.

Przeszło trzysta lat temu rozległy się w Polsce te słowa, wypowiedziane przez naszego wielkiego męża stanu, Dymitra Solikowskiego, ale przeszły one bez echa. Polska nie umiała cenić wartości swego morza, nie umiała go bronić i to było jednym z głównych powodów upadku Rzeczypospolitej, przyjscia naszej niewoli.

Każde państwo pragnie i dąży do tego, aby mieć jak najdłuższe granice morskie. W razie wojny łatwiej-

sza jest obrona takich granic niż lądowych, a ponadto państwo z dostępem do morza może sprowadzać amunicję, surowce z całego świata bez pośrednictwa innych. Państwo, otoczone ze wszystkich stron innymi, aby przewozić towar przez cudze ziemie, musi prosić o pozwolenie, a za takie trzeba płacić. W razie zaś wojny może być odcięte od reszty świata. Dodać też należy, że droga wodna jest kilkakrotnie tańsza od lądowej, co ma ogromne znaczenie dla rozwoju handlu.

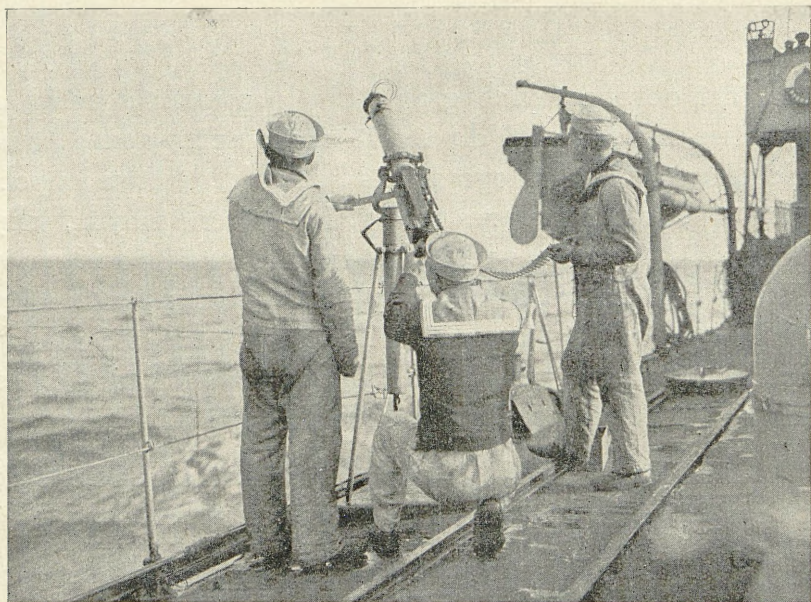
Bez morza żadne państwo nie może być prawdziwie niezależne i silne.

Niema państwa bez morza, niema morza bez portów i floty handlowej, a floty handlowej niema bez potężnej floty wojennej, która potrafi ją osłonić przed każdym wrogiem!

Brzeg morski zyskaliśmy dnia 10 lutego 1920 roku. Niewiele tego, bo tylko 140 km, podczas gdy cała długość naszych granic wynosi przeszło 5 tysięcy kilometrów. Tembardziej więc trzeba było dbać o najlepsze wykorzystanie tego niewielkiego dostępu do morza.

Nie mieliśmy wówczas własnego portu. Gdańsk zaś, który ten port miał nam zastępować, nastrojony był względem Polski niechętnie, prawie że wrogo. Wnet też przekonaliśmy się o tem, gdy bolszewicy stanęli u wrót Warszawy, a Gdańsk nie pozwalał na wyładunek broni i amunicji dla krwawiącego na froncie polskiego żołnierza.

Zrodziła się tedy potrzeba zbudowania własnego portu, portu handlowego i wojennego. Na miejscu małej wioski rybackiej w ciągu kilkunastu lat powstało duże miasto — port Gdynia.



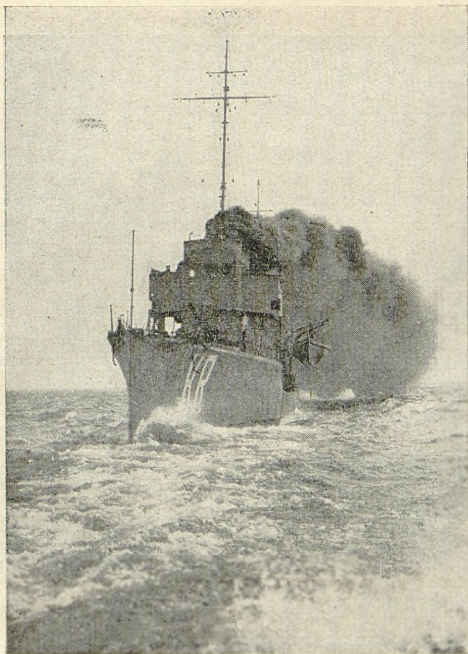
Podczas ćwiczeń przeciw-
lotniczych na torpedowcu
„Podhalanin”.

Fot. W. Pikiel



Podniesienie bandery.

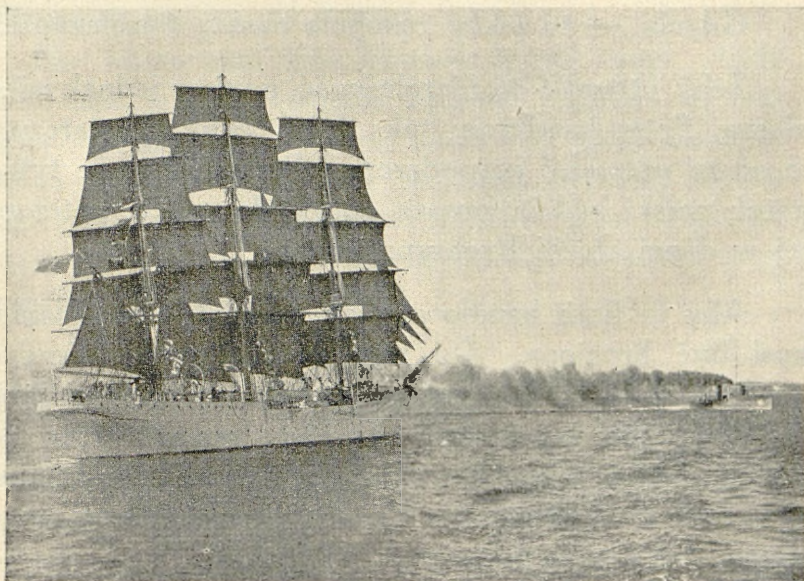
Fot. W. Pikiel



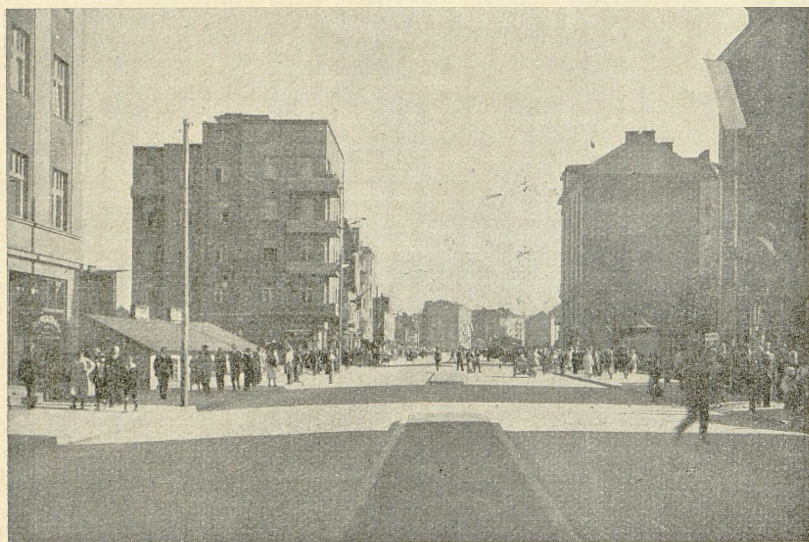
Torpedowiec „Krakowiak”

Fot. W. Pikiel

Statek szkolny
„Dar Pomorza”



Fot. W. Pikiel



Gdynia — ulica wiodąca do portu.

Gdynia — to jakby rękojmia naszej niezależności.

Żeby utrwalić tę niezależność, musimy jednak mieć własną flotę handlową tak dużą, żeby wystarczyła na nasze potrzeby gospodarcze. Pamiętajmy, że tylko statek polski będzie zawsze gotów do pracy, potrzebnej w danej chwili Rzeczypospolitej.

Aby ta flota handlowa mogła spełnić swe zadanie, musi być broniona. Do tego potrzebne są twierdze i obrona nadbrzeżna i małe okręty obrony przybrzeżnej. To jednak nie wystarcza! Trzeba jeszcze strzec na pełnym morzu własnych dróg handlowych i okrętów płynących tymi drogami z towarem. Zadanie to może spełnić tylko silna flota wojenna.

Nasza marynarka wojenna jest jeszcze bardzo skromna. W 1936 r. Polska posiadała 2 kontrtorpedowce: „Wicher” i „Burza”, oraz 3 łodzie podwodne „Wilk”, „Rys” i „Żbik”, stanowiące nowoczesne najsilniejsze jednostki bojowe tego typu na Bałtyku; 5 torpedowców: „Mazur”, „Krakowiak”, „Kujawiak”, „Ślązak” i „Podhalanin” przyznane nam po wojnie z dawnej floty niemieckiej; 2 kanonierki: „Komendant Piłsudski” i „Generał Haller”, zakupione w Finlandii; 4 traulery (wyławiacze min): „Czajka”, „Jaskółka”, „Mewa”, „Rybitwa”, wybudowane w stoczniach krajowych; bazę łodzi podwodnych „Sławomir Czerwiński”, transportowiec „Wilia” i szereg drobnych statków specjalnych.

W roku tym w budowie znajdowały się: stawiacz min „Gryf”, 2 kontrtorpedowce — większe, niż dotychczas posiadane i 2 łodzie podwodne. Wielkich jednostek bojowych, jak krążowniki i okręty liniowe, dotychczas jeszcze nie mamy.

Nie wolno nam więc ustawać w pół drogi. Leży przed nami jeszcze ogromne zadanie. Spełnić je muszą w zgodnym wysiłku — państwo i społeczeństwo. Troska o rozbudowę floty wojennej, wysuwa się na czoło tych zadań. Całe społeczeństwo musi dopomóc w tym wielkim dziele, musi wykrzesać z siebie cały zapal i cały twórczy wysiłek!

O GDAŃSKU

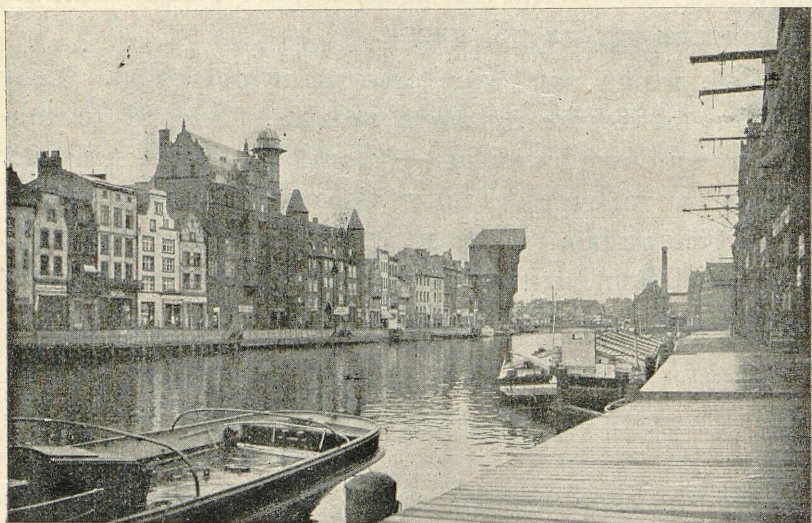
W świetlicy panował nastrój bardzo ożywiony, gdyż szeregowcy z pierwszej kompanii przygotowywali się do jutrzejszej wycieczki. Dwaj serdeczni przyjaciele

Józek i Walek, co to w życiu tylko własną wieś widzieli, cieszyli się najbardziej.

— Józek — mówi Walek — wiesz, że zobaczymy za parę dni morze. Pan sierżant opowiadał, że morzem to cały świat się objedzie.

W „Nowinach”, które dziś wywieszono, zobaczył Józek ilustrację, przedstawiającą stary spichrz w Gdańsku. Wiedział on, bo lubił mapie się przyglądać, że Gdańsk leży nad morzem Bałtyckim, a więc tam, gdzie jutro pojedą. Zawołał więc Walka i razem podeszli do gazety czytać.

„Gdańsk to stare i bogate miasto portowe” — czytał powoli Józek — „powstał 900 lat temu i potęgę swą zawdzięczał dogodnemu położeniu nad ujściem Wisły do Bałtyku, gdyż tędy wywożono z Polski w świat daleki zboże i drzewo, przywożąc w zamian z zagranicy rozmaite towary.



Gdańsk — w głębi starodawny śpichrz.

Fot. H. Poddębski

Gdańsk ciągnął z tego handlu duże zyski i wzrastały ciągle jego bogactwa. Bogactwa te stały się dla miasta niebezpieczne, bo wielu chciało takie miasto posiadać, lub choćby ograbić z jego majątku. Opanowali też Gdańsk Krzyżacy, niemiecki zakon rycerski, i urządzili straszną rzeź 10 tysięcy mieszkańców. Długo potem miasto nie mogło wrócić do dawnego stanu, dopiero za panowania polskiego króla Kazimierza Jagiełły, który zapewnił mu swą silną opiekę, znowu Gdańsk wzrastał w siły i bogactwa.

Wprawilo to w dumę gdańszczan i postanowili wyzwolic się zupełnie z pod wszelkiej opieki i wszczęli bunt przeciwko królowi polskiemu, Stefanowi Batoremu. Jednakże dzielny ten król nadszedł z wojskiem pod miasto i zmusił je do uległości. Od tej pory gdańszczanie sami zobaczyli, że lepiej żyć w zgodzie z polskimi królami, bo dobrze im było pod ich rządami. W tych czasach prowadzili najbardziej ożywiony handel i ciągnęli z niego duże zyski.

Budowali w mieście wspaniałe domy i kościoły, które do tej pory swoim przepychem świadczą o bogactwie mieszczan gdańskich.

Gdańsk podupadł dopiero pod panowaniem pruskim, gdy w czasie rozbiorów odcięto go od Polski.

Obecnie też niema już dawnego znaczenia, chociaż po wielkiej wojnie utworzono z niego „wolne miasto” z własnym zarządem.

Polska teraz tylko przedstawia interesy Gdańska zagranicą i ma wspólny z Gdańskiem zarząd celny oraz koleje i pocztę. Gdańsk, odkąd zerwał swoją ścisłą łączność z Polską, nie wrócił do dawnej świetności.

Nad polskim morzem powstał i rozwija się drugi wielki port — Gdynia” — skończył czytać Józek.

— Wartoby zobaczyć to wielkie miasto — powiedział Walek — coś kiedy jutro przejeździemy tylko obok i nie zobaczymy tych wspaniałych budynków, które pozostały z dawnych czasów. Popatrzymy tylko jeszcze na ilustrację w gazecie. Olbrzymi to spichrz i dużo musiał zmieścić w sobie polskiego zboża, za które z zamorskich krajów płynęły rozmaite towary.

*„Nie oddamy ani piędzi ziemi i nie pozwolimy,
by uszczuplono nasze granice, do których mamy prawo“.*

Józef Piłsudski

NASZE GRANICE I NASI SĄSIEDZI

THE
JOURNAL
OF
THE
ROYAL ANTHROPOLOGICAL INSTITUTE
OF GREAT BRITAIN AND IRELAND
VOLUME 11
PART 1
1881

MADE IN GREAT BRITAIN

O NASZYCH SĄSIADACH

Ktoś kiedyś zapytany, czy lubi innego człowieka, podobno odpowiedział: — Jakże mam go lubić, kiedy to mój sąsiad? — To opowiadanie ma znaczyć, że między sąsiadami bywają częste spory, a rzadko kiedy życzliwość.

Znamy także opowiadanie o Florianie Szarym, którego król Łokietek znalazł leżącego po bitwie pod Płowcami, z trzema włóczniami tkwiącymi w jelitach. Kiedy go zapytał, czy bardzo cierpi, rycerz odpowiedział: — To mniej boli, niżli zły sąsiad. — Myślał o złym sąsiedzie, Krzyżakach, których właśnie w owej bitwie pobito.

Nie zawsze jednak sąsiad musi być zły. Bywają i dobrzy sąsiedzi niosący człowiekowi pomoc w złej doli, bywają przyjaźnie sąsiedzkie mocniejsze nieraz od zażyłości rodzinnej.

Żeby jednak między sąsiadami dobra zgoda panowała, trzeba, aby nie było powodów do waśni. Trzeba wiedzieć: to moje a to twoje. Granica powinna być porządnie rozmierzona i oddzielona; zagrody, płoty, bramy powinny być mocne, żeby cudzy dobytek

w szkodę nie wchodził. Inaczej powód do sporu zawsze się znajdzie i sąsiad łatwo zamieni się we wroga.

Jak z ludźmi, tak i z państwami. Naród graniczący z innym narodem łatwo z nim wpadnie w waśń, jeżeli granica nie jest wyraźna i ustalona. Między ludźmi zwyczajnymi, między jednostkami spory załatwia się w sądzie, bo nad wszystkimi jest prawo. Między państwami o rozsądzenie sporu dużo trudniej i zwykle sprawa kończy się wojną. Wojna zaś jest zawsze nie-
szczęściem, bo powoduje śmierć wielu ludzi, zniszczenie dobytku i biedę.

Polska jest tak położona, że mało ma granic naturalnych, to jest utworzonych przez morza, wielkie rzeki lub góry. Skrawek morza na północy, położony między granicami lądowymi, a tylko na południu — łańcuch gór. Zresztą wszędzie granice ma otwarte, bez należitych przeszkód przyrodzonych. Przez to zawsze musiała odpierać napady sąsiedzkie i przez to zawsze potrzebowała silnego wojska. Gdy go nie miała, była niszczona przez najazdy, w końcu zaś więcej niż na sto lat dostała się do niewoli sąsiadów. I teraz więc, po odzyskaniu niepodległości, musi mieć potężną siłę zbrojną, aby uchronić się przed możliwością napadu.

Wojsko kosztuje; to prawda. Ale kosztuje mniej, niż klęska podboju, niż zniszczenie wojenne. Mówią niektórzy, że byłoby dużo lepiej, gdyby się wszystkie państwa świata umówiły, że wojny nigdy prowadzić nie będą. Wtenczas żadne państwo nie musiałoby wojska utrzymywać. I słusznie! Byłoby to dużo lepiej i mądrzej. Nawet po wojnie światowej wiele radzono, aby taki porządek zaprowadzić. A jaki wynik tych narad?

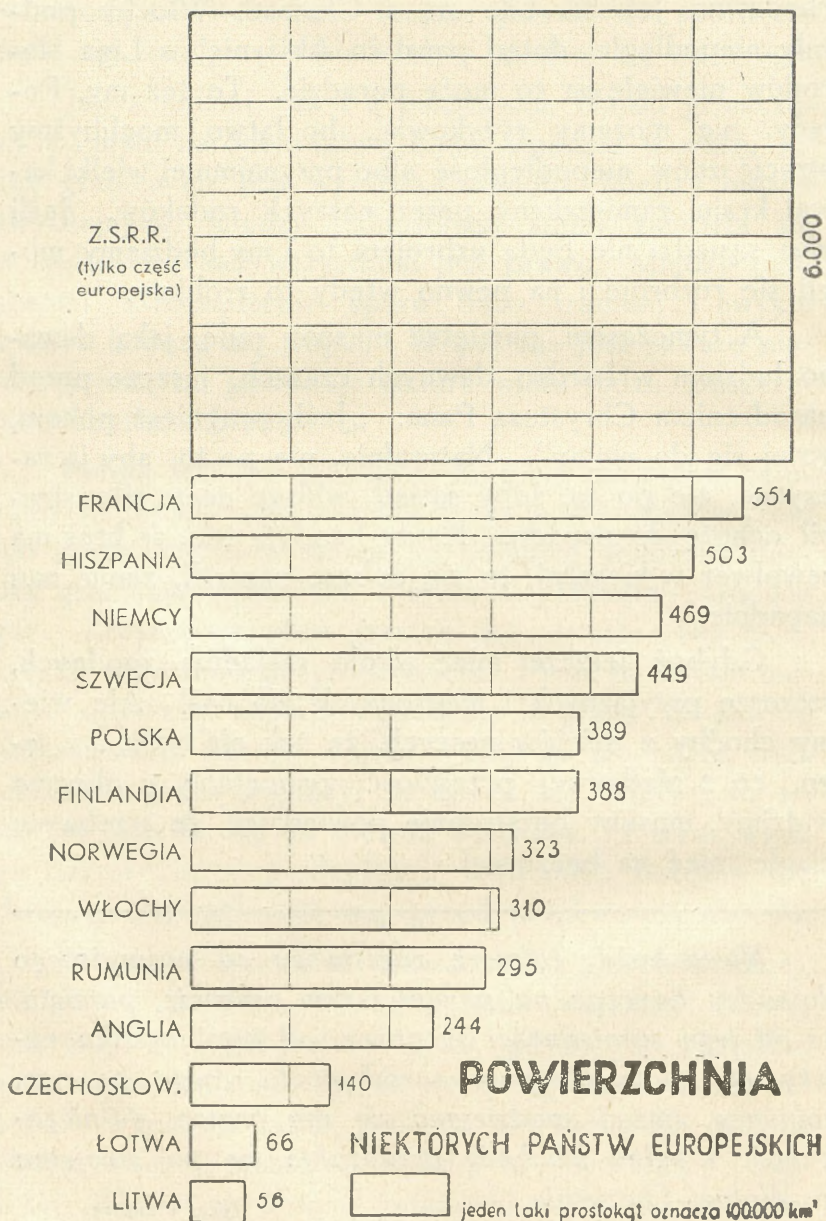
Niedawno Japonia biła się z Chinami, Włochy podbiły niepodległe dotąd państwo Abisynię, a Liga Narodów niewiele na to może poradzić. To też my, Polacy, nie możemy ryzykować, bo łatwo moglibyśmy stracić znów niepodległość albo przynajmniej wielki kawał kraju zamieszkały przez naszych rodaków. Jeśli nasi sąsiedzi nie będą uzbrojeni to i my będziemy mogli się rozbroić i na pewno wtedy to zrobimy.

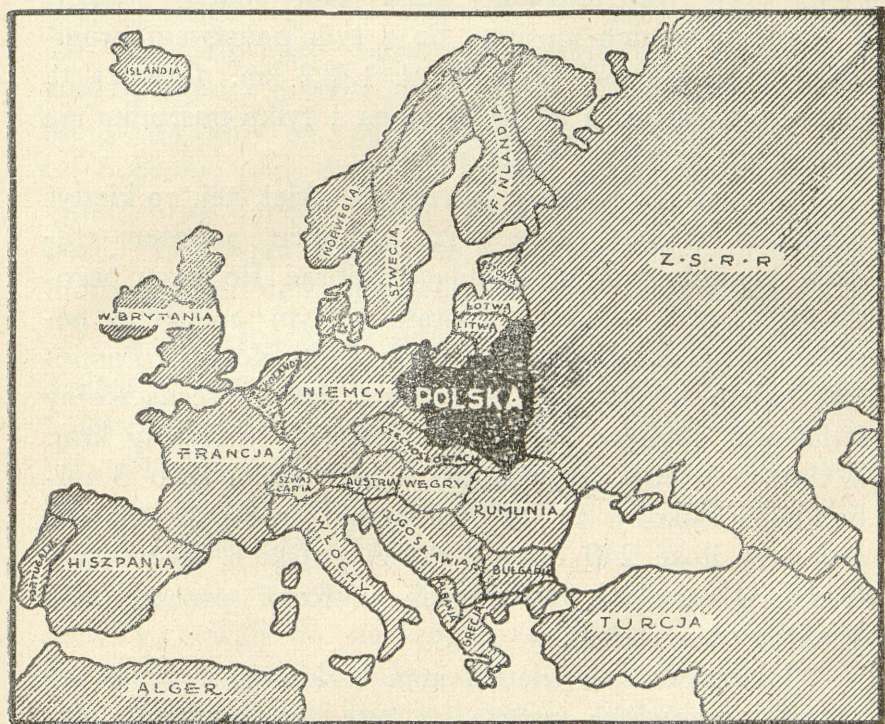
A tymczasem, pamiętać musimy radę, jaką dawało ludziom w bardzo dawnych czasach, jeszcze przed narodzeniem Chrystusa Pana: „Jeśli pragniesz pokoju, gotuj się do wojny”. Naturalnie, nie po to, aby ją zacząć, ale po to, żeby sąsiad, widząc naszą siłę, stracił ochotę do napadu. Kiedy bandyta wie, że ktoś ma rewolwer w kieszeni, to się dobrze namysli, zanim nań napadnie.

Gdybyż jeszcze mieć wkoło sąsiadów zgodnych, szczerze przyjaznych i niegroźnych dla nas! Ale wiemy choćby z dziejów naszych, że tak nie było, a z tego, co z niedawnej przeszłości pamiętamy i obecnie widzimy, musimy bezstronnie powiedzieć, że trzeba się ciągle mieć na baczności.

Niech każdy żołnierz, zaczawszy od najwyższego dowódcy kończąc na najświeższym rekrucie, pamięta, że od jego sumienności w pracy, od jego wysiłku zależy, czy zabezpieczymy narodowi to, czego po nas, żołnierze, naród spodziewać się ma prawo — niezależność i pełną swobodę urządzania się po swojemu w Wolnej Ojczyźnie.

Józef Piłsudski





Położenie Polski w Europie.

ZA WSCHODNIĄ GRANICĄ

— A co tam jest od nas na wschodzie? — pytają niektórzy. Rosja. Ale jakaś inna od tej, która była przed wojną światową i która dużą część Polski miała pod swym zaborem.

Tak. Inna. Nie nazywa się już nawet urzędowo Rosją, ale Związkiem Socjalistycznych Republik Sowiet-

kich, czyli Radzieckich. Duże tam zaszły zmiany, a wiedzieć o nich musimy, bo z tym państwem graniczymy na ogromnej przestrzeni: 1.412 km. Granica ta jest z przyrodzenia słabo obronna i tylko pośrodku ma trudne do przejścia błota pińskie.

Nie ma już w Rosji władzy carskiej, tej, co kiedyś podbijała kolejno różne nasze dzielnice, a potem rządziła w nich twardo, usiłując odebrać Polakom narodowość, język i wiarę. Została o tym pamięć w naszym narodzie i rozumiała niechęć do Rosjan. Pamiętają ludzie u nas jeszcze dobrze, jak podczas wojny światowej cofające się wojska rosyjskie niszczyły kraj. Wygnano wtedy przymusowo w głąb Rosji koło 3 milionów Polaków; że ta liczba nie jest przesadzona, świadczy ilość 240 tysięcy dzieci polskich, które uczyły się w szkołach założonych w Rosji przez polski komitet obywatelski.

Jest teraz tam władza inna — komunistyczna, tak zwana bolszewicka, oparta na zasadach międzynarodowego socjalizmu. Dlatego to Rosja wyrzekła się swego dawnego imienia. Wyrzec się imienia może i łatwo, ale kraj, choć podzielony na dziesiątek różnych republik, jest jednak rządzony przez Moskwę, gdzie zasiada główna rada Związku. Nie jest ona obierana przez wszystkich, ale stanowi zarząd partii komunistycznej; partia więc komunistyczna rządzi tym całym olbrzymim krajem. W tym kraju mieszka 168 milionów ludności, to znaczy niewiele mniej, niż w Anglii, Francji, Niemczech i Polsce razem, a rozległość jego jest tak wielka, że i drugie tyle łatwo mogłoby się pomieścić.

Komunizm rosyjski obiecał szczęście wszystkim ludziom pracy. Ale, jak dotychczas, mimo różnych

prób, jeszcze tego nie dokonał. To zaś, czego dokonał, przeprowadził bardzo bezwzględnie, powodując śmierć, głód i nieszczęścia. Świat pracy, choć pozornie postawiony na czele wszystkiego, pozbawiony jest tej ochrony, jaką dają mu ustawy państw zachodnich. Głód, brud i nędza oraz ciężkie choroby toczą ludność. Cóż więc z tego, że mówi się i pisze o władzy ludu, gdy lud ten naprawdę z władzy tej nie korzysta.

W Związku Sowieckim pozostało przeszło milion Polaków, cierpiących z powodu prześladowania wiary i narodowości. Narazie nic poradzić na to nie możemy, choć zawarliśmy ze Związkiem t. zw. pakt nieagresji, to jest umowę o powstrzymaniu się od wzajemnej napaści na siebie.

Nie odrazu jednak stosunki się tak ułożyły. Bolszewicy starali się nas zagarnąć i od roku 1918 do końca 1920 prowadziliśmy z nimi ciężką wojnę, zakończoną wspaniałym zwycięstwem i traktatem ryskim. Moskale, prowadzeni przez bolszewików, jeszcze raz znaleźli się w Polsce i raz jeszcze ją zniszczyli. Mało tego: przez kilka lat po zawarciu pokoju systematycznymi napadami band rozbójniczych nękali nasze kresy. Trzeba było stworzyć Korpus Ochrony Pogranicza, aby temu koniec położyć.

Komunizm rosyjski zatem, nie tylko drogą agitacji podziemnej ale i drogą orężną, usiłował nas podbić, niczem poprzednio carat. Na przeszkodzie do rozlania się po Europie stoi mu Polska, która w r. 1920, pod wodzą marszałka Piłsudskiego, uratowała inne kraje od bolszewizmu. Nie wyrzeka się jednak Rosja bolszewicka swych zaborczych planów.

Tak więc nasza granica wschodnia wymaga szczególnej pieczy i uwagi. Ani na chwilę nie można tutaj zaniedbać czujności.

DLACZEGO JÓZEF GAWĘDA BYŁ DUMNY ZE SŁUŻBY W K. O. P.-ie

Do naszego miasta przyjechał na urlop z K. O. P.-u Józek Gawęda, syn starej Mateuszowej, co ma sklepik niedaleko koszar. Chłopcy tam się z nim poznali.

Grzeczny był chłopak — nie ma co mówić i zaraz widać, że żołnierz dobry. Trzymał się prościutko jak świeca, ubrany był przepisowo, bez żadnych tam fantazji, jak to niektórzy na urlopie lubią do munduru przyczepiać, honory stopniom oddawał bez zarzutu, słowem — wzór. Bywały przytem, widać zaraz, uprzejmy i uśmiechnięty. A przecież, nie wszystkim się podobał.

— Dumny jakiś — powiedział Grzelak z 2-ej kompanii.

Posłyszał to pan sierżant Dębski, stary żołnierz, co i na wojnie bywał, i w K. O. P.-ie sam czas jakiś służył. Roześmiał się tylko i mówi:

— Oj, głupi wy, głupi! Nie umiecie rozeznąć słusznej dumy od pychy i tego, co się z pierwszym lepszym nie poufali, za pyszałka uważacie... A żebyście wiedzieli, że Gawęda to żołnierz, jak malowanie a jeżeli dumny jest ze swojej służby w K. O. P.-ie, to ma z czego. Byłem i ja dwa lata na granicy, to wiem, co to za służba: ciężka, ale piękna!



K. O. P. — patrolowanie odcinka granicznego.

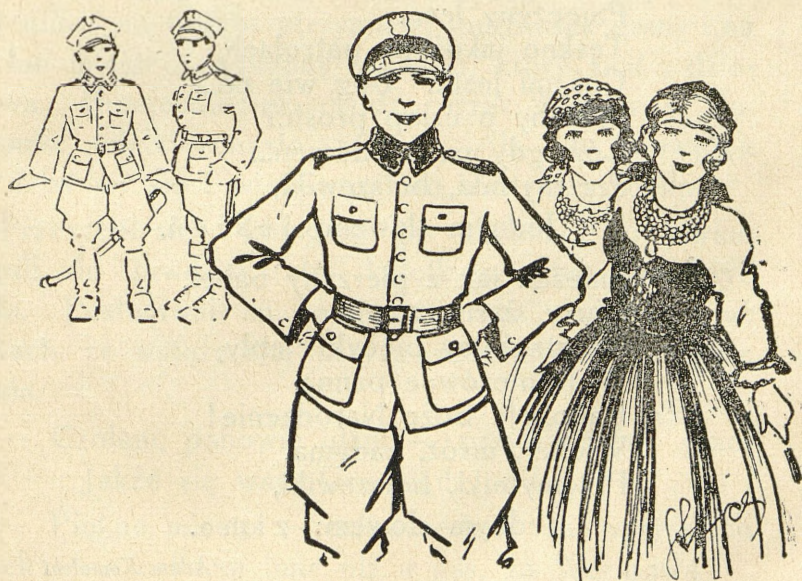
— Wyznaczyli mnie — mówił dalej pan sierżant do strzelców, którzy się wokół niego skupili — do K. O. P.-u, jak się tylko zaczął formować. Honor to był, bo tylko najlepszych brali, ale też wiedzieliśmy, że nie kury idziemy macać, ani u chłopów na przypieckach spać, ale się bić. Bandyci z zagranicy całymi oddziałami napadali na wschodnie kresy, palili, grabili, mordowali. Policja była bezsilna, bo za mało jej było. Zresztą, bandyci uzbrojeni bywali jak wojsko, i tylko wojsko mogło dać im radę.

Ciężko nam było z początku bardzo, ale już w parę tygodni poprawiło się. Przetrzepaliśmy kilku bandom skórę; ludność odetchnęła i uwierzyła znów, że gdzie Polska, tam porządek i prawo. Zaczęliśmy wtedy urządzać się na dobre, stawiać czatownie i strażnice, organizować stały nadzór nad granicą. Niełatwa to sprawa! Bory tam są podmokłe, grząskie, a jak przyjdzie zima, to śniegi kopne, jakich u nas nie bywa. Wieś od wsi daleko, a lud, choć dobry, ale ciemny i biedny, więc lada kto do złego namówić go może. Długo nam nie ufał, wierząc podszeptom z za granicznego kordonu. Trzeba było pilnie strzec każdej wiechy na granicy, każdej linii telefonicznej, bo wrogie ręce ciągle nam naszą robotę psuły.

Aż wreszcie zadowoliliśmy się i urządzili, a teraz pono z roku na rok służba udoskonala się i usprawnia. Ale zawsze jest ciężka i niebezpieczna. Graniczne wertepy trzeba jak dawniej schodzić własnymi nogami dniem i nocą, czy pogoda, czy słońce, czy mróz, czy zawieja. Zły człowiek nadal stara się przekraść przez granicę: czasem to będzie przemytnik z towarem, a bardzo często nieprzyjaciel naszej Polski, z tajnymi papierami dla naszych wrogów. Dużo tam naszych pada na posterunku, bo tam właśnie nie ustaje walka. Więc za to przedewszystkiem godni są szacunku i z tego mają prawo być dumni, bo to są żołnierze, co nawet podczas pokoju ciągle życie narażają.

Mimo to nie opuszcza ich wesołość i humor żołnierski. Gdybyście zajrzeli na strażnicę K. O. P.-u, to byście zobaczyli, jak ślicznie tam i przyjemnie! Ci, co nie są na służbie, umieją i bawić się, i kształcić we własnym wojskowym kole, a koleżeństwo kwitnie tam jak nigdzie!

Co więcej: pomagają innym! Trzeba się spytać ludności nadgranicznej, z ilu to klęsk — pożarów, powodzi — wyratował ją żołnierz K. O. P.-u. Ile razy dokarmił ze swego kotła głodnych, zwłaszcza dzieci, ile szkół pobudował. Jak to przez K. O. P. przychodzi gazeta, książka, kino i radio, jak ucieka ciemnota, a zaczyna się lepsze życie, na lepiej uprawnym zagonie i w czystej chacie. Ci sami, co nie ufali dawniej polskiemu wojsku, dziś błogosławią je i idą doń po ratunek w nieszczęściu. A błogosławiąc wojsko, błogosławią i całe państwo polskie, bo widzą, że ono tylko daje prawdziwą ojcowską opiekę. Można powiedzieć, że K. O. P. odzyskał kresy wschodnie dla Polski na nowo swoją uczciwą żołnierską i obywatelską pracą.



CZTERY PORY ROKU ŻOŁNIERZA K. O. P.

Kwiaty, kwiaty, drut kolczasty,
Patrol w noc majową,
Muszka brzęczy koło uszka,
Pachnie to i owo.
W puszczej się brzezince
Ptaszków pieśń miłosna,
Przemytniki, bolszewiki,

Jednym słowem: w i o s n a.

Słońce pali, ziemia pali,
Szumi złote zboże.
W dzień wioślarka na jeziorze,
W noc zasadzka w borze.
Przy strażnicy chata Kseni,
Bociany nad chatą...
Przemytniki, bolszewiki,

Jednym słowem: l a t o.

Żółkną liście, dnia ubywa,
Pajęczyny lecą.
Tęskno jakoś na patrolach,
Coś mi jest... Bóg wie co...
Możeby o urlop prosić?
Cóż, gdy pusta kieszeń...
Przemytniki, bolszewiki,

Jednym słowem: j e s i e ń.

Śnieżek jak z pierzyny babci,
Narty, żarty, sanna.
Na strażnicy piecyk ciepły,
W leśniczówce panna.
Radość! Boże Narodzenie!
Wicher, mróz, zadyma,
Przemytniki, bolszewiki,

Jednym słowem: z i m a.

Adam Kowalski

UŁAN Z GRUDZIĄDZA

Zagrała trąbka na placu koszar ułańskich w Grudziądzu. Koniec ćwiczeń. Dziś sobota; można będzie wyjść na pierwszą przepustkę.

Chłopcy czekali tego z upragnieniem. Pierwszy rekrucki okres służby już minął; już umieją ruszać się jak żołnierze, salutować i napewno nie powstydzi się ich pułk, gdy znajdą się na ulicach miasta.

Ciekawi go byli wszyscy, bo tylko tyle z niego widzieli, co maszerując z dworca do koszar. Więc też obiecywali sobie niemało przyjemności z tej przechadzki.

Najciekawszy bodaj był Wojtek Smykała. Rodem z małego miasteczka, aż za Siedlcami, nie był przyzwyczajony do większych miast. Kiedy przyjechał do Grudziądza, spoglądał bacznie na porządnie wybrukowane ulice, na czysto utrzymane, murowane domy i na cały ład miejski, odmienny od tego, który znał z dzieciństwa. Przejeżdżał po drodze przez Warszawę. No, wiadomo: wielkie miasto, stolica. Ale i tu porządek taki, żeby go się i wielkie miasto nie powstydziło.

Przeszedł się z kolegami po ulicach i po parku; wstąpili do piwiarni, aby kufelkiem piwa odwilżyć gardła. Posługiwał im sam gospodarz, człowiek już w latach, ze wstążeczką krzyża walecznych w klapie ubrania.

— Czołem, panowie ułani — przywitał ich grzecznie. — Jakże się wam Grudziądz podoba?

— Piękne miasto — odpowiedział za wszystkich Wojtek — a całkiem inne niż u nas, za Warszawą.

— Ano, trzeba przyznać — zauważył gospodarz — tu u nas dobry porządek. Żeby nie to, toby nas byli Niemcy zjedli. Wyście młodzi i nie tutejsi, ale my niemieckie panowanie jeszcze dobrze w pamięci mamy.

— Ano, to opowiedzcie, panie gospodarzu, jak to tu u was za Niemca bywało. My tyle Niemców pamiętamy, co z opowiadania starszych, bośmy jeszcze dzieciakami byli za ich w Polsce okupacji.

Gospodarz natoczył sobie kufel piwa, przysiadł się do stolika, trącił szkłem z ułanami i pociągnął ze szklanki. Potem, ocierając wąsa z piany, tak zaczął:

— Wiecie z nauki w szkole, że kiedy naszą Polskę rozdzielili Moskale, Prusacy i Austriacy, to Prusakom dostała się cała zachodnia część z Pomorzem, z Poznańskiem, a Śląsk to jeszcze pierwszej zagarnęli. Zaczęli się tu rządzić po swojemu. Twarde to były rządy. Na porządek niema co narzekać; ten umieli zaprowadzić i od ludzi go wymagać. Pilnowali, żeby stawiać mocne, trwałe domy, budowali szosy, żądali czystości. Ale za to wymagali, aby Polacy stali się Niemcami, zapomnieli swego języka i jedności z całym polskim narodem. W szkołach uczono tylko po niemiecku; nawet modlitwę musiały dzieci po niemiecku mówić. Ziemię starali się od Polaków kupować i osadzać na niej swych kolonistów — Niemców. Na to był osobny fundusz kolonizacyjny. Nasze związki i stowarzyszenia były pod uciskiem, a na służbę rządową Polaków nie brano. W wojsku Polak nie mógł być oficerem, jeśli nie zaparł się swego pochodzenia.

Tak było w całym pruskim, niemieckim zaborze, ale chyba najciężej było u nas, na Pomorzu. Kraj

nasz oddzielał kraje niemieckie od Prus Wschodnich, które Niemcy, choć i tam Polaków niemało, za swoje gniazdo uważają. Oprócz tego, my przylegamy do morza, a Niemcy od dawien dawna chcieli całe wybrzeże bałtyckie niemieckim uczynić. Dlatego na nas nacisk był okropny. Wykupywano przymusowo ziemię na wsi, to jest wywłaszczano, a niemczono miasta. Kupcy fabrykanci niemieccy mieli tu wszelkie ulgi od podatków i opłat, a naszym robiono trudności, odmawiano kredytu i niszczone.

Żeby się przed tym uciskiem obronić, musieli Polacy wziąć się w kupę, tworzyć spółki, pomagać sobie wzajemnie, kupować tylko u swoich, a bardzo surowo pogardzać tymi, co dobrowolnie Niemcowi ziemię sprzedawali lub wchodzili z nim w interesy. To też, mimo ucisku, niewiele Niemiec na nas zarobił. Dawaliśmy sobie doskonale radę. Mieliśmy polskie sklepy, polskie banki i związki; nie chodziliśmy po nic do Niemców, ani do zniemczonych Żydów. Gospodarstwa nasze były bogate, zasobne; z innych stron Polski przyjeżdżali do nas rodacy, żeby się uczyć, jak gospodarować i handlować potrzeba. Dlatego to widziacie u nas taki ład i porządek. Biliśmy Niemców ich własną bronią; byliśmy bogatsi i lepiej zorganizowani od nich, chociaż im pomagał ich potężny rząd, a my byliśmy zdani na swoje własne siły.

Kiedy skończyła się wojna światowa i Niemcy zostali pobici, musieli zabierać się i od nas. Zrobili to bardzo niechętnie, chociaż Polsce mniej ziemi przyznano, niż jej się należało. W Niemczech zostało jeszcze półtora miliona Polaków, a stąd, z Pomorza, większość Niemców wyjechała. Teraz nasze wojewódz-

two jest najbardziej polskie w całym państwie, bo ma najmniej t. zw. mniejszości narodowych, to jest nie Polaków

Jednak musimy mieć się ciągle na baczności. Niemcy nadal publicznie twierdzą, że im się stała krzywda i że ta ziemia — to ich kraj, który, tak czy inaczej, do nich wróci. Ich przywódcy twierdzą, że Niemcy muszą posuwać się na wschód, a, żeby iść na wschód, muszą przejść przez polskie ziemie. Uważają oni Polaków za coś niższego od siebie, za taki naród, który trzeba zniemczyć, żeby go ucywilizować. Czy to prawda — możecie ocenić sami.

Kultura polega nie tylko na tym, aby dobre bruki kłaść i duże domy murować. Polega przede wszystkim na tym, aby cudzego nie zagarniać, ducha chrześcijańskiego mieć w sobie, pychę nie wywyższać się nad innych i zaborem im nie grozić.

— Ale przecież Polska ma teraz dziesięcioletni pokój z Niemcami, w przeszłym roku zawarty — prze-rwał jeden z ułanów.

— Ma, to i dobrze, bo my z sąsiadami pragniemy żyć w zgodzie. Ale to nie znaczy, abyśmy kiedykolwiek tu Niemców z powrotem wpuścili. To jest od-wieczny kraj polski, przez Polaków zamieszkany, i tu tylko Polska rządzić może, nikt inny. Tam, za nie-miecką granicą, jest teraz wojsko, samoloty i wielkie organizacje przysposobienia wojskowego. Ale i nam sił nie brak. Na to wy tu, ułani, jesteście i wasi ko-ledzy z innych broni, żeby, w razie czego, kraju tego nie dać. A i my tu wszyscy, Polacy z Pomorza, wie-my, czego się trzymać. Nie darmo, tak jak ja, służy-

liśmy pod Niemcem, a potem i w naszym wojsku. Nie damy się i nie damy nikomu tego kraju, który Polsce dostęp do morza zapewnia!

— Nie damy! — zawołali chórem ułani, trącając się kuflami z gospodarzem.

— Niech żyją Pomorzanie! — krzyknął Wojtek Smykała.

CZECOSŁOWACJA

— Powiedz mi, Maciuś — zagadnął kiedyś kanonier Kowalski kolegę swego, Macieja Sieczkę — jak tam za górami mówią?

— Za górami? — odpowiedział Sieczka, który był rodem z Poronina — za górami, za Karpatami? A po słowacku.

— A czy ty możesz zrozumieć, co oni gadają?

— Každysiuśkie słowo. To prawie taka mowa, jak nasza góralska. Czasem się tam trafi, że się nie odrazu wyrozumie, ale się można prędko domysleć.

— To to jest nasz, polski naród?

— Nie polski, bo jakby był polski, toby do Polski należał. To jest naród słowacki, a należy do państwa, co graniczy z Polską od południa i południo-zachodu i nazywa się Czechosłowacja. Składa się ona z dwóch części: Czech i Słowaczyny. Słowaczyna leży zaraz za Karpatami, Czechy zaś — za południową częścią naszego Śląska. Wszystko to razem stanowi rzeczpospolitą Czechosłowacką.

— A czeski język też do naszego taki podobny, jak słowacki?

— Dużo mniej, ale też go można zrozumieć. Czesi są Słowianie jak i my, jak wiele jeszcze ludów na świecie. Jest to naród naszemu pokrewny, który jak i my dużo się w swoim życiu naciерpiał od Niemców.

— Od Niemców? — zapytał Kowalski — To oni i im dokuczali?

— A tak — wtrącił się do rozmowy bombardier Dąbrowski, który całą szkołę w cywilu skończył i niejedną książkę ciekawą przeczytał. Czechów Niemcy zagarnęli pod swoje panowanie i aż do końca wielkiej wojny należeli oni do Austrii, Słowacy zaś byli cały czas pod Węgrami. Dopiero po wojnie połączyli się w jedno państwo.

— A jaki to wogóle jest naród? — pytał ciekawie Kowalski — czy dobrze się rządzi?

— Jest to naród gospodarny, zapobiegliwy, ma doskonałe drobne gospodarstwa rolne, bardzo rozwinięty przemysł i handel. U nas, w Polsce, są też Czesi, a mianowicie koloniści na Wołyniu, osiedli tam jeszcze za czasów rosyjskiego zaboru.

— A co to się teraz dzieje między Czechami a nami na Śląsku — pytał ciekawie Sieczka.

— Na Śląsku? Widzicie: Śląsk — to kraj polski, ale w części tylko do Polski powrócił. Kawał został pod Niemcami, i Czesi dużo z niego podstępem zagarnęli, granica na pół przecięła stare polskie miasto Cieszyn. Około 200 tysięcy Polaków zostało tam pod panowaniem Czechów.

— To nam krzywda — rzekł Kowalski.

— Pewno. A jeszcze na domiar złego Czesi ograniczają prawa naszych współbraci. Rząd polski



Cieszyn — most na Olzie.

Fot. Photo-Plat

chce aby Polacy w Czechosłowacji mieli przynajmniej swobody narodowe, to jest swoje szkoły, związki i swoich posłów w sejmie w dostatecznej ilości. Tego musimy wymagać od Czechów, i o to toczy się ten spór na Śląsku. W interesie samych Czechów byłoby lepiej żyć z nami w zgodzie — zakończył bombardier Dąbrowski — Czechosłowacja nie ma wcale dostępu do morza, a przez naszą Gdynię może wysyłać swoje towary Bałtykiem. Dbać także powinna o naszą przychylność w razie napaści z zewnątrz, która jej łatwo może grozić.

NA GRANICY LITEWSKIEJ

Czytaliś ny na strażnicy „Pana Tadeusza”. Strzelec Kwiatkowski, co w teatrze amatorskim występował, ślicznie i z uczuciem odczytywał:

„Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś, jak zdrowie...”

— Jak to dziwnie — zauważył któryś z nas — Mickiewicz pisze o Litwie jako o swej ojczyźnie, on największy polski poeta, a my tu, na granicy litewskiej straż trzymamy, jak od obcego kraju. Rogatki po drogach, strażę po mostach — i nic, tylko ten mały ruch graniczny... Skąd się to wzięło i dlaczego?

— Dlaczego? — zawołał nasz plutonowy — dżoby o tem mówić! Ale kiedyście ciekawi, to wam dokumentnie opowiem, bo i prawda, że siedząc na litewskiej granicy, powinniście wszystko dobrze wiedzieć, co stosunków Polski i Litwy dotyczy.

Dawnymi czasy Litwini toczyli ciągle boje z Polakami. U nas kraj był chrześcijański, u nich — pogański. Srogie napaści litewskie pustoszyły szczególnie Mazowsze.

Ale kiedy wróg, który na nas ciągle napierał z zachodu — Niemcy, zaczął grozić i Litwie, a część jej podbił i uciemiężył, zaczęto wśród Litwinów przemysliwać o zgodzie z Polakami. Wielki książę litewski Jagiełło ożenił się z naszą królową Jadwigą i dał początek wielkiemu rodowi Jagiellonów, co nad Polską i Litwą dwieście lat panował. Za jego rządów Polacy i Litwini pobili niemiecki zakon krzyżacki pod Grunwaldem, a Litwa z Polską połączyła się pierwszą unią w Horodle i przyjęła od Polski chrzest. Potem stanęła między Polską i Litwą stała unia. Król polski

był jednocześnie wielkim księciem litewskim; sejm odbywano wspólnie. Z Litwą dołączyło się do Polski wiele ziem białoruskich i ruskich.

Zgodne życie Polaków i Litwinów zrodzonych na jednej ziemi, zmieszanych ze sobą przez małżeństwa i pokrewieństwa trwało długo. Podczas ostatniego powstania 1863 roku lud litewski dzielnie walczył przeciw moskalom. Na ziemiach dawnej Litwy urodził się Kościuszko, Mickiewicz; stamtąd też rodem był dyktator powstania Romuald Traugutt. Wiecie także wszyscy, że tam urodził się i wychował marszałek Piłsudski. Ale braterstwo polsko-litewskie nie na rękę było Rosjanom. Oni to pierwsi zaczęli w swoich szkołach przekonywać Litwinów, że nie mają z Polską nic wspólnego, że na zerwaniu z Polską mogą tylko zyskać. Tak zaczął się na Litwie ruch przeciwpolski krzewiony wśród ludu wiejskiego.

Gdy podczas wielkiej wojny przyszli na Litwę Niemcy, i oni woleli, aby Litwa nie była w zgodzie z Polską. Odnowienie bowiem państwa polsko-litewskiego — to było otoczenie ze wszystkich stron Prus Wschodnich i przeszkoda w posuwaniu się Niemców na wschód wybrzeżem Bałtyku.

Niemcy mają we wschodniej części Prus Wschodnich trochę ludności litewskiej. Tych Litwinów wychowali oni w swoich szkołach na wrogów Polski. Sprowadzili ich na Litwę, poobsadzali nimi różne stanowiska i postarali się, aby razem z Litwinami wychowanymi przez Moskali uczynić z nich jeden przeciwpolski front.

Udało im się to, bo Polska po wypędzeniu w r. 1918 okupantów niemieckich, zmuszona do obrony swych ziem i do wojny z Rosją bolszewicką, była zbyt jeszcze słaba, aby upomnieć się o wszystkie swoje granice. Wypędzono raz Moskali z Wilna, ale gdy w r. 1920 wojna toczyła się prawie pod murami Warszawy, Litwini skorzystawszy z tego zajęli dla siebie Wilno.

Dopiero w ostatnich tygodniach wojny gen. Żeligowski samorzutnie Wilno Litwinom odebrał. Utworzyło się wówczas jak gdyby małe państwo, nazwane Litwą środkową. Sejm tego państwa zwołany w Wilnie postanowił, że przyłącza się ono do Rzeczypospolitej Polskiej.

Rzeczpospolita litewska, mająca swą stolicę w Kownie, nie chciała i nie chce się z tem pogodzić. Oświadczyła, że jest w stanie ciągłego sporu z Polską, dopóki Polska Wilna Litwie nie zwróci. Nie jest to wojna, ale zupełne zerwanie stosunków sąsiedzkich, niedawanie paszportów na wyjazd, przyjazd lub przejazd, niewpuszczanie towarów, a nawet poczty. Jednocześnie Polacy mieszkający na Litwie Kowieńskiej są bardzo prześladowani. Zabrano im co większe majątki; nie mogą mieć swoich szkół, ani jawnych stowarzyszeń. Jest to wielka niesprawiedliwość, gdyż nieliczni Litwini w Polsce zamieszkali nie tylko nie są prześladowani, ale mają swoje szkoły, organizacje, korzystają z pełni praw obywatelskich. Co zaś do Wilna, o które Litwinom chodzi, to Litwinów tam jest zaledwie kilka tysięcy na 208 tysięcy mieszkańców.

Dlatego też musimy stróżować na granicy litewskiej, chociaż przez tyle setek lat było to jedno z Pol-

ską państwo. Ale choć stróżujemy, zmuszeni do tego postępowaniem Litwy, niechęci do tego narodu nie czujemy. Wierzmy, że prędzej czy później zdrowy rozsądek wśród Litwinów zwycięży; zrozumieją, kto jest ich wrogiem, i że tylko w oparciu o Polskę jest ich bezpieczeństwo. My ich polszczyć wcale nie chcemy, chcielibyśmy tylko, aby dali znośne warunki życia Polakom u siebie. Lud litewski jest rzetelny, pobożny, pracowity i spokojny; niewątpliwie więc oceni w końcu dobrze swoje położenie. Nam Kowna nie trzeba, a z sąsiadami chcielibyśmy być w braterskiej zgodzie.

— A tymczasem — zakończył pan plutonowy — uważać na posterunkach, bo każdy sąsiad lepszy, kiedy widzi, że swego pilnujemy.

ŁOTWA I RUMUNIA

Rozłożyliśmy na stole mapę Polski.

— Patrzcie — powiada Józek Tyrała — Tu Niemiec z zachodu i z północy, i jeszcze kawałek Litwy. Tu — Rosja ze wschodu. I jaka to długaśna granica, proszę patrzeć! Ile to trza strażnic nastawiać, żeby porządek był. Tu K. O. P., tam straż graniczna... Dużo mamy na granicach roboty!

— Ano, pewnie — zauważył Ślązak Lompka — ale pieronom tym ani kawałka nie damy! Albo my to nie chłopcy?

— Dobrze gada! — zawołali wszyscy.

— Patrzajta, chłopaki — zawołał nagle Stasiek Sikorski — a tu, za Litwą, ponad Rosją, co to za granica?

— Gdzie?

— Tu na górze, na północy. A tam znów — ta druga, na południu, między Rosją a Czechosłowacją?

— Zaraz wam o tem powiem, chłopcy — rzekł nasz sierżant - szef, Jan Szulc, który niepostrzeżenie wszedł do świetlicy i stanął za naszymi plecami — Puśćcie mnie tylko do mapy.

— Tu, popatrzcie, na północy jest Łotwa. Mały to kraj, parę milionów ludności liczący, ale bitny i dzielny. Przed wojną światową należał do Rosji. Takie tam było urządzenie, że ziemie były przeważnie własnością bogatych Niemców, grafów i baronów, a Łotysze, naród Litwinom pokrewny, żyli w biedzie. Miasta też były po większej części niemieckie. Dopiero po wojnie lud ten się ruszył i swoich gnębicielei wypędził.

Nie na wieleby się to jednak zdało, bo potem w r. 1920 wrócili znowu moskale i byliby Łotwę, która ogłosiła się niepodległą republiką, wzięli w bolszewicką niewolę. Łotysze chwycili za broń, byliby jednak ulegli przemocy, gdyby nie nasza pomoc.

Polacy, na rozkaz naczelnego wodza, Józefa Piłsudskiego, pod dowództwem naszego obecnego generalnego inspektora sił zbrojnych, generała Śmigłego-Rydza, przeprowadzili tam zwycięskie bitwy zakończone zdobyciem Dyneburga, dużego miasta nad rzeką Dźwiną. I choć ta część Łotwy, t. zw. Letgalia, kiedyś do Polski należała i ma sporo ludności polskiej, nie zabraliśmy Łotyszom ani kawałka kraju dla siebie, ale go im oddaliśmy. Łotysze odtąd świadczą zawsze swoją wdzięczność Polsce. Patrzcie: ten medal — tu pan sierżant wskazał na odznaczenie, wiszące za

krzyżem walecznych i krzyżem zasługi — to jest medal łotewski za bitwę pod Dyneburgiem otrzymany.

— A jaki to naród, ci Łotysze? — zapytał któryś.

— Naród, mówiłem wam, bitny i dzielny, pracowity i wytrwały; dobrzy żołnierze. Jedno na ich niekorzyść można powiedzieć: za tę pomoc, cośmy im dali, mogliby naszym Polakom w Letgalii dawać więcej praw i swobody. Może kiedyś odwykną od tego ucisku, do jakiego ich Rosjanie i Niemcy przyuczili, to zobaczą, że nikogo uciskać nie można, bo to do niczego nie prowadzi.

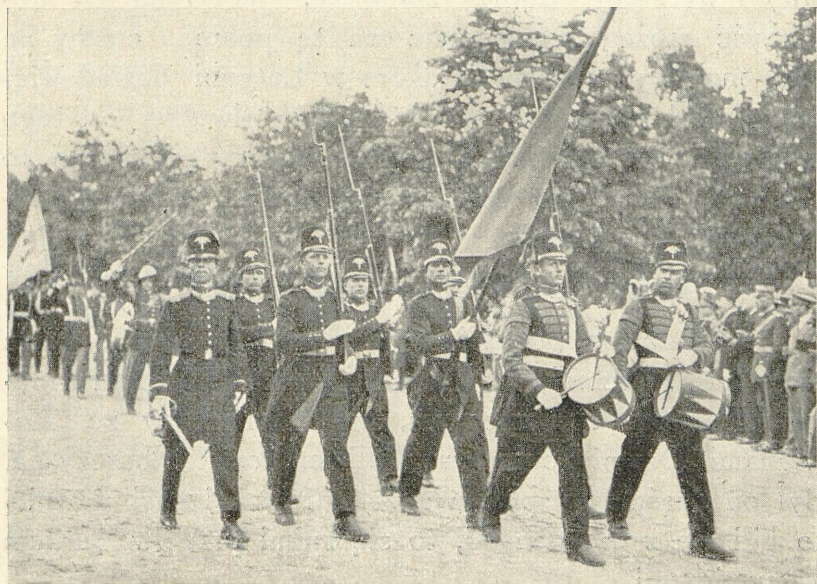
— A tam, na południu, panie szefie?

— Tam na południu jest Rumunia. To całkiem inny lud, plemienia romańskiego, to jest pokrewne go Włochom i Francuzom, ale pomieszany ze Słowianami. Dawni Polacy nazywali ten kraj Wołoszczyzną. Był on częściowo pod władzą turecką i nasi dawniej to bili się z Wołochami, to się z nimi przeciw Turkom sprzymierzali.

Potem część kraju nad Dunajem leżąca wyzwoliła się od Turków, ale nie zjednoczyła się całkowicie: Rosja bowiem zajmowała wschodnią część Rumunii, t. zw. Besarabię; część północna, Bukowina, należała do Austrii, a część zachodnia, Siedmiogród — do Węgier. Dopiero po wielkiej wojnie nastąpiło zjednoczenie w jedno wielkie królestwo rumuńskie.

Zjednoczona Rumunia zawarła bliskie i ścisłe przymierze wojenne z Polską; to jest nasz sojusznik ważny dla nas, gdyby zechciano na nas napaść ze wschodu. Mar-

szałek Piłsudski parę razy był w Rumunii; zmarły król rumuński Ferdynand i jeden z jego synów odwiedzili Polskę. Na pogrzebie Pana Marszałka widzieliśmy pluton piechoty rumuńskiej; była to delegacja pułku, którego był szefem.



Żołnierze rumuńscy.

— Widzicie, chłopcy — zakończył pan sierżant — dobrze przy naszej długiej granicy mieć choć niewielkie kawałki, skąd możemy spodziewać się poparcia i pomocy. Ma to znaczenie i dla przemarszu wojsk, i dla przesyłania transportów z zagranicy, gdyby inne drogi zawiodły. Rumunia łączy nas z morzem Czarnym, do którego innego dostępu nie mamy, Łotwa —

z Bałtykiem, którego tylko mały skrawek wprost do nas należy.

Takie połączenia między dwoma morzami ważne jest bardzo i podczas pokoju i w czasie wojny. Podczas pokoju — dla handlu, w czasie wojny — dla pomocy ze strony sprzymierzeńców, dowozu wojska i amunicji. Gdyby, na przykład, zamknięto nam wstęp do Bałtyku, to, wobec przymierza z Rumunią, przez morze Czarne mogłyby przychodzić transporty. A zresztą i oba te kraje, Łotwa i Rumunia, mogą mieć znaczną korzyść z połączenia przez przyjazną im Polskę.

Dlatego dbamy o nasze granice z Łotwą i Rumunią. W Rumunii, a mianowicie w Besarabii i na Bukowinie, mamy pewną ilość rodaków, a to także nie jest bez znaczenia, zwłaszcza, że prawa mniejszości polskiej są tam należycie szanowane.



Wojskowa drużyna narciarska na ćwiczeniach.

Fot. W. Pikiel

P A T R O L

Krętą ścieżyną, od wiechy do wiechy,
Idę wzdłuż granic jasną, letnią nocą.
Na niebie gwiazdy figlarne się złocą,
A na leszczynie srebrzą się orzechy.

Idę na patrol. Karabin mój wierny
Tuli się do mnie do strzału gotowy.
Przez grząskie bagna, zarośla i rowy
Wiedzie mnie druh mój: księżyc miłosierny.

Skradam się cicho w otchłań lasu głuchą,
Wzrok tam zatapiam — gdzie szmer łowi ucho,
Las mnie przysłania zielonym kapturem...

Trzaski pod stopą kruszą się z szelestem,
A serce żywiej tętni pod mundurem
Dla Polski, której teraz stróżem jestem.

Adam Kowalski

ŻOŁNIERZ I OBRONA PAŃSTWA

COLLEGE OF AGRICULTURE

Nowoczesne wojsko tworzone być może jedynie na podstawie powszechnej służby wojskowej. Każdy musi być do tego pociągnięty i tylko wówczas każda rodzina ma żołnierza, każdy żołnierz ma rodzinę w ojczyźnie.

Józef Piłsudski

MACIEK KOWALSKI DOSTAŁ WEZWANIE DO WOJSKA

Maćkowi Kowalskiemu, drugiemu z rzędu synowi sołtysa Kowalskiego, wyszły jakoś akurat lata do służby wojskowej. Jakoż istotnie stary przyjechawszy któregoś dnia z gminy rzekł wchodząc do chałupy:

— No, Maciek, zbierać się będziesz niezadługo, chłopcze! Wojsko wzywa!

— Olaboga! — zawołała sołtysowa — a dyc Bartek ledwo co z wojska powrócił, a ty już i Maćka wyprawiasz? Nie dosyć to jednego do tej służby?

— Nie gadaj byle czego, matka — odpowiedział krótko sołtys — Bartek Bartkiem, a Maciek Maćkiem. Jeden se posłużył, a tera pójdzie drugi.

— Nie frasuja się, mamó, po próznicy — zauważył Bartek. — Nie będzie mu tam biedy we wojsku! To ino tak tem wojskiem przez nieświadomość ludzi straszą. Zjadł to mnie kto w pułku? Żle mi było?

Żeby nie gospodarka i nie to, że trzeba do ziemi ręki przyłożyć, toć byłbym ostał na nadterminowego. Niech ta i Maciek popróbuje żołnierskiego chleba. A powiem wam, matuś — dodał — że choć wasz żur niezgorszy, ale i we wojsku człek se nieraz dobrze podjadł — e! bodaj sytniej, jak teraz w domu. Na wsi — bieda, a żołnierzowi jadła nigdy nie zbraknie, bo to jego prawo, żeby go głodem nie morzyli.

Maciek słuchał i nie wiedział, czy się smucić, czy cieszyć. Juści, markotno iść w daleki świat, a trochę i straszno. Ale za to ciekawość, co się tam zobaczy. Miasto, koszary, inni ludzie z rozmaitych stron... A ten mundur, to też się chłopakowi uśmiechał, bo pamiętał, jak to za Bartkiem, kiedy na urlop przyjechał, wszystkie dziewczuchy latały. Ano, iść — to iść. Skrzepił się w sobie i Bartkową żołnierską skrzynkę zawczasu ze stodoły przyniósł.



Nie płaczta dziewczuchy, bo my przecie do marynarki idziem,
to se z wody nic nie robimy.

Jak przyszedł czas, gotów był w samą porę. Matulę w rękę pocałował, ojca pod nogi podjął i poszedł odprowadzony przez Bartka na punkt zborny do gminy, co o małą milkę od jego wsi była. Na ramieniu dźwigał skrzynkę. Kapkę mu ciążyła, bo matula nie pożałowała chleba i słoniny, a nawet pszenny placek na drogę upieкла.

Po gościńcu snuło się ludzi co niemiara, a najwięcej chłopaków w jego wieku. Chude to było przeważnie i niewyrośnięte, jak to zwyczajnie roczniki w czas wojenny urodzone. Ale z fantazją szli dobrą, z miną gęstą, w czapkach na bakier. Już to takie w Polakach serce, że do żołnierki radzi idą. Gdzieś tylko z daleka zawodziła lamentem dziewczyna:

...Oj, żeby te łąziska — oj, żeby djabli wzieni,
oj, że mego miłego tam do wojska wzieni!

Oj!...

Ale zaraz odhukiwały jej męskie głosy:

...Da czego będziem płakać, da czego lamentować?
Da za cztery niedziele będziemy znów tańcować!

Oj!...

A któryś z chłopców, co widać miał trochę w czubie, zaśpiewał z mazowiecka:

Pijany ja, pijany ja!
Na bok z drogi, kanalija!
Kanelija, na bok z drogi,
Bo przetrączę szablą nogi! Uch!

Tak doszli do gminy. Wieś była duża, kościelna, a stacja kolejowa — tuż. Poborowi, że to czas był jeszcze do pociągu, rozeszli się po wsi: znajomych odwiedzić, kufelkiem piwa w gospodzie gardło przeplukać, albo z odprowadzającymi przysiąc gdzie, choć na płocie, i trochę jeszcze pogwarzyć. Maciek wstąpił do kościoła, żeby przyklęknąć przed ołtarzem i Matce Boskiej się polecić.

Gdy wyszedł z kościoła i zbliżył się do gminy, był tam już huk luda. Na wzniesienie wstąpił nauczyciel i odezwał się do poborowych w te słowa:

— Moi chłopcy, których tyle lat uczyłem i którzy dziś do wojska idziecie! Nim opuścicie rodzinną wieś, ojca — matkę, brata — siostrę, nim weźmiecie do ręki broń i wdziejecie na siebie mundur wojskowy, pamiętajcie:

Idziecie służyć ojczyźnie naszej, Polsce, z bronią w rękę, poto, aby, jeżeli kto na ojczyznę napadnie, móc jej bronić. Idziecie do swojego wojska.

Hej, szczęśliwsi jesteście, niż wasi ojcowie, którzy musieli iść służyć obcemu, ba, wrogowi! Słuchajcie obywatela:

Nie będziecie służyć obcemu, jeno własnej ojczyźnie.

Nie będziecie szli w obce, dalekie kraje, jeno na swojej służyć ziemi, aby jej w potrzebie bronić.

Nie będziecie słuchać obcej mowy, jeno swojej własnej komendy.

Nie będzie was hańbił wróg, jeno zrozumiały rozkaz przeniknie do waszej duszy.

Nie będziecie przelewać krwi bratniej, jeno krew wroga, jeżeli się na ojczyznę naszą targnie.

Jeśli wam kości złożyć wypadnie, to będziecie wiedzieli, za co je składacie.

Daj wam, Boże, godnie broń nosić, godnie ojczyźnie wolnej służyć!

To też na służbę idźcie wesoło, ochoczo, radośnie, ale nie w pijackim zgiełku, ani nie ze swarami, tylko godnie, przystojnie, jak na Polaka przystało!

Daj wam, Boże, zdrowo dojść, zdrowo wrócić.

Daj Boże — wionęło po tłumie.

A nauczyciel rozpoczął:

Boże, coś Polskę...

Lud podchwycił:

...przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą Swej opieki
od nieszczęść, które przygnębić ją miały —
przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
ojczyznę wolną pobłogosław, Panie!...

Maciek śpiewał z innymi. Wszystko pojał i zrozumiał. Na sercu było mu lekko, choć biło ono nieznanym dawniej wzruszeniem. Przyrzekł sobie w duszy, że będzie dobrym żołnierzem.

DO BRATA REKRUTA

Kochany bracie mój, rekruciel!
Nim zmienisz łąpcie czy kalosze
Na buty z gwoźdźmi — wpierw się dowiedz,
Jakie czekają cię rozkosze.

W pałacu zwanym koszarami
Zamieszkas, bracie, jak król jaki,
Do stołu siądziesz z rycerzami,
Rycerskie będziesz nosił znaki.

Wystroisz się w wspaniały mundur,
W srebrzyste orły i zygzaki,
Żeby z daleka poznał każdy,
Że jesteś pan niebylejaki.

Rodzinę zgodną w wojsku znajdziesz:
Kompanii szef — to twoja matka,
Dowódca — ojciec sprawiedliwy,
A spójnia wszystkich — miłość Dziadka.

A kiedy będziesz maszerował
Błyszczący stałą w blasku słońca —
To wszyscy ze czcią wskażą na cię:
Oto jest dzielny nasz obrońca!

Adam Kowalski



U wejścia do koszar.

PRZYSIĘGA

Nie co dnia wypada człowiekowi przysięgać, ba, może zaledwie parę razy w życiu. Pierwsza przysięga — to chrzest święty. Jużci przysięgasz nie sam, boś małe niemowlę, ale przysięgają za ciebie rodzice chrzestni. Druga przysięga — to kiedy się żenisz. Już sam powiadasz wtedy przed ołtarzem, że masz „wolną i nieprzymuszoną wolę”. Przysięgasz jeszcze czasem w sądzie, jako świadek i nie raz od twej przysięgi zależy dobre imię, wolność, a czasem i życie bliźniego. Widzisz więc, że przysięgi żądają od ciebie tylko w chwilach bardzo ważnych, uroczystych.

Przysięgasz także w wojsku. Przysięgasz wierność ojczyźnie i sztandarowi, posłuszeństwo dowódcom i wobec Boga Wszechmogącego, w Świętej Trójcy Jedyne, obiecujesz żyć i umierać, jak prawemu żołnierzowi polskiemu przystało.

Dlaczego w wojsku właśnie składasz tę przysięgę? Dlatego, że szczególnie ważną i uroczystą jest chwila, w której się stajesz żołnierzem.

Przyrzekasz, ślubujesz wierność ojczyźnie. Każdy Polak powinien jej być wierny, ale ty, żołnierz, podwójnie. Tobie daje ojczyzna broń w rękę na to, żebyś się uczył jej bronić, a w potrzebie obronił.

Przez czas służby wojskowej dowódcy twoi będą starali się jak najlepiej cię tego nauczyć. Ty zaś wyteżysz wszystkie siły, żeby jak najwięcej z tej nauki skorzystać. Jeżeli na Polskę napadnie wróg, będziesz się ze wszystkich sił starał go odeprzeć. Nie dasz się uwieść w czasie pokoju lenistwu i niedbalstwu, a w czasie wojny — tchórzostwu i zdradzie. Na to przysięgasz — i to jest wierność ojczyźnie.

Przyrzekasz, ślubujesz posłuszeństwo dowódcom. Są to także żołnierze polscy jak i ty, ale starsi, doświadczeni od ciebie. Prawie wszyscy bili się z wrogiem o wolność ojczyzny. Wielu odniosło w tej walce chwalebne rany, na piersiach wielu widnieją krzyże zasługi wojennej. Polska oddała cię im w opiekę i na naukę. Oni nie poprowadzą cię nigdy do złego, ale tam, gdzie służba ojczyzny i obowiązek wojskowy nakazuje. Musisz ich słuchać, żeby nauczyć się, jak być żołnierzem; musisz ich słuchać, jeżeli wypadnie wal-

czyć. Na to też przysięgasz — i to jest posłuszeństwo dowódcom.

Przyrzekasz, ślubujesz, że chcesz żyć i umierać, jak prawemu żołnierzowi polskiemu przystało. Prawy żołnierz polski — to człowiek, który swój obowiązek żołnierski rozumie i wypełnia do końca. Jest uczciwy, sumienny, posłuszny i odważny. Stara się postępować tak, jak ci dzielni żołnierze polscy, którzy przed nim służyli ojczyźnie i o których w wojsku posłyszysz.

To wszystko przyrzekasz przed dwiema świętościami. Jedna to twoja wiara. Przed jej kapłanem składasz uroczystą przysięgę, jaką ci przepisy twojej wiary nakazują. Katolik składa ją przed księdzem, trzymającym krzyż w ręku. Prawosławny przed swoim duchownym i także na krzyż. Ewangelik i kalwin — przed pastorem z biblią. Mahometanie przed mułłą, na świętą księgę swoją — koran. Żyd przed rabinem, odzianym, jak obrządek mojżeszowy nakazuje.

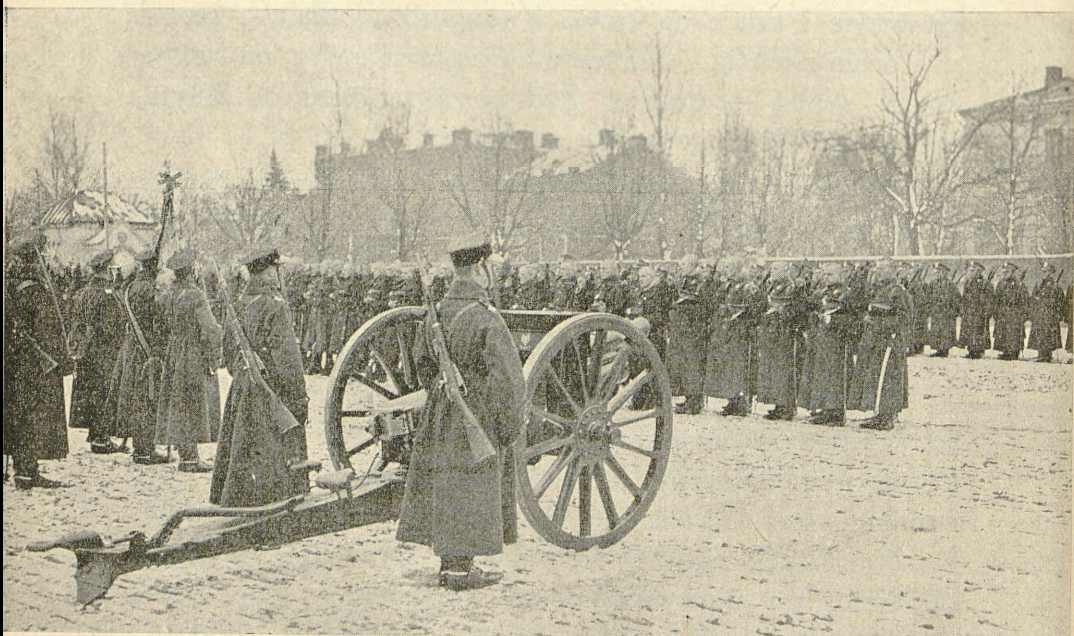
Różne są sposoby tej przysięgi, ale prawdziwa jej treść jest jednaka. Każdy przysięga, że będzie dobrym i wiernym polskim żołnierzem, przysięga na największą świętość swoją — na wiarę swoich ojców. Ta przysięga, choć różna, nie dzieli was, ale jednoczy.

Dru ga świętość, ziem ska, jedna dla wszystkich — to sztandar. Sztandar pułkowy jest tak samo wyobrażeniem ojczyzny, jak krzyż lub księga święta jest oznaką wiary. Sztandar jest znakiem wolnej Polski, wspólnej matki wszystkich polskich żołnierzy. Dlatego oddajemy mu najwyższą cześć wojskową.

Przysięga, złożona przed temi dwiema świętościami: boską i ziemską, jest dla każdego żołnierza zobowiązaniem.

wiązaniem najmocniejszym. Łamie ją tylko łotr, a wtedy, podczas pokoju czy na wojnie, czeka go pogarda kolegów i sroga a zasłużona kara. Człowiek uczciwy dotrzymuje przysięgi zawsze.

Co rok witamy was radośnie, młodych żołnierzy składających przysięgę. Rodzina nasza wojskowa co roku się powiększa. Polska zyskuje co raz więcej przygotowanych do skutecznej o nią walki obrońców. I na miejsce tych, którzy są już przeszkoleni, przychodzą inni, młodzi i zdrowi, żeby z rąk poprzedników wziąć karabin.



W chwili przysięgi.

Fot. W. Pikiel

PRZYSIĘGA

Przysięgam Panu Bogu:
w wierności Polsce trwać,
na mej ojczyzny progu
walecznie w szyku stać.

Za sztandar, cześć i prawa
ochoczo ruszać w bój,
jak każe mi ustawa
i honor każe mój.

Wypełniać w lot rozkazy,
tajemnic wojska strzec,
jak żołnierz — żyć bez skazy,
gdy trzeba — mężnie lec.

Przysięgi tu złożonej
dotrzymać abym mógł —
na Krzyżu umęczony
tak mi dopomóż Bóg!

Antoni Bogusławski

CZEGO SIĘ MŁODY ŻOŁNIERZ OD STARSZEGO DOWIEDZIAŁ

Siedział rekrut Szulc Kazimierz podczas odpoczynku przy oknie w izbie koszarowej i okrutnie mu się cniło. Z kolonistów był, ale Polak, bogatych rodziców jednak, nie tylko do dobrobytu przywykły ale i do wygody. Więc też z początku przyzwyczać się nie mógł do koszar.

Najgorzej mu było z tem, że ani na chwilę nie mógł pozostać sam w ciszy. Nie przywykł do tego ciągłego, choćby i stłumionego gwaru, do obcych twarzy, do wstawania na głos trąbki lub komendy i do nieustannego wykonywania rozkazów.

Rozkazywali wszyscy. A wiadomo, że wojsko na rozkazach stoi. Ani mowy, żeby się polenić albo nie wykonać!

Myślał sobie o tym wszystkim Szulc, przypominał, jak to jest w domu, i mimowoli mruczał pod nosem piosenkę o Jasiu i Kasi, bo tę nutę z dzieciństwa pamiętał. Dziwnie mu się oblekła w tę piosenkę cała tęsknota za domem.

Nagle zerwał się na równe nogi i wyciągnął się przepisowo: do okna podchodził starszy strzelec Dąbrowski, który dziś rano musztrował ich, kilku rekrutów na placu koszarowym ucząc salutowania. Dąbrowski był wielki służbista i rekruci bali się go jak ognia.

Tymczasem Dąbrowskiemu ani w głowie nie było dokuczać Szulcowi, ani się z niego prześmiewać. Położył mu rękę na ramieniu.

— Co, Szulc? Ciężko i tęskno?

— Tak jest, panie drużynowy — machinalnie odpowiedział chłopak, i odrazu przeleciało mu przez głowę: „Ojej! A może to nie wolno w wojsku, żeby było ciężko i tęskno!”

Dąbrowski uśmiechnął się tylko.

— Nie bójcie się, bracie! Nie wam jednemu! Każdy, jak przyjdzie do koszar, to z początku połapać się nie może i samego siebie w tym odnaleźć. Ale to wam przejdzie, jak i innym przeszło.

Tu zamyślił się przez chwilę, mrużąc oczy.

— Widzicie — powiedział — cała rzecz w tym, że to życie całkiem od cywila odmienne. Inaczej być nie może, bo nie utrzymałbyś porządku wśród tylu ludzi, co się tu z różnych krańców Polski zeszli. Skądęście Szulc?

— Z pod Brzezin.

— Tak. A ja z Białegostoku. A są tu chłopaki i z Radomia, i z Krakowa, i z Wilna, i z Warszawy. Trzeba ich wszystkich jednego ładu nauczyć, i to prędko, bo czasu niema. W półtora roku tak musicie wszystko spenetrować, żeby z was był żołnierz, a nie malowana lala. Niema kiedy się z wami ceckać!

— Więc wam powiem — ciągnął dalej — póty będzie ciężko, póki sami się nie weźmiecie w ręce. Tu nikt waszej krzywdy nie chce, bo co komu po niej, ale i nikt się wami osobno zajmować nie będzie. Sami musicie sobie dać radę, powiedzieć: nie baba jestem, wytrzymam.

— I popatrzcie — zapalił się nagle Dąbrowski — jakie to wszystko ciekawe! I te ćwiczenia, i te porządki wojskowe, i ci ludzie naokoło was! Tegoście przedtem nie znali. Ot cywil, jak każdy, a teraz żołnierz. Uczysz się robić bronią, żeby cię byle ciura nie mógł pokonać i zabić. Uczysz się koleżeństwa wojskowego, a to ważna i w życiu pożyteczna rzecz! Uczysz się posłuszeństwa rozkazom, a kto słuchać nie umie, ten nie umie i rozkazywać. A potem: chuderlawe z was chłopczyśko, niewyrośnięte, w piersiach wąskie i ruszać się jak należy nie umiecie. Za rok będziecie zdrów jak byk, i zgrabny jak świeca. Jak pojedziecie na urlop do domu, będą za wami dziewczyny latały. Byleście się teraz nie dali!

— Oj, znałem ja takich, co dali się zahukać odrazu i do końca służby ofermami byli! Może i niegorsi mogli być od innych, ale nie chcieli odwyknąć od cywilnego mazgajstwa i później tak już zostało. Ja tam wam wszystkim dobrze życzę, choć was pędzam, bo tak trzeba! I wam dobrze życzę, Szulc, i mówię to, żebyście wiedzieli, bo drugi raz nie będę miał kiedy z wami pogadać.

Przyzwyczaicie się do wojska prędko i, jak czas przyjdzie, żal wam może będzie wracać do domu, do trosk i kłopotów, co ich w cywilu tak wiele — westchnął Dąbrowski — Ot, nie przymierzając, ja...

— Ale co tam mlecć po próżnicy! Uszy do góry i wiedźcie, że tylko od was samego zależy, czy będziecie dobrym żołnierzem, czy pośmiewiskiem kolegów. A zaśpiewać — owszem, jak was zeprze, choćby o tym Jasiu i Kasi... Na to są piosenki, żeby je pamiętać i śpiewać, bo to na tęsknotę pomaga.

— No, a teraz biegiem, bo grają na zbiórkę, a nikt za was ćwiczyć nie będzie! Marsz!



TAJEMNICA WOJSKOWA

Stach wychodząc z biura P. K. U., gdzie sprawdził, czy zamieszczony został w spisach wojskowych, przeczytał zawieszony w widocznym miejscu na ścianie napis:

„Bądź ostrożny w mowie!
Nieprzyjaciół podłuchuj!”

Dziwne mu się to z początku wydało. Bo jakże? Gdyby była wojna — to jeszcze... Szpieg mógłby być ciekawy, jakie wojsko idzie, dokąd i co zamierza robić. Stach był młody; wojny nie pamiętał. Ale historie szpiegowskie z wojny widywał w kinie i czytywał w powieściach.

— Czego taki szpieg dowie się w czasie pokoju? — rozmyślał idąc do domu. Że jest w Polsce wojsko, to wie bez szpiegowania. Że się ćwiczy, że chodzi na manewry — no, to wszyscy wiedzą. Gdzie jaki pułk stoi — hm, toby mu się może przydać mogło, ale o to też nie trudno się dowiedzieć. Więc z czym tu się kryć, o czym nie mówić?...

Łamał sobie i łamał głowę i — prawdę powiedziawszy — nic nie wymyślił. W domu nie miał z kim o tem porozmawiać, bo ojciec już nie żył, a matka, jak to kobieta, domowymi troskami więcej była zajęta. A i z żadnym z przyjaciół ani kolegów, też się jakoś o tej sprawie nie zgadało.

Aż dopiero na parę dni przed wyjazdem do wojska poszedł pożegnać się z panem Wincentym, majstrem siodlarskim, a swoim chrzestnym ojcem. Pan

Wincenty był człowiek bywały: wojnę światową całą odbył i aż nad ocean Lodowaty, na Murman, zawędrował. Przytem Polak był rzetelny, szczerzy, a krzyża walecznych, którego wstążeczkę przy ubraniu nosił, za darmo nie dostał, bo i ranny był na wojnie dwa razy.

— Cóż, Stachu — powiedział pan Wincenty chrześniakowi — służyć idziesz? A do jakiej też broni?

— Przydziel mam do artylerii.

— Hoho! Piękna broń! Artylerzyści przy dziale — to jakby jedna rodzina. Sam jestem stary ułan, ale się i na piechotę bijałem, a zawsze, kiedy nam nasza artyleria zagrała, raźniej było na duszy i lepiej się walczyło. A nie markotno ci matki zostawiać?

— Ano, trochę, ale to przecie nie wieki.

— Z fantazją, chłopcze! Nie za morza jedziesz, ale na swojej ziemi będziesz służył. Pamiętaj: starszych słuchaj, swoje rób, a o służbie do obcych pary nie puszczaj!

— Dlaczego? — zapytał Stach.

— Dlaczego? Bo z tego dla wojska krzywda.

— Powiedźcie, ojcze chrzestny — zagadnął Stach, ośmielony — jaka też to krzywda być może. Bo ja myślę sobie i kalkuluję i nic wymyśleć nie mogę.

— Nie możesz, boś młody fryc, mało wiesz i każdemu dowierzasz. A ja ci coś powiem, to zaraz zrozumiesz.

Jedziesz sobie koleją z pułku na urlop do domu. Wesoło ci na duszy, boś młody, bo matkę zobaczysz, boś się dobrze sprawiał. Przysiada się do ciebie inny pasażer, papierosem częstuje, w gawędę wciąga. Gdzie służysz, ilu was tam w pułku, jak was karmią, czy zgo-

dnie w koszarach żyjecie, jacy oficerowie i jacy podoficerowie. Ty gadasz jak głupi, a jak jeszcze butelkę wyciągnie, wódką potraktuje, toś już gotów całą duszę wygadać. Myślisz: człowiek serdeczny, przychylny, a to szpieg.

— Szpieg? Na cóż to jemu te wiadomości?

— A na to, żeby potem swoim starszym zdać raport: żołnierz takiego a takiego pułku opowiedział mi to a to. Oni, jak takich raportów dostaną ze sto albo więcej, zaraz to sobie ułożą, porównają — i potem mają jak na dłoni obraz całego naszego wojska: co gdzie się dzieje, jak co wygląda. Myślisz, że im to nie potrzebne? Potrzebne, bracie, bo według tego wiedzą dokładnie, co u nas dobre, co gorsze i jaką mamy siłę. Z opowiadania takich głuptasów niejednego dowiedzieć się można. Kto mądry z obcym człowiekiem gadać o służbie nie będzie. Nie jego babki interes!

— A bywa — dodał po chwili pan Wincenty — i jeszcze inaczej. Bywa, że jak pójdziesz z koszar za przepustką do miasta, to podejdzie do ciebie taki niby przyjaciel (a czasem dziewczyna), będzie ci ganił wojsko, zachęcał do nieposłuszeństwa, do szpiegowania swoich. Zechce ci za to stawiać poczęstunek albo dawać pieniądze. Wiedz, że to najgorszy, najpodlejszy wróg — i twój, i całej Polski. Bywa, że się taki czasem i do koszar wśliznie. Takiego — za łeb i do komendy! To też obcy szpieg, obcy sługa, co ciebie, żołnierza, chce zmianić! Rozumiesz?

— Teraz rozumiem — rzekł Stach i pochylił się panu Wincentemu do ramienia.

— No, z Bogiem, chłopcze, a pamiętaj: dużo robić, mało gadać! Tylko taki bywa dobrym żołnierzem.

NASZ SZEFE KOMPANII

Nasz szef kompanii, starszy sierżant Dąbrowski — to zuch nad zuchy. Nie z jednego pieca chleb jadął i nie tylko służba, ale i wojna mu nie pierwszozna. Świadczy o tym krzyż walecznych i medale wojskowe na piersiach wiszące obok krzyża zasługi.

Z początku bałem się naszego szefa, jak baliśmy się go wszyscy rekruci świeżo do pułku przybyli. Głos ma nie gruby, ale tak donośny i taki jakiś mocny, że człowieka do cna przejmuje. A kiedy tym głosem wyda rozkaz, to same nogi zwracają się na pięcie, aby ten rozkaz wykonać. Duży nie jest, najwyżej średniego wzrostu, tylko bardzo zgrabny, mocny i wyćwiczony. Zobaczyliśmy to podczas manewrów, kiedy wydawało się, że go się trudy nie mają.

Wtedy to przestaliśmy się go bać. Wymagać — wymagał, nie mniej, jak w koszarach, ale pokazało się, jaki jest o żołnierza dbały. Nie było dnia, żeby wszystkiego sam nie obejrzał i o wszystko nie wypytał. Jak co zarządził, to jego zarządzenie było najmorowsze i najlepsze. Byliśmy dumni z naszego szefa, bo przez niego i kompania uznana była za pierwszą w batalionie, i niejedną pochwałę dostała.

Pytam ja kiedyś pana plutonowego Karbowski, skąd jest pan szef Dąbrowski rodem. Powiada: z Warszawy, z naszej stolicy. W wojsku już służy oddawna, bo młodym chłopcem wstąpił na ochotnika, kiedy Niemców od nas wypędzali. Potem odbył wojnę z bolszewikami, zasłużył się, został podoficerem i już w wojsku pozostał. Niestary jeszcze: nie będzie miał trzydziestu pięciu lat.

Ha! — myślę — tak mu się zdarzyło, że była wojna, to się mógł odznaczyć. Żeby tak na mnie, też-bym chciał być sierżantem-szefem i mieć tyle lat służby i medale. Ale nawet pan plutonowy ich nie ma, a cóż dopiero niedawny rekrut!... Powiadam o tem panu plutonowemu. Roześmiał się.

— Dzieciak z was — powiada — kiedy tak myślicie. Od wojny przeszło już kilkanaście lat i, da Bóg, nowa wojna nieprędko będzie. Jakże chcecie, żeby w podoficerskich stopniach byli sami tacy, co wojnę przebyli? Jeszcze ich jest sporo, i to dobrze, bo to ludzie dzielni, doświadczeni, aleć przecie z każdym rokiem mniej ich będzie. Przychodzą nowi, co wojny nie pamiętają, ale przyuczają się przy starszych, nabierają od nich doświadczenia i pod kierunkiem oficerów wyrabiają się na dobrych podoficerów.

Zamyślił się chwilę pan plutonowy Karbowiak, a po chwili tak ciągnął dalej:

— Wy, młodzi żołnierze, a nawet i starsi, mało kiedy zrozumiecie, co to jest służba podoficera. Jest to bardzo ważna służba. Jeżeli wojsko możnaby porównać z wielką fabryką, która co rok wypuszcza przygotowanych do służby żołnierzy, to oficerowie są jakby inżynierami w tej fabryce, a podoficerowie — majstrami. I najlepsza fabryka stanie, jeśli będzie miała kiepskich majstrów. Przy każdej robocie trzeba doglądu, sumiennego wykonania — i to właśnie jest zadanie majstra w fabryce, podoficera — w wojsku.

A jak przyjdzie wojna, to podoficerowi nieraz wypadnie samodzielnie dowodzić mniejszym oddziałem, ponosić odpowiedzialność za wykonanie zadania bojowego, za życie i zdrowie swoich podkomendnych. Widzie-

liście to chyba i na manewrach, podczas ćwiczeń w polu, kiedy spełnacie rozkazy swego drużynowego.

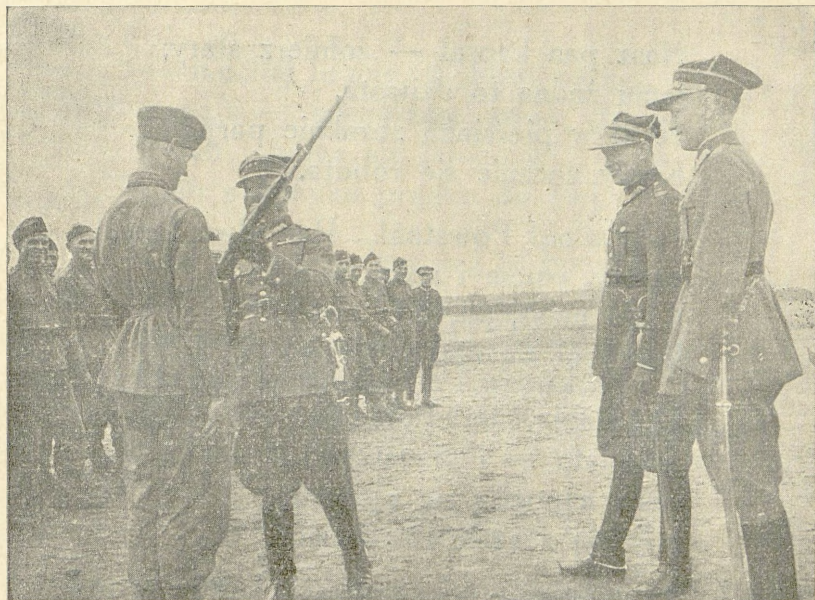
Dlatego to w Polsce stan podoficerski jest w dużym poszanowaniu. Państwo dba o wyszkolenie podoficera, o jego wykształcenie, o byt, a po zakończeniu służby zawodowej w wojsku daje mu emeryturę lub pracę. Można powiedzieć, że się podoficerami u nas równie gorliwie opiekują, jak oficerami — i to jest słuszne.

Jest jeszcze jedna dobra rzecz u nas, która nie wszędzie istnieje zagranicą: dobry, zdolny podoficer może nauczyć się, skończyć szkołę wojskową i zostać oficerem, jeżeli na to zasłuży. Bo nasze państwo jest demokratyczne: niema w nim przywilejów wynikających z urodzenia, z majątku, ale tylko z zasługi własnej. Ot, chociażby pan sierżant — szef Dąbrowski, o którym mówiliśmy: ojciec jego był biednym robotnikiem i w dzieciństwie go odumarł, a pan sierżant służy dziś Polsce na pięknym stanowisku, syna kształci w korpusie kadetów, ma i byt dobry, i poważanie u ludzi. A i wy go kochacie, choć od was dużo wymaga, bo jest dbały o was i sprawiedliwy.

Prawdę mówił pan plutonowy Karbowski. Żeby nie to, że po wojsku trzeba do domu wracać, staremu ojcu w warsztacie pomagać, to kto wie? — możebym się podał na nadterminowego. Trzeba o tem pomyśleć i z rodzicami się poradzić.



Kochanką moją jest karabin...



Wręczenie karabina.

KARABIN

Ten karabin — to jest bracie,
Taka dziwnie chytra sztuka:
nic — gdy z kozłów patrzy na cię,
pies — gdy zaczniesz się nauka.

— Broń do nogi! Broń na ramię!...
Niby to tam tylko tyle,
a doprawdy, że nie skłamię:
nie zmiarkują ci cywile,

ile to to z tym kłopotem
ile z tym się człowiek
aby był, jak przystało
gdy rozlegnie

Nasz pan kapral — żołnierz stary;
jemu żadna to dziwota,
że ci w piersiach zbraknie pary,
Kiedy zaczniesz się robota.

— Padnij! Powstań!... Raz, dwa razy,
cztery, osiem i szesnaście...
Ciało masz, jak bite zrazy;
kości mi się nie rozłączcie!

Et, diabła tam! Pobolało,
pobolało — i przestanie!...
Lecz napocisz się nie mało,
gdy się zaczniesz rozbieranie.

Tu kawałek... to do tego...
to tam znowu przynależy...
O, laboga! o, kolego!
Ratujże, kto w Boga wierzy!

Trzeba, prawdę powiedziawszy,
mądrym być, jak jaki rabin...
...Alem dzisiaj już łaskawszy
na tę moją broń — karabin.

Przez ten miesiąc — już go lepiej
i poręczniejsz jakoś chwytam...
Toć nie święty garnki lepi!
A jak nie wiem — to się pytam.

Kiedy u nas po przysiędze
była w pułku defilada,
tom se czytał, jakby w księdze,
co mi broń do ucha gada:

— Kochaj bracie, tę broń swoją;
z nią-ś — żołnierzem, ona-ć chroni.
Tylko tchórze się jej boją;
zuch przywyka prędko do niej.

Czy w pokoju, czy też w boju —
jeśliś wiernym Polski synem,
nie poszczędzisz trudu, znoju,
by być w drużbie z karabinem!

Antoni Bogusławski

ZDOBYWAMY P. O. S.

Korzystając z wolnej godziny wziął się Antek do pisania listu. Dawno już nie pisał do domu, to też teraz zebrało mu się na długi list. Niech tam kochani rodzice wiedzą, jak tu żyje, jak mu się powodzi. Najważniejszą jednak rzecz, z której był bardzo dumny, zostawił na ostatek:

„W zeszłym tygodniu zdobyłem P. O. S. — pisał — Nie wiecie, co to takiego, to wam objaśnię. P. O. S. — to znaczy: państwowa odznaka sportowa. Daje się ją takiemu, który zdał jakby egzamin ze sprawności swojego ciała: że dobrze chodzi, biega, skacze, strzela, pływa, rzuca granatem ręcznym lub kulą. Powiecie: nie dziwota, że nasz Antek to potrafi, bo go tego w wojsku uczą. Ale nie każdy i w wojsku odznakę dostanie.

Trzeba to wszystko zrobić w przepisany czas i warunkach. I to nie jest odznaka tylko dla żołnierza, ale może ją dostać każdy cywil, czy to mężczyzna, czy kobieta, jeżeli taki egzamin zda.

Spytacie się: a na co to potrzebne? Toć, jak kto krzepki i mocny, to sił mu od tego nie przybędzie, a jak chuderlawy — to mu nie pomoże. I ja tak dawniej myślałem, ale mi mądrzejsi wytłumaczyli.

Widzicie, jak człek się nie ćwiczy, sił swoich nie rozwija, to one w nim zanikają. Albo jak robi jedno tylko ćwiczenie — to potrafi je dobrze, ale nic innego nie będzie umiał. A tu chodzi o to, żeby się rozwijał nie jak podcinane drzewko tylko we wzrost, ale na wszystkie strony.

Co przyjdzie komu z tego, że dobrze pływa, jeśli przepłynąwszy parę staj, już się zasapie? Albo jeśli nie potrafi rzucić kamyka daleko od siebie, tylko sobie pod nogi? Ile to razy w życiu zręczność, zgrabność człowiekowi się przyda i nie tylko jemu!

Bo człowiek wyćwiczony — to zwykle człowiek zdrowy. Jemu z tym lepiej, że się go choróbka nie imają, a także, kiedy się ożeni, to ma zdrowe dzieci. Więc to jego ćwiczenie nie tylko jemu samemu służy, ale i jego dzieciom.

Polska, nasze państwo, chce, żeby nasz naród był mocny i zdrowy, i w tym pokoleniu, co teraz żyje, i w następnych. Zdrowy naród lepiej może pracować dla siebie, więcej zarabiać, łatwiej się bronić przed niebezpieczeństwem. Dlatego wymyślono tę odznakę P. O. S., żeby jak najwięcej Polaków wyćwoczyło się, zyskało moc i zdrowie.

W wojsku co rok jest egzamin na P. O. S., ale po wsiach i miastach też go wszędzie zdawać można — przy przysposobieniu wojskowym, w różnych stowarzyszeniach i związkach. Najprzód dostaje się zwykle brązową odznakę; potem dostać można srebrną, a nawet i złotą, ale tam już są ćwiczenia trudniejsze.



Branie przeszkody.

Odznakę trzeba co pewien czas zdobywać na nowo, i to jest sprawiedliwe, bo inaczej ktoś, kto dziś jest zgrabny i sprawny, jutro mógłby zleniwieć, roztyć się i nie być już wart P. O. S.

Opowiedzcie Staszкови, że mam tę odznakę; on należy do Strzelca, to powinien wiedzieć, co to znaczy. Powiedzcie mu także, że kiedy z wojska wrócę, to zabierzemy się oba do roboty, żeby jak najwięcej chłopaków i dziewczyn od nas ze wsi mogło państwową odznakę sportową dostać.

Bo to i radość, i honor dla wszystkich i inaczej ludzie na takiego patrzą, co jest zuch, a nie niedołęga. Jak mi P.O.S. przypinali, to pan kapitan poklepał mnie po ramieniu i powiada: — No, Grzelak, zuch jesteście; mam nadzieję, że się nigdy nie dacie zjeść w kaszy i że z kolei na srebrną odznakę zasłużycie. — To mi się tak przyjemnie zrobiło, jakby mnie miodem po sercu smarował.

Ucieszcie się i wy ze mnie, a teraz kłaniam się i pozdrawiam, a także wszystkich krewnych, przyjaciół i sąsiadów.

Kochający was syn

Antek



— Patrz pan, panie Wojciechu, co tera w tem wojsku uczą. Kapral strzela, a rekruty ganiają za kulką, żeby ją złapać.

JAKIE WOJSKO ZWYCIĘŻA

Najważniejszym narzędziem siły państwa jest wojsko.

O sile wojska stanowią: dowództwo, duch, jaki w tym wojsku panuje, wyszkolenie i uzbrojenie.

Dowództwo nad naszym wojskiem miał w swych rękach wielki wódz, marszałek Piłsudski, którego naród i wojsko darzyły bezgraniczną miłością i zaufaniem. Dziś spoczęło ono w rękę wyznaczonego przez umiarkowanego Marszałka, sławnego z odniesionych zwycięstw gen. Śmigłego-Rydza. Duch, jaki w naszym wojsku panuje, pozwala Polsce spokojnie patrzeć w przyszłość zapewniając jej bezpieczeństwo.

Polacy znani są od wieków jako naród rycerski. Słowo rycerz określa człowieka „bez strachu i skazy”, który zawsze gotów bić się w obronie ojczyzny, w obronie słabych i uciśnionych.

Rycerz jest zaprzeczeniem słowa „żołdak”. „Żołdak” jest bowiem najmitą, który tylko dla osobistych korzyści bije się za każdą sprawę, dobrą czy też złą.

Byliśmy i jesteśmy narodem rycerskim, nigdy żołdackim. Te nasze piękne tradycje historyczne, które przez wieki zrosły się z charakterem całego narodu, muszą obowiązywać przede wszystkim nas — dzisiejszych żołnierzy.

Wszak jesteśmy następcami tych, którzy w stalowych zbrojach gromili Krzyżaków pod Grunwaldem, Turków pod Wiedniem, Szwedów pod Kircholmem, a Moskali pod Kłuszynem. Ale sama odwaga, silne ramię i wytrwałość w walce przejęte w tym dziedzictwie nie wystarczają. Trzeba również pielęgnować te cechy serca i ducha, które robią z nas ludzi rycerskich.

Jeśli chodzi o liczebność wojska, to mamy dostateczną siłę, by przeciwstawić się każdemu napastnikowi. Liczebność zresztą nie stanowi o sile i o zwycięstwie. W wojnie 1919 — 1920 roku pobiliśmy Rosjan na głowę, a Niemców, jak uczy historia, zwyciężaliśmy zawsze, bili ich zresztą niegorzej powstańcy wielkopolscy.

Nad przysposobieniem się do wojennego rzemiosła, nad wyszkoleniem pracujemy codziennie, abyśmy, gdy zajdzie tego potrzeba, mogli naszym obowiązkom podołać.

Najważniejszą cechą wojska jest karność, bez której nie może istnieć wyszkolenie.

Gdy się powie „żołnierz”, to na myśl przychodzi „karny”. Karność jest podstawą istnienia wojska: jest też cechą najwięcej rzucającą się w oczy, która odróżnia wojsko od innych zbiorowisk ludzkich.

Wojsko musi mieć o wiele wyraźniejszy podział na tych, co kierują i tych, którzy wykonywują otrzymane polecenia; karność musi tu być posunięta do najdalszych granic, ponieważ wojsko jest narzędziem wojny, a na wojnie ważą się losy państwa i narodu. Jeśli na przykład w kopalni węgla chodzi o życie kilkudziesięciu osób, to w wojsku trzeba pamiętać o setkach tysięcy ludzi.

Wódz Naczelny musi mieć pewność, że wszyscy podkomendni — generałowie, oficerowie różnych stopni, podoficerowie i szeregowcy wykonują z zupełną ścisłością wydany rozkaz. Inaczej żaden plan się nie uda, wojna będzie przegrana.

Wojsko musi być owiane jedną myślą, gotowe na wszystko, nawet na śmierć; takim też właśnie wojskiem musi być nasze, polskie wojsko.

O zwycięstwie bowiem rozstrzyga duch, wyszkolenie wojska i wódz.

LUDNOŚĆ POLSKI

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

1000 S. MICHIGAN AVE.
CHICAGO, ILL. 60607

TEL: 773-936-5000
FAX: 773-936-5001

WWW.CHICAGO.EDU
WWW.LIBRARY.CHICAGO.EDU

UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

1000 S. MICHIGAN AVE.
CHICAGO, ILL. 60607

TEL: 773-936-5000
FAX: 773-936-5001

WWW.CHICAGO.EDU
WWW.LIBRARY.CHICAGO.EDU

UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

1000 S. MICHIGAN AVE.
CHICAGO, ILL. 60607

TEL: 773-936-5000
FAX: 773-936-5001

WWW.CHICAGO.EDU
WWW.LIBRARY.CHICAGO.EDU

ILU NAS JEST?

Jest nas obecnie, mieszkańców Polski — obywateli Polski, ponad 33 miliony.

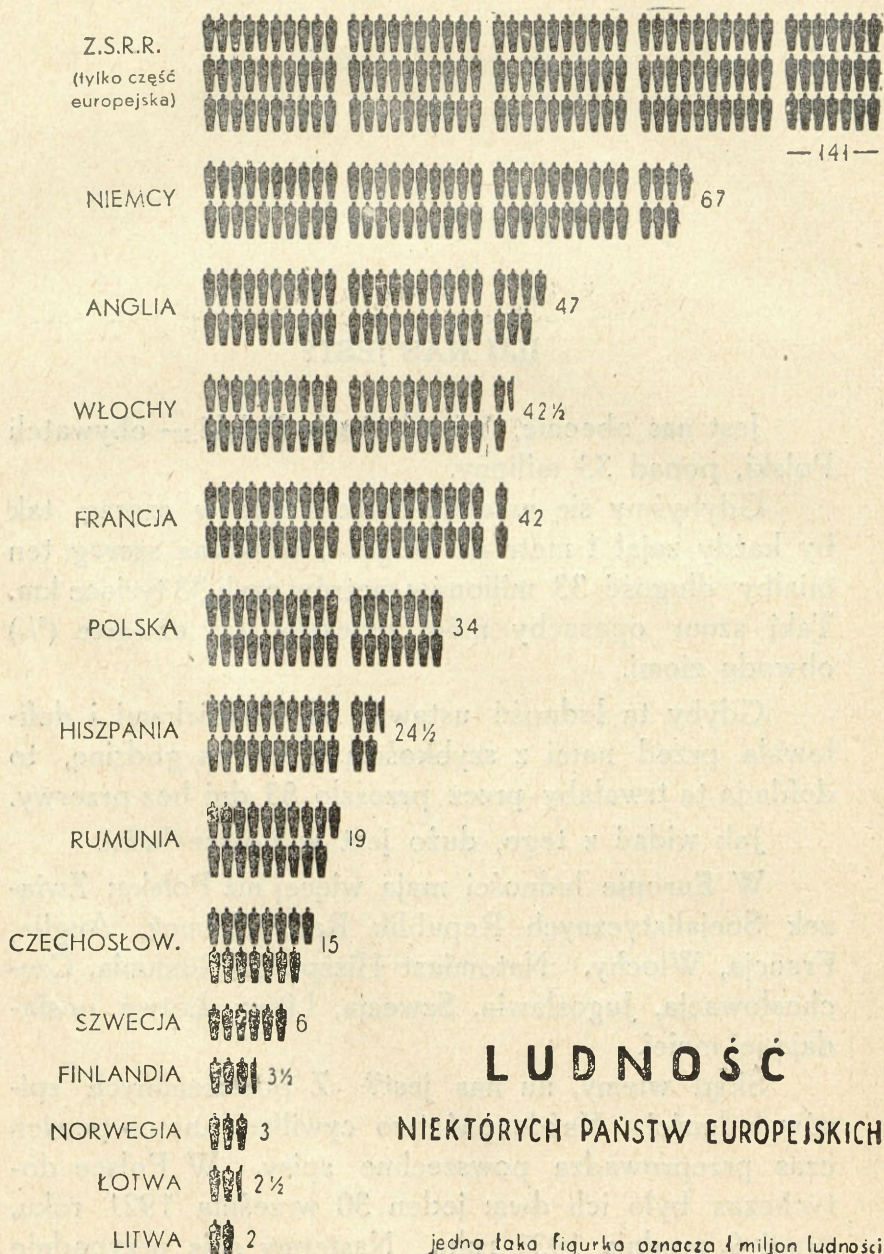
Gdybyśmy się ustawili obok siebie w szereg, tak by każdy zajął 1 metr na długość, wówczas szereg ten miałby długość 33 milionów metrów czyli 33 tysiące km. Taki sznur opasaćby mógł przeszło trzy czwarte ($\frac{3}{4}$) obwodu ziemi.

Gdyby ta ludność ustawiła się czwórkami i defilowała przed nami z szybkością 4 km na godzinę, to defilada ta trwałaby przez przeszło 83 dni bez przerwy.

Jak widać z tego, dużo jest w Polsce ludzi.

W Europie ludności mają więcej niż Polska: Związek Socjalistycznych Republik Rad, Niemcy, Anglia, Francja, Włochy. Natomiast Hiszpania, Rumunia, Czechosłowacja, Jugosławia, Szwecja, Litwa, Łotwa posiadają jej mniej.

Skąd wiemy, ilu nas jest? Z powszechnych spisów ludności. Każde państwo cywilizowane co pewien czas przeprowadza powszechne spisy. W Polsce dotychczas było ich dwa: jeden 30 września 1921 roku, drugi 9 grudnia 1931 roku. Następny spis przypadnie



w roku 1941, słowem spisy te przeprowadza się co lat 10.

W roku 1921 doliczono się w Polsce ponad 27 milionów mieszkańców, w r. 1931 ponad 32 miliony. W ciągu więc lat 10 ludność powiększyła się o 5 milionów, czyli rocznie przeciętnie po pół miliona osób.

Jedni ludzie umierają, na ich miejsce rodzą się nowi. Rodzi się ludzi więcej, niż umiera. Jeżeli różnicę między liczbą urodzonych i liczbą zmarłych w ciągu roku podzielimy przez 1000, to dowiemy się, ile przybywa ludzi na każde 1000 mieszkańców. Otrzymamy wówczas tak zwany przyrost naturalny. Przyrost naturalny w Polsce był w 1932 r. 14 na tysiąc, zaś w roku 1933 ponad 12 na tysiąc.

Przyrost naturalny nie jest na świecie jednakowy. W Europie większy niż w Polsce mają: Bułgaria, Rumunia i Związek Sowiecki. Natomiast wszystkie inne państwa w Europie mają przyrost mniejszy niż Polska.

Wśród ludności Polski przeważają kobiety: średnio na 100 mężczyzn przypada 107 kobiet.

Bardzo ciekawe jest także, w jakim jesteśmy wieku.

Według wyliczeń wypada, iż dzieci do lat 9 jest tyle, iż stanowią one 25% czyli czwartą część ogółu ludności. Od lat 10 do 19 włącznie jest 20% czyli piątą część ogółu ludności, od 20-tu do 29 lat również 20% czyli piątą część, od 30 do 59 lat — około 28%, a powyżej 59 lat jest 7% ogółu mieszkańców Polski.

Ludność Polski jest różnej narodowości. Ludności polskiej jest 69%, innej 31%, a więc ta inna nie sta-

nowi nawet połowy Polaków. Tymi innymi narodowościami wyliczonymi w kolejności od najliczniejszej ku coraz mniej licznym są: ukraińska (ruska), żydowska, białoruska, niemiecka, litewska, rosyjska.

Przeważającym wyznaniem ludności Polski jest wyznanie rzymsko-katolickie.

Pozatym istnieją w Polsce greko - katolicy, którzy należą do kościoła katolickiego obrządku wschodniego, prawosławni, protestanci, wreszcie wyznawcy religii mojżeszowej i mahometańskiej.

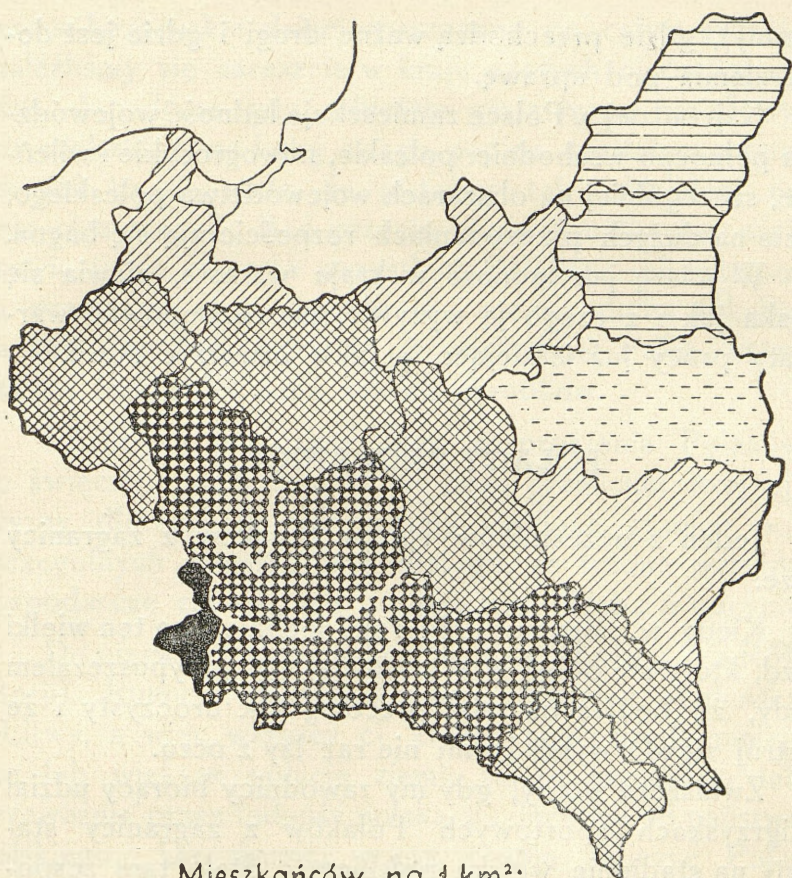
Greko - katolikami są przeważnie Ukraińcy (Rusini), prawosławnymi — Białorusini i Rosjanie. Niemcy są protestantami lub rzymskimi katolikami. Katolikami są również Litwini. Żydzi są przeważnie wyznania mojżeszowego, mahometanie zaś są potomkami dawnych Tatarów.

Ludność Polski żyje w miastach bądź na wsi. Według spisu z r. 1931 ludności miejskiej jest w Polsce 27%, a więc wiejskiej — 73%.

Utrzymuje się ona na wsi z pracy na roli: z rolnictwa, ogrodnictwa, sadownictwa, z hodowli zwierząt (bydła rogatego, świń, owiec i in.), leśnictwa, rybactwa. W miastach lub osadach górniczo-fabrycznych: z górnictwa, hutnictwa, przemysłu, handlu i t. p.

Z powyższych liczb widać, że Polska jest krajem rolniczym, w którym znaczna większość ludności żyje z roli. Chociaż Polska jest krajem rolniczym, rozwija się u nas również przemysł i handel.

Z każdym rokiem ludność w Polsce się powiększa. Ilość ludzi przypadająca na 1 km kwadratowy jest coraz większa. Obecnie wynosi 85 osób, gdy w r. 1921 było 70.



Mieszkańców na 1 km²:



Gęstość zaludnienia Polski według województw.

Najgęściej ludność Polski żyje w województwie śląskim, następnie krakowskim, łódzkim, kieleckim, słowem w południowo-zachodniej części Polski.

Największa gęstość, jak widać, jest tam, gdzie istnieją duże bogactwa kopalne (zwłaszcza węgiel ka-

mienny), gdzie przechodzą ważne drogi i gdzie jest dobra ziemia pod uprawę.

Najrzadziej w Polsce zamieszkuje ludność województwa północno-wschodnie: poleskie, nowogródzkie i wileńskie, szczególnie na obszarach województwa poleskiego, gdzie na dużych przestrzeniach rozpościerają się bagna.

W miarę jak ludność w kraju wzrasta, zjawia się troska jak i z czego ją wyżywić, jak rozbudować warsztaty pracy już istniejące, a jakie otworzyć nowe.

POLACY ZAGRANICĄ

Jeden z uczestników zjazdu Polaków z zagranicy pisze:

Kiedy w sierpniu 1934 roku jechałem na ten wielki zjazd, który się odbył w Warszawie, nie przypuszczałem nigdy, że będzie on miał przebieg tak uroczysty i że nastrój zjazdu wyciśnie mi nie raz łzy z oczu.

Zwłaszcza wtedy, gdy my zawodnicy biorący udział w igrzyskach sportowych Polaków z zagranicy staliśmy na stadionie wojska polskiego. Stały tam zespoły Polaków ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Austrii, Belgii, Brazylii, Czechosłowacji, Francji, Holandii, Łotwy, Mandżurii, Niemiec, Rumunii i z obszaru wolnego miasta Gdańska.

Stali w cieniu flag 13 różnych krajów, ale duchowo należeli do tej jednej, największej, białoczerwonej, dumnie łopoczącej nad zielonym stadionem i nad morzem głów ludzkich.

My zawodnicy uczuliśmy, jak wzruszenie dech nam zapiera, a łzy cisną się do oczu. Oto do nie-

dawna bezpańskie dzieci rozrzucone po całym świecie znaleźliśmy się nareszcie w kraju naszych ojców i dziadów. I podczas gdy orkiestra grała hymn narodowy, gdy czekaliśmy na kolej swego popisu, myślałem o tym, jak też to się stało, że jesteśmy tak oddzieleni od pnia ojczystego? Boć przecie około 8 milionów, czyli prawie jedna czwarta wszystkich Polaków, mieszka poza granicami ojczystego kraju i nie ma chyba zakątka na kuli ziemskiej, gdzieby nie znalazł się Polak, który zawsze tęskni do ziemi swoich przodków.

Różne są przyczyny tego rozproszenia Polaków po świecie. Jedni znaleźli się poza granicami swej ojczyzny dlatego, że tak zostały ustalone granice poszczególnych państw, inni dlatego, że trudne warunki gospodarcze zmusiły ich do szukania chleba u obcych.

Do pierwszej grupy należą: Polacy z Łotwy, Z.S.R.R. (Rosji), Rumunii, Czechosłowacji, Niemiec, Gdańska i Litwy, a więc wszyscy ci, którzy zamieszkują mniejsze lub większe połacie ziemi, zajęte częściowo lub przeważnie przez ludność polską, a oderwane od państwa polskiego. Do drugiej grupy trzeba zaliczyć Polaków wszystkich pozostałych krajów.

Wychodztwo polskie do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej rozpoczęło się już w czasach Kościuszki i Pułaskiego, ale dopiero od drugiej połowy zeszłego wieku wzmogła się bardzo emigracja zarobkowa. Obecnie ilość Polaków w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej obliczana jest na 3 miliony. Są oni zwarci, świadomi swej odrębności narodowej i wielokrotnie czynnie podkreślali swą łączność z macierzą.

W Kanadzie (Ameryka Północna) jest rodowitych Polaków około 80 tysięcy, drugie tyle jest tam Żydów i około 300 tysięcy Ukraińców z Polski. Olbrzymia ich większość to rolnicy pracujący na farmach (farma — gospodarstwo rolne, folwark) pszenicznych.

Liczne też są skupiska naszych rodaków w Ameryce Południowej.

W Brazylii wychodźcy polscy zaczęli osiedlać się dopiero w końcu ubiegłego i początku bieżącego stulecia, kiedy to z Galicji rozpoczął się masowy wyjazd „za chlebem”, tak zwana „gorączka brazylijska”. Po wielu trudach i cierpieniach Polacy karczując puszcze zdobyli sobie mniejsze lub większe gospodarstwa rolne i pewien dobrobyt. Obecnie mieszka w południowej części Brazylii około ćwierć miliona Polaków rozsianych koloniami rolniczymi.

W Argentynie mieszka Polaków około 60 tys. Naogół są oni tam mało zamożni.

Z tych więc dalekich krajów oddzielonych od nas ogromem wód oceanu Atlantyckiego przybyli rodacy na zjazd do ojczyzny.

A oto również goście z dalekich stron, z Mandżurii. Mandżuria leży w Azji, daleko na wschodzie, a w jej mieście Charbinie znajduje się około 4 tys. Polaków. Przywędrowali oni tam jeszcze przed wojną światową dla pracy przy budowie kolei wschodnio-chińskiej.

Szukam oczami rodaków z bliższych krajów, z państw europejskich.

Oto spora grupka Polaków z Francji. Znam dobrze dzieje tej emigracji.

Wychodztwo polskie do Francji rozpoczęło się po utracie niepodległości w końcu XVIII stulecia: każde powstanie wyrzucało na ziemie Francji nowe tłumy emigrantów.

Z chwilą odzyskania niepodległości do Francji znowu popłynęła potężna fala Polaków. Z kraju przybyli tam robotnicy przemysłowi i rolni, a z Westfalii (z Niemiec) osiadli tam przed wojną polscy górnicy. Jechali, bo zniszczona przez wojnę Francja obiecywała im dobry zarobek i spokojną przyszłość. Sprowadzali swe rodziny z kraju albo też zakładali je na miejscu. W ten sposób liczba Polaków we Francji doszła do 880 tysięcy.

Ich to głównie rękami został dźwignięty przemysł francuski i odbudowane kopalnie północnej Francji. W ciężkim znoju pracowali na zaniedbanych fermach rolniczych południowo-wschodniej Francji. Kiedy zaś wykonali najczarniejszą robotę, a kryzys zjawił się i we Francji, chociaż jest ona jeszcze jednym z najbogatszych państw świata, władze francuskie zaczęły wydalać niepotrzebnych już robotników polskich...

Mniejsze skupiska Polaków znajdują się w takich krajach Europy jak Belgia (20 tys.), Holandia (8 tys.), Dania (15 tys.), Austria (tu Polacy w liczbie 20 tys. mieszkają w Wiedniu), Węgry (około 15 tys.), Jugosławia (na terenie Bośni 15 tys. Polaków). Pominę tu inne państwa europejskie, gdzie liczba Polaków jest bardzo mała.

A jak żyją Polacy w państwach sąsiadujących z Polską?

W Niemczech, po wytyczeniu granicy polsko-niemieckiej, zostało odciętych od państwa polskiego przeszło milion naszych rodaków. W głębi zaś Niemiec mieszka około 300 tys. Polaków, którzy przywędrowali tu do pracy w kopalniach i fabrykach jeszcze za czasów naszej niewoli. Położenie tych Polaków, którzy chcą zachować wśród Niemców swą narodowość, jest ciężkie. Polacy bronią się jednak dzielnie przed wynarodowieniem tworząc zwarte organizacje polskie.

W Czechosłowacji, na Śląsku Cieszyńskim i w głębi państwa, mieszka około 200 tysięcy Pola-



Pochód Polaków z zagranicy.

Fot. W. Pikiel

ków. Siedzą oni tam na roli na odwiecznie polskiej ziemi śląskiej, część zaś pracuje w kopalniach i zakładach przemysłowych (głównie w okręgu Karwiny). Los tych Polaków, zwłaszcza w ostatnich czasach, nie jest godny pozazdroszczenia, bo władze czeskie czynią wszystko, aby Polaków przefasonować na Czechów.

W Rumunii ludność polska osiadła z dawien dawna i wynosi około 80 tys. osób.

Tyleż Polaków znajduje się i na Łotwie.

Robiąc przegląd tych Polaków z zagranicy ze smutkiem pomyślałem o tych rodakach, którym nie pozwolono przyjechać na zjazd. Są to Polacy zamieszkali w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, czyli w Rosji. Mieszka tam przeszło 2 miliony Polaków, którzy są zupełnie odcięci od Polski.

Na Litwie los Polaków (200 tysięcy) jest niewiele lepszy. Rząd litewski pała taką nienawiścią do wszystkiego, co polskie, tak prześladuje narodowość polską, że dola Polaków mieszkających na Litwie od pół tysiąca lat jest naprawdę ciężka.

Na całym tedy świecie, wszędzie gdzie istnieją większe skupienia Polaków, a rządy obcych państw nie uciskają zbytnio, rodacy nasi mają swoje organizacje i związki: kulturalne, sportowe, gospodarcze, swoje pisma i gazety. Wszędzie też z większą lub mniejszą energią usiłują jak najdłużej zachować miłość kraju ojczystego i piękną mowę ojców swoich.

Ten wielki zjazd Polaków z zagranicy, dowodził niezbiecie przywiązania rozproszonych synów Polski do macierzy. Zjednoczeni w Światowym Związku Polaków z Zagranicy, którego działalność powinni popierać wszyscy obywatele w kraju, nasi rodacy z całego świata nie ztratą poczucia polskości.

O tym myślałem, stojąc na stadjonie wojska polskiego w cieniu wielkiego biało-czerwonego sztandaru.

ROLNICTWO

PLATE TWO

POLSKA – KRAJ ROLNICZY

W każdym kraju ludność inaczej zdobywa sobie środki do życia.

W jednych krajach większość ludzi zajmuje się handlem czy przemysłem, jak np. w Anglii, Belgii, Szkocji, w innych zaś ludność w przeważającej liczbie trudni się rolnictwem, jak np. w Rosji, Bułgarii, Węgrzech, Estonii i t. d. Do tych ostatnich zalicza się również Polska.

Te śliczne i rozległe tereny uprawnych pól, łąk, pastwisk, wód i lasów, których pięknymi widokami się zachwycamy zwłaszcza w porze letniej, dają utrzymanie blisko 23 milionom ludności polskiej. Stanowi to 73% ogółu zaludnienia Polski, czyli na każdym 100 mieszkańców w Polsce 73 mieszka na wsi i utrzymuje się z rolnictwa.

Jak wiemy, Polska jest krajem drobnorolniczym. Zatem większość ludzi żyjących na roli — to drobni właściciele gospodarstw rolnych.

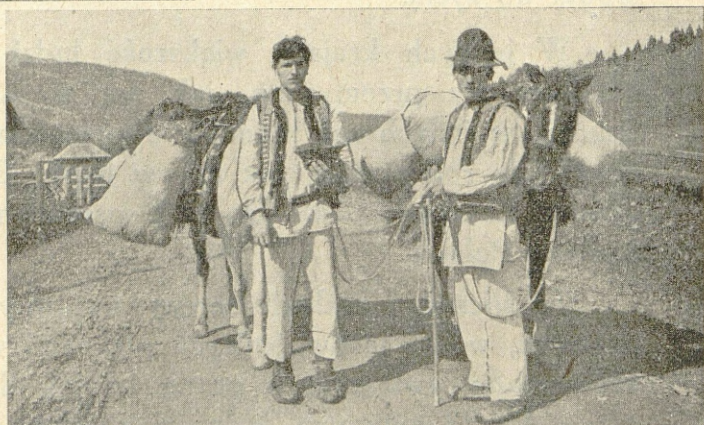
Typy polskie
z różnych stron kraju



Góral z kobzą.

Fot. Photo-Plat

Huculi w drodze na targ.



Kaszubi po powrocie
z połowu.

Typy polskie
z różnych stron kraju

Ślężaczki podczas procesji
we wsi Piekarach.



Tłusty czwartek
w łowickim.

Wesele w krakowskim.



Z ogólnej liczby 3 milionów 262 tysięcy gospodarstw w Polsce, gospodarstw o wielkości do 5 hektarów (9 morgów) jest przeszło 2 miliony, a więc więcej niż połowa. Resztę stanowią gospodarstwa powyżej 5 hektarów, przyczym gospodarstw o powierzchni większej niż 50 hektarów (90 morgów) jest ogółem 30 tysięcy.

Widać z tego, że znaczna większość właścicieli gospodarstw posiada gospodarstwa małe, a wielu z nich, bo przeszło 1 milion posiada gospodarstwa do 2 hektarów. Są to gospodarstwa t. zw. karłowate, które nie wystarczają do utrzymania się na nich rodziny rolniczej.

Przy obecnym zwłaszcza kryzysie rodziny te właścicielom głodują, gdy członkowie rodzin nie mogą zarobić gdzieś z pracy najemnej na wsi czy sąsiednich fabrykach.

Gospodarstwo takie zasadniczo powinno się powiększyć. Sprawą tą — tak zwanego upełnorolnienia lub też tworzenia zupełnie nowych gospodarstw z rozparcelowanych majątków zajmuje się państwo.

Dotychczas w okresie niepodległej Polski rozparcelowano ogółem przeszło 2 i pół miliona hektarów.

Według ustawy o reformie rolnej wszystkie większe majątki mają być rozparcelowane. Pozostać mogą jedynie ośrodki do wielkości 60 hektarów w okręgach podmiejskich i przemysłowych, na pozostałym obszarze w środkowych województwach do 180 hektarów, w województwach wschodnich do 300 hektarów. Poza państwem mogą prowadzić parcelację także osoby prywatne i instytucje społeczne. Dzieje się to jednak pod kontrolą państwa.

Ściśle związana z reformą rolną jest ogólna naprawa stosunków gospodarczych na wsi. Jedną z wielkich bolączek naszej wsi jest tak zwana szachownica, czyli rozmieszczenie gruntów należących do jednego właściciela w kilku lub kilkunastu kawałkach, albo też ziemia w jednym kawałku, ale bardzo wąskim a jednocześnie długim. Wiadomą jest rzeczą, że gospodarowanie na takiej ziemi jest bardzo trudne i ciężkie. Usunięcie szachownicy gruntów czyli tak zwana komasacja odbywa się obecnie dość szybko i żywo.

Wszystkie te prace a więc parcelacja, komasacja, upelnorolnienie i t. p. mają stworzyć podstawę pod dalszy rozwój Polski jako kraju drobnych a właściwie średnio-drobnych gospodarstw rolnych. Są to sprawy bardzo ważne, gdyż od nich zależy, jak rozwinie się produkcja rolna w Polsce, a więc to, co stanowi o głównych środkach utrzymujących nas wszystkich przy życiu.

Najważniejsze z tych środków — to zboża chlebowe (żyto, pszenica) oraz niechlebowe (jęczmień, owies). Prócz tego produkuje się wiele innych ziemiopłodów jak ziemniaki, buraki, len, chmiel, proso, grykę i t. p.

Grunty orne zajmują prawie połowę całego obszaru Polski, wynoszą bowiem przeszło 18 $\frac{1}{2}$ milionów hektarów. Połowa obszaru gruntów ornych obsiewa się u nas zbożami.

Oczywiście na pierwszym miejscu co do obszaru zasiewów znajduje się u nas żyto. Zbieramy go rocznie przeszło 64 $\frac{1}{2}$ milionów kwintali (korcy). W porównaniu z pszenicą jest to zbiór nieco więcej niż trzy razy większy.

W roku 1934 zbiór pszenicy wyniósł 20 milionów kwintali. Zbiór jęczmienia w tymże roku wyniósł 15 milionów kwintali a owsa 25 $\frac{1}{2}$ milionów kwintali. Duże ilości jęczmienia t. zw. browarnego idą na wyrób piwa.

Musimy również pamiętać, że Polska produkuje ogromne ilości ziemniaków. Pod tym względem w Europie Polska stoi na 3 miejscu po Rosji Sowieckiej, która produkuje 468 milionów i po Niemczech produkujących rocznie 444 milionów kwintali ziemniaków, gdy Polska produkuje rocznie 335 milionów kwintali.

Ziemniaki są pożywieniem dla najszerzych warstw ludności nie tylko wiejskiej ale i miejskiej. Ponadto mają one znaczenie jako produkt przemysłu rolnego, gdyż z nich się wytwarza spirytus, krochmal i t. p.

Artykułem przemysłowym w rolnictwie jest również burak cukrowy, którego produkcja w ostatnich latach ogromnie zmalała i wynosi obecnie 26 milionów kwintali. Jest to ilość, z której cukrownie wyrabiają rocznie około 3 milionów kilogramów różnych gatunków cukru.

Nierozłączna z rolnictwem jest hodowla. Pod względem ilościowym stan hodowli w Polsce w ciągu ostatnich kilku lat znacznie się pogorszył, nie trzeba dodawać, że przyczyną tego jest niewątpliwie kryzys. Pod względem jakości naszych zwierząt widać pewną poprawę. Robi się już wiele, aby ten stan i jakość ulepszyć, a więc Izby Rolnicze wstawiają do gospodarstw rasowe byczki, knurki i t. p.

W roku 1934 mieliśmy w Polsce 3 miliony 762 tysiące koni. Jeżeli przeliczymy to na 100 hektarów ziemi, to okaże się, że w żadnym państwie nie ma tak

dużo koni jak u nas. Mamy bowiem na 100 ha prawie 10 koni, gdy np. Niemcy mają tylko 7, Węgrzy 9, Francuzi 5.

Świń mamy dwa razy tyle co koni. Dają nam one świetne pożywienie, a nadto wywozimy je jako sztuki żywe za granicę lub też jako tak zwane bekony.

Bydła w roku 1934 mieliśmy przeszło 9 milionów. Z ilości tej przeszło 8 milionów 100 tysięcy przypada na gospodarstwa poniżej 30 hektarów.

Owiec mamy zaledwie $2\frac{1}{2}$ miliona. W porównaniu ze stanem przedwojennym jest to ilość bardzo mała. Owiec mamy za mało, to też musimy sprowadzać wełnę z zagranicy.

Bardzo ciekawa jest u nas wydajność zbóż oraz poszczególnych ziemiopłodów z 1 hektara na zachodzie a na wschodzie Polski. Wydajność ziemiopłodów we wschodnich województwach jest znacznie mniejsza niż w zachodnich, mimo że gleby w województwie poznańskim i na Pomorzu są przeważnie niezbyt dobre.

Główna tego przyczyna tkwi w człowieku.

Większa wydajność na zachodzie jest wynikiem ludzkiej pracy, wyższej oświaty i w związku z tym, lepszych sposobów gospodarowania. Dzięki tej pracy i nauce o udoskonaleniach w rolnictwie ludzie ci potrafili wydobyć z gorszej gleby lepsze plony. Jest to ważną wskazówką i dobrym przykładem dla rolnika na kresach wschodnich: jednocześnie jest to dowodem, że człowiek, jeśli tylko chce — bardzo wiele może dokonać i ulepszyć w swej gospodarce na roli.

IAK U SIEBIE WE WSI GOSPODAROWAŁ JÓZEF BALON

Staremu Balonowi w Pęchratce niebardzo szło gospodarowanie na swoich trzynastu morgach.

Na polu kiepsko się rodziło, ale i w oborze nie było lepiej. Dwa szkapska ledwo trzymały się na nogach. Krowy też nieładnie wyglądały. Przykro było. Zwłaszcza wiosną, kiedy po całej zimie nędznego odżywiania nie mogły wstać o własnej sile i trzeba było podnosić je za ogony. Mleka krowiny nie miały wiele, bo i po czym miały dawać. To też stara Balonowa musiała długo czekać, aby udoić choć na półkwaterek masła, który na targu trzeba było spieniężyć.

W takich warunkach urodził się, żył i dziś gospodaruje Józiek Balon, jedyny syn Balonów, oraz dwie znacznie od niego młodsze siostry.

Józiek nie był bardzo zadowolony z tego, co się w gospodarstwie działo. Chciał, żeby było lepiej, ale nie wiedział od czego zacząć i gdzie znajduje się przyczyna marnej gospodarki. Od dziecka w tym gospodarstwie pracował, przez 3 zimy chodził do szkoły, gdzie skończył 2 oddziały. Nauczył się czytać i pisać, ale na gospodarstwie nie bardzo się znał — umiał tylko to, czego się przy ojcu przyuczył.

Przyszła jesień. Józka Balona wzięli do wojska. Początkowo cknęło mu się bardzo za domem i swoimi. Czuł się w kompanii osamotniony i smutny. Nie spodziewał się nawet zupełnie, że z czasem będzie się tu czuł jak w domu.

Po okresie rekruckim, kiedy już bliżej zapoznał się z kolegami i wojskowym codziennym życiem, wpadł

kilka razy do żołnierskiej świetlicy. Zobaczył tu różne pisma, gry, widział jak inni żołnierze wypożyczają z czytelnicy książki, opowiadają sobie, jakie ładne książki ostatnio czytali każdy swoją zachwalając.

Podobało się to wszystko Józkowi, zaciekało go i odtąd stał się codziennym niemal bywalcem świetlicy. Tak jakoś było tam przyjemnie, tak miło, tak czuł się każdy dobrze jak u siebie w domu.

Powoli zapoznał się Józiek z różnymi pracami w świetlicy. Wszystko to interesowało go bardzo, ale najwięcej upodobał sobie zebrania żołnierskiego kółka rolniczego, na którym znalazł się pewnego dnia zupełnie przypadkowo.

Zdawało mu się, że to niemożliwe, uszom swoim nie wierzył. — Jakto, myśli sobie, w wojsku mówią i zajmują się rolnictwem? Ale przysłuchał się bliżej. Rzeczywiście zebranie kółka rolniczego. Mówiono o niskim poziomie oświaty rolniczej na wsi i o konieczności podniesienia jej, mówiono o kołach młodzieży wiejskiej, kółkach rolniczych, kołach gospodyń i o ich pracach na wsi. W ciągu kilku zebrań omówiono dużo spraw związanych z gospodarowaniem i organizacjami na wsi. W ciągu lata urządzono 3 wycieczki do gospodarstw wzorowych.

Józef Balon pilnie słuchał i przyglądał się, bo mu dziwnie to wszystko trafiało do przekonania. Czuł, że każde takie zebranie czy wycieczka dużo przysparza wiadomości, a widok tych gospodarstw tak dobrze postawionych dodał mu ogromnej otuchy, że i jego gospodarstwo choć w części kiedyś takie będzie.

Otwierały się powoli oczy Józkowi Balonowi na świat i gospodarstwo. Ciągłe czytał, słuchał i wyszukiwał różne sposoby, żeby z nich jak najprędzej skorzystać.

Zawsze miał na myśli słowa częstokroć powtarzane przez wojskowego instruktora rolnego na zebraniach kółka rolniczego: „żeby dobrze gospodarować, trzeba umieć, ażeby zaś umieć, trzeba się nauczyć; nauczyć można się nie tylko w szkole, ale i w domu własnym, trzeba tylko chcieć”.

Po ciężkich jesiennych manewrach skończył Balon swoją służbę i wrócił do cywila. Oj, cknęło się mocno Józkowi Balonow' za świetlicą, za wojskowym kółkiem rolniczym.

Żał mu było tych kolegów z wileńszczyzny, z którymi tak wiele na zebraniu kółka rolniczego rozmawiał o organizacji młodzieży na wsi, o kółkach rolniczych, o spółdzielniach, o dokształcaniu się samemu na swojej wsi i o wielu innych sprawach. Tymczasem w domu nie zmieniło się na lepsze. Jeszcze bodaj gospodarstwo podupadło, bo przecież nie miał tam kto robić w czasie jego służby w wojsku. Zastanowił się chwilę, popatrzył na podwórze i na te chudoby w stajni i w oborze i zacisnął jakby pięści. Jakieś mocne postanowienie pewnie zrobił sobie Józiek widząc to całe gospodarstwo w takim złym stanie.

Sąsiedzi już w pierwszych dniach jego pobytu na wsi zauważyli w nim zmianę.

— Jakoś wasz Józiek we wojsku się zmienił — powiedziała jedna sąsiadka do matki Józka — wczoraj z poczty dzieciaki przyniosły gazetę adresowaną do niego, a we wtorek znów widziałam, jak niósł na targu w mieście jakiś żółty drut, pewnie będzie zakładał jakieś radio albo co?

Rzeczywiście trudno było poznać Józka Balonowego, jak wrócił z wojska, ale trudniej jeszcze dziś poznać i całą wieś Pęchatkę po 7 latach pracy Balona we własnym gospodarstwie i we wsi.

Już inaczej dziś wygląda jego gospodarstwo, inaczej już u niego na polu, inaczej w oborze i w stajni. Lepsiej się czuje Józiek i na kieszeni, aniżeli dawniej jego ojciec i sąsiedzi.

— Przecież to można zrobić, trzeba tylko chcieć — mówił Józiek, gdy sąsiad dziwił się, jak ładnie obrodziło się Balonowi zboże. Widziałem ja na jednej wycieczce gospodarczej jeszcze ładniejsze zboże, a krowy u tego gospodarza wyglądały niczym na pokaz. Na 16 morgach utrzymał ich cztery — ale to krowy jak kłoce. Mleka rocznie jedna dawała ponad 4 tysiące litrów.

Wiele trudu i pracy włożył Balon w swoje gospodarstwo, aby choć trochę było podobne do tego, co kiedyś widział.

Kiedy tylko mógł, czytał książki rolnicze czy pisma. Chciał zdobyć jak najwięcej wiadomości, zastosować je w swoim gospodarstwie i podzielić się nimi na zebraniu koła młodzieży czy kółka rolniczego.

— Żeby coś zrobić, trzeba to umieć — powtarzał. Szewc, stolarz czy inny rzemieślnik musi mieć ukończone 7 klas szkoły powszechnej i jeszcze kilka lat terminu, a czy rolnictwo to łatwiejszy zawód? Każdy rolnik również powinien się znać na swoim zawodzie, a żeby się mógł znać, musi się i sam pouczyć.

Tak zmienił się Józiek Balon tylko dlatego, że chciał się nauczyć. Nie szczędził na to ani czasu, ani sił. To też dziś i Pęchratka, rodzinna wieś Józka Balona, wygląda jak odbudowana.

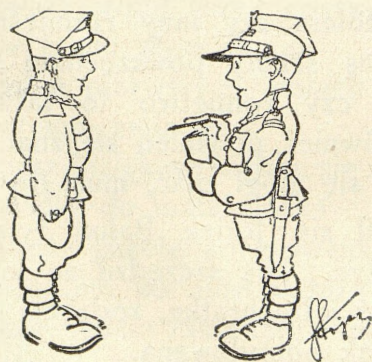
Pracuje tam młodzież wiejska w kole młodzieży, pracują starsi w kółku rolniczym. Pracują już we wsi dwie spółdzielnie — mleczarska i spożywców, a małe

dzieci spędzają czas w ochronce, zbudowanej przez wieś, by się dzieciśka tam wychowywały.

I Balonowa stara nie czeka już aż zrobi z półkwaterek masła na targ. Krowy dają dużo mleka, starczy i dla siebie i na sprzedanie do mleczarni.

Wieś cała wciągnęła się już do roboty, cieszy się z tego dorobku i snuje sobie już nowe projekty, aby zbudować na wsi łaźnię i spółdzielczą piekarnię, a potem może młyn spółdzielczy.

Tak to dzięki pracy i wysiłkom Józefa Balona zmieniła się Pęchratka. Dziś pracuje już nie tylko Balon, teraz cała wieś pracuje z Józefem Balonem na przedzie. Wszyscy już dziś rozumieją, że zgoda, oświata i chęć robi wszystko.



— Jaki był wasz zawód w cywilu?

— Oo wielgi, panie kapral. Tak sie na mojej dziewczynie zawiodłem że do dzisiaj pamiętam!

OSADNICTWO POLSKIE NA KRESACH

Kresami nazywają u nas zwykle wschodnie województwa i powiaty Polski. To też mówiąc „kresy” będziemy tu mieli na myśli wschód naszego kraju, na granicy z Rosją, Rumunią, Łotwą i Litwą.

Ludność tam nie jest jednolita, ale ukraińska (ruska) lub białoruska, na przemianą z ludnością polską.

Od wieków te ziemie są z Polską złączone. Dlatego Polacy tam zamieszkali nie są przybyszami, kolonistami, lecz ludnością rdzenną. Bardzo często są tej samej krwi, tego samego pochodzenia, co ludność niepolaska; złączeni z nią są pokrewieństwem, małżeństwami. Nie można tam przeprowadzić linii granicznej i powiedzieć: Tu — Polacy, a tu — nie Polacy. Za długo ludzie ci żyli wspólnym życiem, dzielili te same losy.

Tak na przykład — z powiatu nowogródzkiego rodem był Mickiewicz; niedaleko, w obecnym powiecie kossowskim, urodził się Tadeusz Kościuszko a w grodzieńskim wódz powstania styczniowego, Romuald Traugutt. Na wileńszczyźnie urodzony, w Wilnie do szkół chodził Józef Piłsudski. Któż ośmieli się twierdzić, że to nie byli Polacy, i wielcy Polacy?

We wszystkich powstaniach narodu polskiego przeciw niewoli rosyjskiej kresy te brały najgorętszy udział, kresy cierpiały ciężkie prześladowanie za język polski, za wiarę katolicką, za to, że się polskimi czuły. Dlatego to Polska tak dba o kresy, dlatego czuje się tam u siebie i nikomu ich nie odda. Jednocześnie jednak wszystkim nie-Polakom, którzy tam mieszkają, zapewnia, jeżeli tego pragną, naukę w ich języku i inne

swobody, bo nie chce nikogo gnębić albo polszczyć gwałtem. Wymaga jednak od nich, aby za to pracowali szczerze dla dobra wspólnego państwa.

Kresy mają mniej ludności niż województwa środkowe, zachodnie i południowe. Są tam znaczne przestrzenie leśne, są i rozległe majątki, kiedyś Polakom przez rząd rosyjski pozabierane, najczęściej — dobra poduchowne, które teraz przeszły na własność rządu polskiego.

Kiedy więc, po ukończeniu wojen i ustaleniu granic wschodnich Rzeczypospolitej, zaczęto się zastanawiać, jak nagrodzić żołnierzy, którzy za Polskę walczyli, sejm uchwalił ustawę o osadnictwie wojskowym na kresach.

Zasłużeni żołnierze otrzymali prawo do bezpłatnie przyznawanych im osad, rozległości zwykle od 10 do 20 hektarów, i do pewnej pomocy przy zagospodarowaniu się i zabudowaniu. Niektóre osady były cokolwiek większe (do 45 hektarów): przeznaczono je dla wykształconych rolników, którzy mieli uczyć innych, jak trzeba gospodarzyć.

Niektóre pułki wysłały swoich osadników wszystkich razem osadzając ich jednych przy drugich. Tym najłatwiej było się zagospodarować. Inni poszli osobno, przechodząc, zwłaszcza na początku, ciężką biedę. Prawie wszyscy oni, zanim pobudowali domy, musieli mieszkać w ziemiankach i zdobywać powoli zaufanie ludności miejscowej. Osiadło tak na kresach kilkanaście tysięcy ludzi na przestrzeni od Wołynia aż pod granicę litewską.

Wielce dał się osadnikom we znaki obecny kryzys gospodarczy i niska cena ziemiopłodów. Przez

pierwsze lata gospodarowania poczynili duże wkłady w budynki, sprzęt, inwentarz i uprawę, a praca ostatnich lat nie zwraca im wyłożonych pieniędzy. Ale jednak większość przetrwała, sprowadziła lub założyła rodziny i utworzyła polskie zagrody. W niektórych większych osadach zdobyli się nawet na postawienie kościoła, domu ludowego i szkoły. Niektóre takie osady odwiedzał Pan Prezydent Rzeczypospolitej. Są one wzorem dla innych.

Żołnierz nasz, kiedy jest na kresach podczas manewrów lub ćwiczeń, zawsze może liczyć na gościnę u osadników i na ich pomoc. Polska tworząc osadnictwo kresowe poszła wzorem lat dawnych, kiedy zasłużonych wojaków osadzano na nadgranicznej ziemi, a oni gospodarzyli tam dzielnie, mając szablę na ścianie swego dworku.

Tak i nasi osadnicy: każda osadnicza zagroda — to polska placówka na kresach.

LASY — BOGACTWO PAŃSTWA I NARODU

Od drewnianej kołyski, z której rzucamy pierwsze spojrzenia na świat, do drewnianej trumny, której wieko kryje nas, gdy na zawsze zamykamy oczy, w całym życiu swoim nie możemy się obejść bez drewna.

Czy to łóże, na którym wypoczywamy; czy ława, na której siadamy; czy stół, przy którym się pożywiamy, czy wreszcie półka lub szafa, gdzie składamy nasze rzeczy, na każdym kroku dotykamy się drzewa.

Bez drzewa nie może się obyć żaden dom — nawet murowany.

Bez drzewa nie mielibyśmy żeglugi rzecznej i morskiej. Bez podkładów nie byłaby do pomyslenia kolej. Bez słupów nie doszlibyśmy do tego postępu, jaki dał światu telegraf i telefon. Więcej — bez drzewa nie mielibyśmy taniego papieru i wielu innych pożytecznych rzeczy.

Las wyprowadził człowieka pierwotnego z przyziemnych lepiank. Dzięki jego zwierzyńce, jagodom i grzybom oraz możliwości podtrzymywania ogniska miał człowiek od prawieków zapewnione pożywienie.

Las w znacznym stopniu przyczynił się do rozwoju życia przemysłowego przez powstanie wielu warsztatów pracy, związanych z przetworem drewna i z eksploatacją lasów (ciągnięcie zysków z lasu), dając pracę wielu setkom tysięcy ludzi. Przeróbką drzewa zajmują się tartaki, fabryki klepek, wełny drzewnej, mebli i t. p. wyrobów stolarskich. Prócz tego z drewna wytwarza się różne materiały, jak: kwas octowy, pewnego rodzaju alkohol, smoła, terpentyna, masa drzewna i celuloza.

Ta właśnie masa drzewna w połączeniu z innymi produktami służy do wytwarzania papieru, materiałów wybuchowych, sztucznego jedwabiu i t. d. Drewno w surowym stanie i w przeróbce stało się przedmiotem wywozu (eksportu). W 1935 r. wywieziono z Polski drewna i wyrobów z niego za 155 milionów złotych, czyli za sumę przewyższającą wszystkie inne poszczególne artykuły wywozu. Dzięki wywozowi drzewa ożywia się żegluga, zwiększa ruch kolejowy, zapewnia portom całego świata znaczne zyski.

Oprócz tych korzyści, jakie daje drewno człowiekowi, lasy mają wielki wpływ na warunki naszego ży-

cia: zasłaniają nas od mroźnych wiatrów północy i skwarnych powiewów południa; tam gdzie są lasy, tam słońce nie może zbyt wysuszyć ziemi, a tam gdzie grunty są rozmokłe, korzenie drzew wyciągają nadmiar wilgoci. Pozatym lasy umacniają grunty zbyt piaszczyste i zapobiegają tworzeniu się lotnych piasków, które bezleśne kraje zamieniają w pustynię; co więcej: nawożą co jesień spadającym listowiem najbardziej jałowe gleby.

Ale to jeszcze nie wszystko: dość wejść do lasu, aby stwierdzić jak płucom naszym łatwo w nim oddychać, jak przyjemnie skwar przetrzymać i wicherę przetrwać, a pod osłoną drzew ulewę przeczekać.

Las jest również potężnym schronem w czasie zawieruchy wojennej: daje osłonę przed strzałami, wstrzymuje pochód gazów trujących, pozwala maskować ruchy wojsk i utrudnia nieprzyjacielowi wyrównywanie i opanowywanie danego frontu.

Dlatego bogactwo, jakie dają człowiekowi lasy, musimy cenić, a ceniąc — nie możemy go marnotrawić.

Ponieważ na potrzeby nasze idzie wielka ilość drewna, więc aby go nie zbrakło nigdy jako budulca, paliwa i surowca przetwórczego, ciąży na nas z pokolenia w pokolenie stały obowiązek podtrzymywania lasów przez odpowiednie zalesianie przetrzebionych terenów, przez obsadzanie drzewami nieużytków i czuwanie nad tym, aby lasu bezmyślnie nie niszczone.

W Polsce jest ta troska o las tym potrzebniejsza, że w ciągu 150 lat niewoli przez złą gospodarkę zaborców i lekkomyślność posiadaczy wielkich borów, bardzo zużołiliśmy pod względem zalesienia kraju. Gdy dawniej na każde 100 morgów użytkowej ziemi mieliśmy 37 morgów

lasu, dziś na takim obszarze mamy już tylko 11 morgów i pod względem zalesienia jesteśmy w Europie na szarym końcu, bo zajmujemy 14 miejsce, po takich małych kraikach jak Litwa i Łotwa.



W puszczy Białowieskiej.

Fot. Photo-Plat

Pośród naszych lasów zachowały się tylko resztki dawnych puszczy. Największym lasem w Polsce jest puszcza Białowieska na terenie województwa białostockiego i Polesia, która wraz z puszczą Świsłocką pokrywa 116 tysięcy hektarów. Inne puszcze — to Turowska na Polesiu, Augustowska — w Suwalszczyźnie w województwie białostockim, resztki Myszynieckiej czyli Kurpiowska, Kampinoskiej pod Warszawą, bory Tucholskie

na Pomorzu, puszcza Niepołomska w krakowskim, resztki puszczy Sandomierskiej.

Najbardziej zalesione są województwa: poleskie, stanisławowskie i krakowskie; najmniej borów mają województwa: warszawskie, łódzkie i poznańskie.

Ogółem zaś powierzchnia lasów w Polsce nie stanowi nawet czwartej części całego państwa (22%).

A dawniej byliśmy krajem nieprzeniknionych borów miodopłynnych, a przez wiele wieków dostarczałyśmy całemu światu maszty do statków morskich. Tymczasem może nadejść czas, że sami zaczniemy sprowadzać drewno, gdy go w kraju zabraknie.

Dlatego musimy otoczyć las szczególną opieką i zalesiać wszystkie nieużytki. Obowiązek ten ciąży przede wszystkim na ludności wiejskiej, dla której las jest żywicielem, podobnie jak i rola, od kołyski do grobowej deski.

GRZEGORZ ADAMIAK BUDUJE NOWY DOM

Najpierw Grzegorz Adamiak mieszkał we wsi. Jak to bywa czasem w starych wsiach, czterech gospodarzy mieszkało pod jednym dachem. Każdy miał jedną izbę i sien. Chałupa była stara, pokrzywiona, popodpierana ze wszystkich stron, ciasna i ciemna. Z góry, gdy był deszcz, to ciekło, trzeba było podstawiać i balie i szkopki i miski, a wilgoć to aż się lała po ścianach nawet w lecie. Okienka były małe jak nie przymierzając w kurniku. Mieszkał tam ojciec Adamiaka, mieszkał dziad, więc i on sam nie myślał, że się kiedyś stamtąd ruszy; im było dobrze, to i on nie ma się czego skarżyć.

No, ale po wojnie, jak zaczęli mówić o komasacji, to radzili i radzili, aż się dogadali, choć nikt nie był zadowolony, bo każdy mówił, że ta komasacja jest z jego krzywdą. Jednak wreszcie się ugodzili i każdy dostał swój kawałek ziemi. Trzeba się było ze wsi wynieść „na budy”.

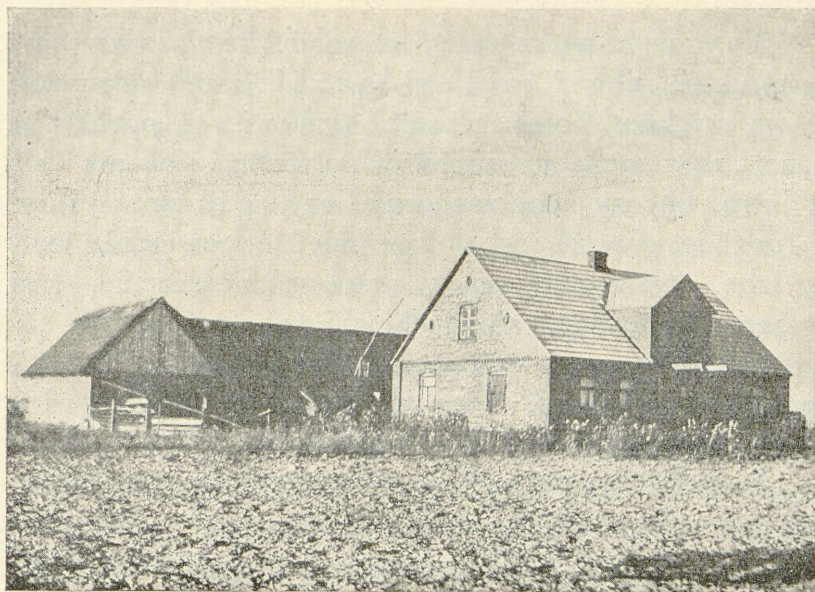
Markotno ludziom było, bo wiadomo, że we wsi zawsze weselej, widać i chrzciny i wesele i pogrzeb i jak się jeden z drugim pobije, ale co było robić!

Adamiak dostał działkę nienajgorszą i niedaleko od starej wsi, więc się z tego cała rodzina cieszyła. Od razu trzeba się było wziąć do stawiania budynków.

Wybrał więc Adamiak suchy kawałek ziemi na górcie a niedaleko od drogi, umyślił sobie, gdzie będzie chałupa, a gdzie szopa, a gdzie stodoła, osuszył to wszystko, wyrównał i wziął się do budowy. Naturalnie trzeba było zacząć od stajni i szopy, bo jakże — dobry gospodarz zawsze najpierw pomyśli o bydłaku, a później o sobie.

Kiedy Adamiak zaczął budować dom, dużo było rozmów w rodzinie i narad z sąsiadami, jaki ten dom ma być: drewniany czy murowany? Według rachunku okazało się, że z cegły będzie wprawdzie trochę droższy, ale będzie o wiele trwalszy, mocniejszy, pewniejszy pod względem pożaru i niemniej zdrowy jak drewniany, a i ubezpieczenie od ognia będzie tańsze.

Później radzono nad tym, jak duży ma być dom. Dawniej ludzie mieszkali w jednej izbie, wszyscy razem — dziadkowie, rodzice i dzieci, i jakoś im było dobrze, mówili starsi, nawet lepiej niż dziś. Ale że to w nowych domach wszędzie było po dwie — trzy



Na nowym gospodarstwie.

izby i że nikt z sąsiadów, którzy się wynieśli na kolonię, nie stawiał domu z jednej izby, tylko z trzech albo i czterech (jak nie odrazu to „na raty”), więc i Adamiak po namyśle postanowił, że trzeba budować mieszkanie z trzech izb, a do tego doszła jeszcze sień i spiżarka, wszystkie pomieszczenia dość duże, wszystkie wysokie prawie na trzy metry.

Jedna izba duża, widna, z oknem na północ, poszła na kuchnię, w której się zwykle jada, to i owo robi i siedzi; druga na pokój do spania dla rodziców i żeby tam można było kogoś przyjąć i porozmawiać i samemu spokojnie posiedzieć, kiedy w kuchni gwar i robota; trzecia wreszcie, o której było najwięcej gadania, poszła na izbę dla dziadków, co byli już na alimentach.

Na większe mieszkanie namawiali Adamiaka wszyscy: i instruktor rolny i światlejsi sąsiedzi, każdy dowodził, że im większe pomieszczenie, tym więcej powietrza: trzecia izba może być bardzo potrzebna, jak nie dziś to jutro, bo czy ktoś zachoruje, czy jakaś uroczystość w rodzinie, zawsze jest dobrze mieć odpowiednią wolną izbę. Naturalnie, im większe pomieszczenie, tym droższe ogrzewanie, ale kuchnia i tak ogrzewa się codziennie przy gotowaniu, a na dwie pozostałe izby jeden piec wystarczy. Przytym może być tylko jeden komin, który ogrzewa izbę przylegającą.

Dom zbudowano na fundamencie grubym, zapuszczonym głęboko w ziemię, z własnych kamieni. Ażeby nie dopuścić wilgoci, która i dom niszczy i zdrowiu szkodzi, zrobiono w fundamencie izolację, to jest położono dwie warstwy papy dobrze wysmołowanej. Piwnicy pod domem nie robiono, żeby domu napróżno nie wyziębiał; urządzono ją natomiast pod budynkami gospodarskimi. W domu zrobiono dwa wejścia: jedno od drogi, drugie od podwórza, żeby nie chodzić w kółko, jak trzeba iść do inwentarza.

We wszystkich trzech izbach kazał Adamiak położyć drewnianą podłogę: o daniu podłogi w izbach mieszkalnych nawet się nie namyślano, ale czy dać ją w kuchni to sam gospodarz długo się zastanawiał. Ale żona jego, która należała już do kółka gospodyń, jak się uwzięła, postawiła na swoim. Przekonała go, że jak będzie tylko klepisko z gliny ubite, to w tej kuchni nigdy czysto nie będzie: z podłogi drewnianej każdy brud można zmyć, a z ziemi można tylko zeskrobać, no a jakby człowiek tak ciągle skrobał, toby pod sobą ładny dół wykopał! Zresztą podłoga jest i cieplejsza

nie taka twarda jak klepisko, co ma duże znaczenie, i bo po podłodze szurają się dzieci, a i człowiek starszy nie lubi, jak mu od nóg idzie zimno. Podłogę w kuchni i w jednym pokoju zrobiło się białą do szorowania, a w drugim bejcowaną na jasny kolor, ot na próbę, bo powiadają, że taka podłoga to i dłużej trwa i ładniej wygląda, a w czystości łatwo ją utrzymać.

Okna Adamiak zrobił duże i po dwa w każdej izbie. W oknach dał podwójne ramy z haczykami, żeby się otwierały jak należy. Szyby kazał wstawić duże z lepszego szkła, bo to i mocniejsze i światła więcej puszcza i brud się jakoś na nim mniej trzyma.

Ściany od środka kazał wytynkować i wybielić, jako że bielone zawsze ładne, zawsze czyste, robactwo się w tym nie trzyma, a bielenie drogo nie kosztuje i nie potrzeba do tego wołać mularza. Przy wejściu od podwórza była najpierw duża sień, skąd szły wygodne schody (nie drabinka jak dawniej) na górę. Sień była widna i przeznaczona na niektóre narzędzia i rzeczy zbyteczne w mieszkaniu a potrzebne pod ręką. Miał być w sieni najpierw parnik, ale jak gospodarz z gospodynią zaczęli radzić, to przyszli do przekonania, że aby nie zaprowadzić wilgoci w mieszkaniu i niepotrzebnych zapachów, lepiej parnik postawić przy budynku gospodarskim.

No, ale nie może być domu bez ustępu. Nie tylko dlatego, że policja się tego domaga, ale jakoś tak już nie wypada chodzić za stodołę i starym i młodym, i w deszcz i w mróz i patykiem opędzać się od prosiaków. Ustęp Adamiak zrobił sam, z desek, co zostały od budowy, z okienkiem, z drzwiczkami zamykanymi porządnie na haczyk. Ażeby nieczystości nie

przenikały do ziemi i nie marnowały się bez pożytku, zrobił duże pudło na płozach szczelne, wysmołował je dobrze, a w ścianie od tyłu zrobił klapę opuszczaną, żeby pudło można było łatwo wyciągać.

Wreszcie, cóżby to był za dom bez zieleni? Wokoło domu założono ładny sadek owocowy, żeby dzieciaki nie biegały na cudze jabłka i gruszki, żeby koło domu było trochę cienia i nie było tak smutno, jak na pustyni. A gospodyni nasadziła wokoło pełno ładnych kwiatków, żeby już było naprawdę i przyjemnie i ładnie.

HEJ, ŻEBY TAK...

Hej, żeby tak w garści socha!
Iść warkoczem skib,
Orać dla tych, co się kocha,
Na powszedni chleb — o wiośnie,
Na powszedni chleb!

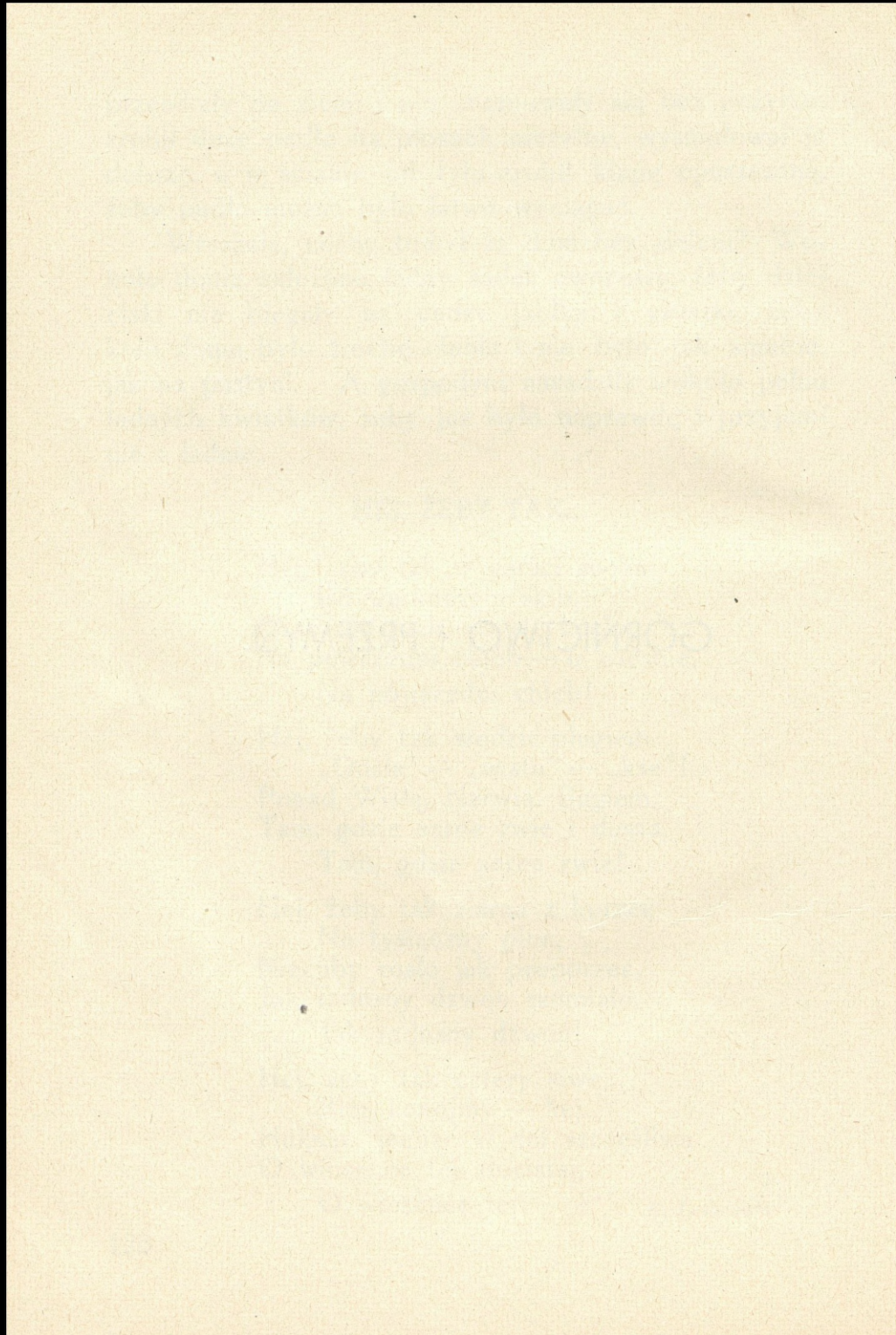
Hej, żeby tak wodzić pługiem...
„Odsie” — „wista” — „kse”!
Ponad Wisłą, Narwią, Bugiem,
Tam, gdzie serce rwie i dusza,
Tam, gdzie serce rwie!

Hej, żeby tak ziarna z korzec
Na tysiączny plon,
Niechby rosło jak proporzec,
Jak radosny dzwon szumiało,
Jak radosny dzwon!

Hej, żeby tak cztery siwe,
Bicz konopny — hej.
Huknąć, jechać w dni szczęśliwe
O wiosence tej złocistej,
O wiosence tej!

K. Laskowski

GÓRNICTWO I PRZEMYSŁ



RZEMIOSŁO A PRZEMYSŁ

Dawnymi czasy, lat temu czterysta a nawet i pięćset, ludność każdego kraju w Europie, a więc i w Rzeczypospolitej Polskiej, dzieliła się na dwie tylko grupy: rolników i rzemieślników. Nie mówię o królu i jego dworzanach, o rycerstwie, księżach i urzędnikach królewskich, lecz o tych, co wytwarzali różne przedmioty, które człowiek spożywa lub zużywa na własne potrzeby.

Rolnicy mieszkali po wsiach, trzebili lasy, siali zboża, hodowali zwierzęta domowe, dostarczając do miast żywności wszelkiego rodzaju. W miastach, których wówczas było niewiele, siedzieli rzemieślnicy, zajęci wytwarzaniem towarów — jakbyśmy dziś powiedzieli — przemysłowych. Jedni wyrabiali skóry i obuwie, drudzy przędzę, tkaniny i odzież, inni zajmowali się stolarką, inni znowu wznosili domy, kościoły, pałace bądź z drzewa, bądź z kamienia lub z cegły.

Byli i tacy, co z kupionego od chłopca ziarna mełli mąkę, gdy inni z mąki tej piekli pieczywo. Rzeźnik kupiwszy od wieśniaka cielę lub wieprzaka zabijał je, i przerabiał na mięso albo wędliny. Kowal podkuwał

konie, bednarz robił obręcze, stelmach czyli kołodziej kleił wozy i powozy, powroźnik kręcił sznury, intro-ligator oprawiał księgi, garncarz lepił garnki, misy, złotnik wytwarzał piękne ozdoby z drogich metali, i t. d.

Kto chciał ostrzyć zbyt długie włosy, szedł do golarza, kto chciał mieć pomalowane ściany albo i obraz jaki, udawał się do malarza, ślusarzowi dawało się do roboty zamek w drzwiach lub piękną kratę na okno, a gdy trzeba się było za szablą obejrzyć, tylko płatnerz mógł zaradzić w potrzebie.

Nie znano wówczas innego sposobu wytwarzania towarów przemysłowych, jak rzemieślniczy, zwany również rękodzielniczym. Człowiek sam używając tylko najprostszych narzędzi: młota, siekiery, pędzla, kielni i t. p. lub takich środków, jak koło garncarskie lub prosty warsztat tkacki, jakich jeszcze dziś na wsi pełno, wyrabiał to wszystko, czego potrzebował każdy mieszkaniec wsi i miasta. Pracą rąk ludzkich powstawały te piękne wyroby ślusarskie, kowalskie, tkackie i inne, które dzisiaj oglądamy w muzeach.

Czasy te jednak się skończyły. Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę, a wówczas do Europy poczęły przychodzić nieznane, nowe surowce. Przywożono ich okrętami co raz więcej, wieziono je również z innych odkrywanych lądów. Ludziom przestały już wystarczać proste towary, wytworzone przez rzemieślników w jednym mieście i w tym samym mieście sprzedane. Obroty poczęły się zwiększać, lecz rzemieślnik nie mógł już szybko podołać zamówieniom, nie każdy towar potrafił wykonać. Zaczęto wtedy zakładać fabryki, ale jeszcze bez maszyn, bo ich wówczas nie znano. Zbierało się tylko po kilkuset, a nawet i więcej robotni-

ków, i oni od rana do nocy tkali sukna i płótna, odlewali szyby okienne lub zwierciadła (lustra), garbowali skóry i t. d.

Aż wreszcie wynaleziono (160 lat temu) maszynę parową. Najpierw użyto jej do wyciągania węgla z kopalni, ale szybko zrozumiano, że kocioł wypełniony parą daje taką siłę, jakiej i tysiąc robotników nie poradzi. Rzucono się więc do zakładania fabryk już w takim stanie i tak prowadzonych, jakie obecnie widzimy. Zbudowano przędzalnie i tkalnie, gdzie ręce człowieka zastąpiła szybka i sprawna maszyna, która sama przędzie lub tka, a człowiek ją tylko dozoruje. Żelaza nie wydobywa dziś z rudy kowal z małego miasteczka, lecz wielka huta, której zbudowanie kosztowało miliony złotych, a która ze swych rozżarzonych pieców wypuszcza żelazo i stal, kuje młotami lub walcuje olbrzymie bryły żelazne lub stalowe, wyrabia olbrzymie łańcuchy, gwoździe, drut i t. d.

A co się stało z rzemiosłami? Czy zniknęły z powierzchni ziemi? — Nie! W Polsce na przykład w 1934 roku pracowało w fabrykach 400.000 robotników, a w warsztatach rzemieślniczych 500.000 majstrów, czeladników i terminatorów. Nie zginęło więc rzemiosło, bo zginąć nie mogło. Wielką fabrykę można puścić w ruch tylko wtedy, kiedy zapotrzebowanie na jakiś towar jest duże. Maszyna — mówimy — opłaca się, to znaczy jest tańsza od pracy rąk ludzkich tylko wtedy, kiedy dużo wytwarza, czyli kiedy zapotrzebowanie na jakiś towar jest duże. A nie zawsze tak bywa i dlatego rzemiosło musi zastąpić fabrykę, jeśli ona wytwarza drożej niż praca ręczna. Wielka fabryka potrzebuje też dużo pieniędzy, a o te w Polsce nie tak łatwo.

Rzemiosło więc ma dużo do roboty, a nie można przytym zapominać, że i rzemieślnik nie samymi rękami ludzkimi pracuje. I on też posługuje się narzędziami, nie raz kosztownymi, lub maszyną (tak robi niejednen piekarz, stolarz albo ślusarz). Zresztą, czyż można sobie wyobrazić, żeby maszyna uczyniła zupełnie zbędną pracę krawca, co ubranie szyje na miarę, szewca, co buty zeluje, ślusarza, co reperuje zamki, zegarmistrza, tapicera, fryzjera, fotografa, dekarza, malarza, mularza czy zduna?

Rzemiosło nie jest już dzisiaj jedynym wytwórcą towarów przemysłowych, jak to było 400 — 500 lat temu. Rzemieślnik jest dzisiaj uzupełnieniem fabryki, która bez niego również nie dałaby sobie rady. Rzemiosło jest dzisiaj jak most między rolnikiem a fabrykantem. I daje zatrudnienie większej ilości ludzi w Polsce niż wszystkie fabryki razem wzięte.

W KOPALNI WĘGLA KAMIENNEGO

Mamy zobaczyć pracę górnika pod ziemią. Przewodnik nasz, jeden ze sztygarów (jest to inżynier lub majster-górnik) w roboczym, usmolonym i zabłoconym ubraniu w hełmie przypominającym hełmy naszej piechoty, doprowadza nas ku szybowi, nad którym sterczy wieża z dużymi kręcącymi się kołami.

Dają nam lampki karbidowe i udzielają wskazówek, jak się z nimi obchodzić.

Oto ukazuje się otchłań szybu. Wyskakuje lekko winda-„klatka” i zatrzymuje się przy nas. Trzask, sygnały i z klatki wysuwają się z gruchotem po płytach stalowych wózki z węglem.

Jeszcze chwila i oto zjeżdżamy windą do wnętrza kopalni. Nie tracąc czasu słuchamy wyjaśnień naszego przewodnika sztygara.

— Węgiel leży w ziemi — opowiada nasz przewodnik — warstwami od kilku centymetrów do kilkudziesięciu nawet metrów grubości. Warstwy węgla „zalegają” wśród grubych warstw różnorodnych skał.

Aby wydobyć węgiel, trzeba się do niego dostać w głąb ziemi i wydierać go stamtąd krusząc na bryły większe lub mniejsze.

W tym celu wierci się głębokie pionowe studnie, zwane szybami. W szybie na linach stalowych zwisają windy odbywając drogę w szybie to z dołu ku górze, to z góry ku dołowi. W klatkach owych odbywają drogę ludzie, węgiel, drzewo i materiały potrzebne do budowy „na dole”.

Od szybów poziomo są „bite” korytarze — „chodniki”. A że warstwy węgla i skał nie zalegają poziomo, lecz przeważnie są pochylone, zalegają ukośnie, więc nie brak w kopalni korytarzy ukośnych, t. zwanych „pochylni”.

A jak pracuje górnik? Świdrem poruszonym sprężonym powietrzem lub elektrycznością wierci w ścianie węgla dziurę półtora — dwa metry długą, jedną, drugą, trzecią. Wcisną głęboko w wywiercone dziury materiał wybuchowy, zapycha przygotowanymi „kluskami” z gliny i podpala zwisający z zatkanej dziury lont.

Następuje wybuch i węgiel odpada w wielkich bryłach od ściany. Bryły te rozbija się na mniejsze, nakłada na wózki. Wózki podprowadza się do szybu i szybem wydobywa „na wierzch”.

Tutaj wysypywany węgiel dostaje się na ruchome stalowe taśmy i „sortuje się”, to znaczy rozdziela według wielkości. Przy taśmach stoją ludzie i zręcznie usuwają dostrzeżone bryły nie-węgla.

Rozsortowany węgiel sypie się z góry wprost do podstawionych wagonów kolejowych.

Sztygar przerywa opowiadanie i nagle doznajemy nieprzyjemnego uczucia: lekki wstrząs i winda się zatrzymała. Dziękujemy za wyjaśnienia i idziemy oglądać na własne oczy to, o czym usłyszeliśmy przed chwilą.

Chodzimy korytarzami. Ciemno, czarno. Rozświetlają te otchłanie ciemności jedynie słabe światła żarówek elektrycznych na główniejszych chodnikach, przy pompach, na podziemnych stacjach, tu i tam migają lampki w ręku górników, z którymi górnik jest jakby zrosły.

Nie wszędzie strop trzyma się sam nad głowami ludzkimi. Ciśnienie ziemi jest tak wielkie, że aby strop nie runął, trzeba go „podstemplować”, to znaczy podeprzeć belkami, deskami, a te oprzeć na pionowych słupach stojących przy bokach pod ścianami. Stoją całe rzędy „stempli” sosnowych; całe lasy sosen wycięto, pocięto, by je tu postawić.

W chodnikach ważniejszych jest beton, a w najstarszych częściach kopalni ceglany mur i ceglane sklepienie.

Obok nas leżą rury grubsze i cieńsze. W jednej z nich znajduje się sprężone powietrze.

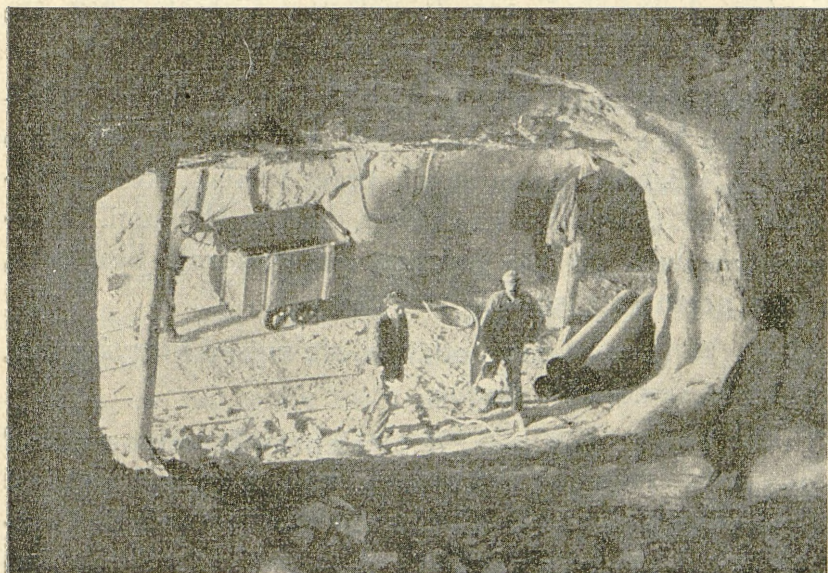
Naokół cisha. Jeśli mijają się ludzie, mówią zwykłym głosem „szczęść Boże” i otrzymują również spokojnie wypowiedziane „szczęść Boże”.

Słyszać jedynie głuche odgłosy wybuchów gdzieś w odległych „komorach” węglowych.

Po ścianach cieknie woda lub spada ze stropu, w rowkach obok ścian szumi, niczym górski potok, mknąc gdzieś niżej, gdzie ją chwycą pompy i wycisną aż na powierzchnię, na światło dzienne.

Brniemy chwilami w lepkim, szarym, gliniastym błocie.

Powietrze jest naogół dobre. W najbliższym sąsiedztwie miejsca wybuchu jest ono gorsze, jakieś słodkawe, lepkie. Tłoczone z góry wentylatorem czyste powietrze wyciska z kopalni to zepsute poprzez osobne szyby.



W głębi kopalni węgla.

Fot. Photo-Plat

Jest ciepło, w niektórych miejscach nawet gorąco, zwłaszcza w sąsiedztwie tych miejsc, gdzie się ogień zapalił. Są to miejsca bardzo niebezpieczne: zamurowuje się je, zalepia, by ogień, który tam jest bez powietrza, zgaśł. Lecz zanim zgaśnie — grzeje. Górniczy pracują tu przeważnie półnago. Powietrze jest tak gorące i wilgotne, tak parne, że po kilkunastu sekundach całe ciało dosłownie zalewa się potem — istna łaźnia.

— Jakaż to ciężka praca! — odzywa się ktoś z nas.

— Bardzo ciężka — przytwierdza sztygar i dodaje: każdej prawie chwili towarzyszy niebezpieczeństwo utraty życia lub kalectwa. Najczęściej przywali człowieka bryła węgla spadła ze stropu lub od ścian odprysła. Czasami spóźniony nabój wybuchnie i porani. Groźna „kurzawka” zamuli, zatopi. Czasami gaz się pojawi, odurzy lub na śmierć zatruje.

Rozmowę naszą przerwał zbliżający się hałas. Schodzimy na bok. Oto zbliża się ku nam z łoskotem łańcuch wózków, ciągnionych przez konia. Rosłe, ładne konisko patrzy na nas swymi dużymi ślepiami. Wóznica nawołuje go po imieniu, komenderuje bez bata, a koń posłusznie spełnia rozkazy.

— A ja myślałem, odzywa się znowu któryś z nas, że konie w kopalni ślepną.

— Teraz widzi pan, że to nieprawda, odpowiedział sztygar. — Dobrze traktowany koń uczy się chodzić w ciemnościach po chodnikach. Obecnie jednak zwierzę to jest mniej potrzebne, a nawet w wielu kopalniach zupełnie zbędne. Zastępuje je mała lokomotywa elektryczna.

Brodzimy już wiele kwadransów po robotach, wreszcie wchodzimy w korytarz obetonowany z żarówkami elektrycznymi u stropu. Zbliżamy się do szybu.

Za chwilę opada winda, z klatki wyjeżdżają z gruchotem puste wózki — po węgiel. Robotnicy odprowadzają je w chodnik. A na ich miejsce zamiast wózków z węglem my suniemy w górę.

Blask słońca — „wierzch”.

W HUCIE ŻELAZNEJ

W Polsce w 1934 roku było 19 hut żelaza z 27.000 robotników.

Huty te prawie wyłącznie znajdują się na Śląsku.

Najważniejszą i najistotniejszą częścią huty jest „wielki piec” lub cały ich szereg.

Piec jest naprawdę wielki, wielkość jego bowiem dochodzi do 30 metrów.

Zbudowany jest z ogniotrwałej cegły i opasany z zewnątrz stalowymi sztabami.

U góry jest otwór, przez który do pieca zsypuje się koks, rudę żelazną i różne dodatki ułatwiające wytapianie żelaza. Otwór górny jest zamknięty w ten sposób, że nasypyany materiał przez podniesienie zamknięcia sam zsuwa się w czeluść pieca. Wówczas to w nocy lub wieczorem zjawia się nad hutą łuna.

Obok wielkiego pieca stoją jakieś tajemniczo wyglądające wieże czarne, żelazne, nakryte żelaznymi kopułami. W wieżach tych ogrzewa się powietrze i pod ciśnieniem wtłacza do dolnej części wielkiego pieca.

W wysokim cieple pieca (około 1000°) wytapia się z rudy żelaznej żelazo, które spływa rozżarzone na sam dół pieca.

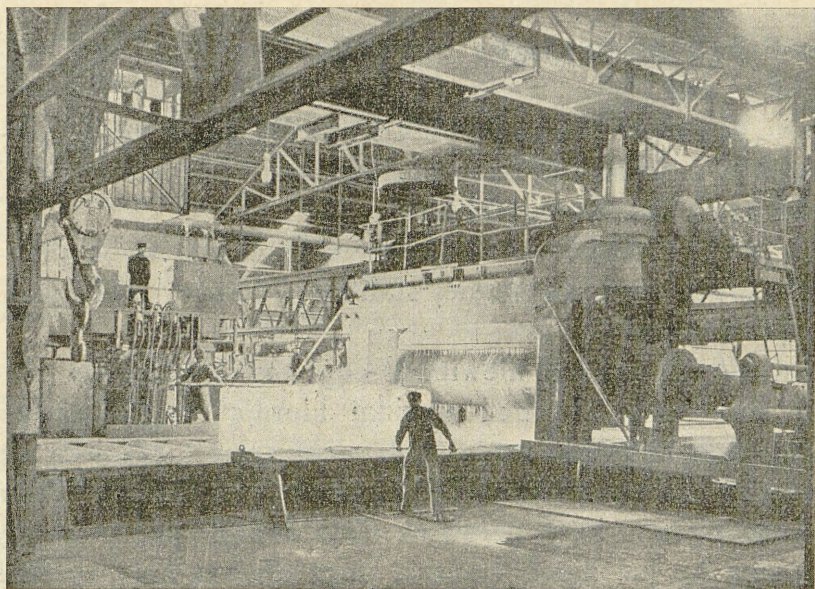
Otworem umieszczonym nieco wyżej odpływają rozżarzone a zbędne produkty („szlaka”-żużle), które po ostygnięciu wytwarzają twardy, szklisty materiał, używany po rozbiciu do wysypywania ścieżek, dróg, dziedzińców; wokół hut tworzą się z tej szlaki ogromne zwały zwane „hałdy”.

Z wielkiego pieca otrzymane żelazo „surowe” czyli „surówka” nadaje się do odlewów przedmiotów, jak np. kraty, rury.

Chcąc surówkę przerobić na stal przetapia się ją wraz ze „szmelcem” (zepsute przedmioty żelazne) w piecach, tak zwanych martenowskich. W ich temperaturze 1800° zawartość pieca kotłuje się jak woda. Można to widzieć przy otwarciu drzwiczek pieca przez fioletowe szkło.

Następnie stal przelewa się do dość obszernej kadzi, którą żuraw podsuwa pod piec, a po napełnieniu odsuwa. Z kadzi tej stal się przelewa do pionowo stojących, czworokątnych form. W formach stal ostyga i następnie idzie pod wielkie młoty lub walce.

Wspaniałe to widowisko obróbka tych bloków stalowych pod młotami lub walcami! Na grubą, czerwoną od gorąca belkę podsuwaną przez odpowiednie urządzenie na kowadło, spada z góry młot i bije z siłą tak wielką, iż wszystko w najbliższym otoczeniu drży, a belka płaszczy się, szczupleje w miejscach uderzeń przybierając posłusznie te kształty, które jej chce nadać człowiek.



Fot. Photo-Plat

Wnętrze huty żelaznej.

Sprawność w biciu ogromnego młota jest tak wielka, że robotnik przy młocie dla przekonania o tym zwiedzającego robi następującą próbę: na kowadło kładzie zegarek, za chwilę nastawiony młot spada na kowadło zatrzymując się na kilka, może na kilkanaście milimetrów nad położonym zegarkiem. Patrzącym wydaje się, iż z zegarka zrobił się cieniutki plasterek, tymczasem cały zegarek wraca do zdumionego właściciela.

W walcowni wre pełna grozy i wzniosłości praca. Ogromne, stalowe bloki rozgrzane do czerwoności przebiegają tam i z powrotem między obracającymi się walcami. Gruby blok zmienia się stopniowo na co raz szczuplejszą i dłuższą belkę, która zależnie od

woli ludzkiej przeradza się w końcu w szynę lub niegruby drut.

W innych walcach blok zamienia się w grubą płytę, która coraz bardziej cienieje pod walcami i przeradza się w płaty blachy.

Przy tych potwornych, silnych walcach obok przetaczanych brył rozgrzanej stali stoją ludzie, jakże mali, a jakże silni!

W ich rękach niewielkie cęgi chwytają grube bloki stali i zda się bez wysiłku kierują między walce. Zgrzyt — i gruba masa stali posłusznie przeciska się między walcami, by zjawić się po drugiej stronie. Tam czeka na nią inny człowiek i podobnie jak pierwszy wsuwa ją, już nieco cieńszą, lecz dłuższą między inne walce lub inną przerwę tych samych walców.

Zmarszczone brwi, napięte mięśnie rąk i piersi widocznych z pomiędzy rozchełstanej koszuli robotnika, pot, który perli się obficie na ciele, mówią, iż nie dzieje się to bez wysiłku.

A nierozumna belka, biegająca posłusznie od walca do walca, zdaje się być przycзанą bestią, która czeka na najmniejszą, najkrótszą chwilę nieuwagi lub słabości człowieka.

Niechby tylko spóźnił się nieco, niechby źle chwycił stalową bestię cęgami, niechby mu w oczach pociemniało wówczas bestia wali się na posadzkę pod nogi i swym ciężarem jak i żarem miażdży i pali człowieka.

Trudno o widok pracującego człowieka bardziej wspaniały i wzniosły!

Z walcowni niektóre wytwory, jak szyny, „bandaże” (obróczce na koła kolejowe), blachy, drut idą wprost

już w świat do użytku, inne ulegają jeszcze dalszej przeróbce.

W Polsce rudy żelazne znajdują się w dwóch nie-daleko od siebie leżących obszarach: wzdłuż pasma krakowsko-wieluńskiego, i na północny-wschód od gór Kielecko-Sandomierskich w dorzeczu rzeki Kamiennej.

Jest tych rud żelaznych niezbyt dużo i o małej wartości. Tymczasem wytapialiśmy i wytapiamy znacznie więcej żelaza surowego i stali, aniżeli wydobywamy rudy żelaznej.

Wynika to z tego, że żelazny surowiec hutniczy Polska kupuje zagranicą. Sprowadzamy rudy żelazne ze Związku Sowieckiego, Szwecji, Hiszpanii i innych krajów.

Ponadto sprowadzamy żelastwo (żłom czyli szmelc), skąd tylko się da i opłaci. W r. 1928 sprowadziliśmy żelastwo aż z przeszło 30 państw na świecie, nawet tak odległych jak Argentyna, Indie Brytyjskie, Japonia, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

W roku 1935 sprowadzono do Polski złomu żelaznego 360.000 tonn, wartości 26 milionów złotych!

Uczeni polscy poszukują rud żelaznych w kraju, a także robią próby wytapiania żelaza z ubogich rud żelaznych sposobami odmiennymi a tańszymi od obecnie używanych.

O PRZEMYŚLE WŁÓKIENNICZYM

Gdy zajrzemy do wykazu towarów, które sprowadzamy do Polski z zagranicy, to na pierwszym miejscu zobaczymy bawełnę i wełnę. Są to surowce niezbędne dla rozwoju naszego przemysłu włókienniczego. Baweł-

nę sprowadzamy dlatego, że u nas nie można jej uprawiać, wymaga bowiem dużo ciepła i wilgoci. Wełnę również musimy kupować u obcych, bo nasza hodowla owiec wymaga jeszcze ulepszenia, dostarcza bowiem jej niewiele i w niewysokim gatunku.

Jest jeszcze inny surowiec włókienniczy, który możemy i powinniśmy wytwarzać u siebie — to len. W tym kierunku dużo już się zrobiło. Wyroby lniane zastępują częściowo wyroby bawełniane. Wprawdzie są one droższe, ale zato znacznie lepsze i trwalsze.

Mało kto wie, że i przemysł drzewny służy pomocą fabrykom tkanin: daje surowiec do wyrobu sztucznego jedwabiu.



W fabryce włókienniczej w m. Łodzi.

Fot. Photo-Plat

Nasz przemysł włókienniczy skupia się na kilku obszarach, z których najważniejsze tu podajemy:

Obszar bielski (Bielsko-Biała, Lipnik, Kęty, Andrychów) z przemysłem wełnianym. Obszar łódzki z m. Łodzią i okręgiem (Zgierz, Pabianice, Brzeziny i inne), gdzie mamy fabryki wyrobów bawełnianych i wełnianych. Niedaleko Łodzi leży przemysłowy Piotrków i Tomaszów z fabryką sztucznych jedwabi.

W Warszawie mamy przemysł różnorodny, niedaleko zaś stolicy leży Milanówek, znany z wyrobów jedwabnych, dalej nieco Żyrardów z przemysłem lnianym (płótna żyrardowskie).

Na północo-wschód od Warszawy leży Białystok, którego zakłady przemysłowe dostarczają dobrych wyrobów wełnianych i półwełnianych.

Jeżeli do wielkich fabryk i zakładów przemysłu włókienniczego dodamy drobne warsztaty tkackie rozrzucone po całej Polsce, to otrzymamy następujące liczby: w Polsce było w 1934 r. zakładów przemysłowych ogółem blisko 22.500, w tym zakładów włókienniczych blisko 2.400.

W tymże roku robotników ogółem pracowało około 500.000, z czego w przemyśle tkackim przeszło 130.000.

Liczby te wskazują, jak dalece przemysł włókienniczy rozwinięty jest w Polsce i jak ważne miejsce zajmuje w ogólnej wytwórczości krajowej.

CHORZÓW I MOŚCICE

Poszukajmy na mapie Polski dwóch niedaleko od siebie leżących miejscowości: Chorzowa i Mościc.

Chorzów leży w południowo-zachodniej części Rzeczypospolitej Polskiej, tuż nad granicą niemiecką, na

ziemi śląskiej. Mościce zaś pod Tarnowem bardziej w głębi państwa.

I Chorzów i Mościce związane są z osobą naszego Prezydenta Rzeczypospolitej, prof. Ignacego Mościckiego. Mościce noszą nawet jego nazwisko. Wiążą się z jego pracą nie jako głowy państwa, ale jako uczonego.

Zarówno Chorzów jak Mościce wytwarzają tak zwane związki azotowe czyli pewne produkty, potrzebne dla rolnictwa (nawozy sztuczne) i dla przemysłu (materiały wybuchowe).

Związki azotowe w przyrodzie, w ziemi, znajdują się wyjątkowo rzadko; najbardziej z nich znaną jest saletra czylijska w Południowej Ameryce. Saletrę tę sprowadzano do Europy, a także i do Polski.

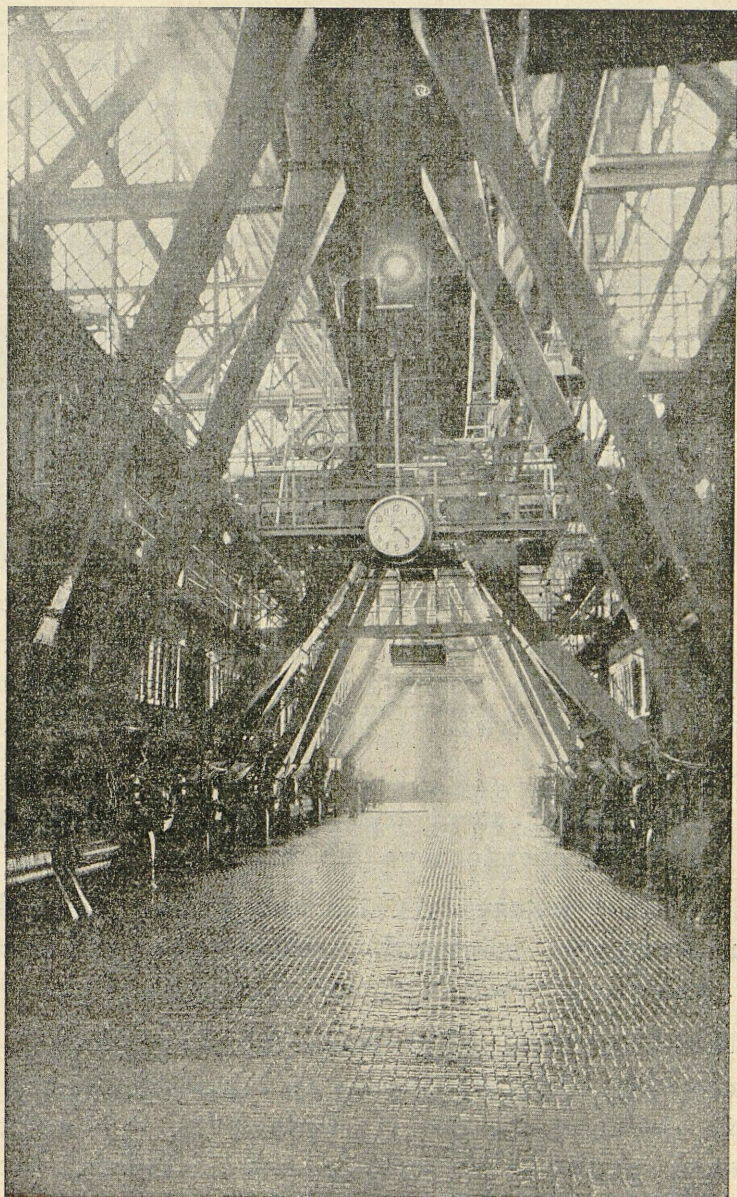
Powstała, słuszną zresztą, obawa, że zapasy te się wyczerpią, a wówczas skąd wziąć tak konieczny dla rolnictwa nawóz?

Uczeni całego świata, w tej liczbie i nasz Prezydent, poczęli szukać sposobów sztucznego otrzymywania związków azotowych.

Wskutek tego powstawały wielkie zakłady przemysłu chemicznego, a na naszych ziemiach jeszcze przed wojną światową Niemcy wybudowali Chorzów.

Tutaj też oni podczas wojny światowej wytwarzali gazy trujące, którymi napadali na nieprzyjaciół.

Gdy nadszedł czas, że Chorzów trzeba było oddać Polsce, Niemcy usiłowali doprowadzić go do takiego stanu, w którymby okazało się, że Polacy nie umieją się z otrzymaną fabryką obchodzić. Odchodząc zabrali Niemcy plany, rysunki, a cały personel techniczny opuścił Chorzów.



Chorzów — w hali fabrycznej.

Fot. Photo-Plat

Ale był w Polsce człowiek, który już dawno pracował nad wytwarzaniem sztucznych związków azotowych i doszedł w tej dziedzinie do ważnych odkryć. Tym człowiekiem był prof. Ignacy Mościcki.

Nie tracąc czasu zebrał garść młodych inżynierów i z tą młodą, pełną zapału załogą zabrał się do pracy.

W kilka dni fabryka ruszyła.

Nie chciano wierzyć, że fabryka „idzie”. Czekano, zgodnie z niemieckimi zapowiedziami, kiedy wyleci w powietrze wskutek niedostatecznej znajomości urządzeń i przebiegu fabrykacji.

Fabryka jednak nie „leciała w powietrze”!

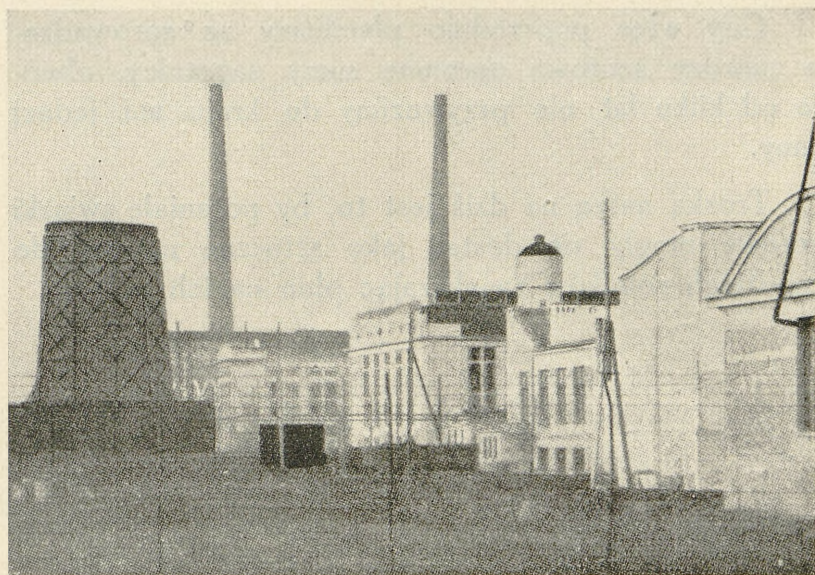
Próbowano ze strony niemieckiej sabotażu (ukrytego szkodenia). Władze polskie jednakże w porę wykrywały zbrodnicze ręce. Fabryka pracowała, wprowadzała ulepszenia, obniżała koszt produkcji, reklamowała wytwarzane środki i znaczną ich część sprzedawała rolnikom.

Jednocześnie szedł azot do dalszych przeróbek dla przemysłu chemicznego lub wojennego.

Chorzów jednak leży tuż nad granicą niemiecką. W razie zatargu mógłby być natychmiast zniszczony lub uszkodzony przez Niemców.

Powstała myśl zbudowania fabryki podobnej do chorzowskiej, dalej od granicy, w miejscu bezpieczniejszym. Jednocześnie chciano wprowadzić w nowo zbudowanej fabryce nowe pomysły, nowe urządzenia techniczne.

I powstały Mościce.



Mościce.

Fot. Photc-Plat

Powstały w czasie rekordowym, bo w ciągu $18\frac{1}{2}$ miesięcy!

Fabryka ta zatrudnia $1\frac{1}{2}$ tysiąca robotników i 300 osób personelu technicznego i administracyjnego.

Fabryka ma dwa kominy po 114 metrów wysokości, 25 kilometrów własnej sieci kolejowej i 260 kilometrów sieci telefonicznej. Magazyny mogą pomieścić 80 tysięcy tonn towaru.

Jest to, jak z tych liczb widać, fabryka ogromna.

Za sprowadzoną saletrę czylijską zapłaciliśmy

w roku 1926 — 11 milionów zł.

„ „ 1927 — 17 „ „

„ „ 1928 — 41 „ „

„ „ 1929 — 35 „ „

„ „ 1935 — 0 „ „

Gdy więc poprzednio płaciliśmy za sprowadzane nawozy azotowe ogromne sumy zagranicy, obecnie od kilku lat nie przywozimy do kraju ani jednej tonny.

Troską naszą na dziś jest to, by potaniałe związki azotowe mogły się dostać jako sztuczne nawozy do wszystkich rolników zwiększając plon na ich polach.

KOMUNIKACJA

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
540 EAST 57TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
540 EAST 57TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637

KOMUNIKACJA

NASZE DROGI WODNE

Idziemy do sklepu, kupujemy rozmaite produkty. Czasami chcemy kupić herbatę, cukier czy wędlinę, czasem materiał na ubranie, czasem węgiel na opał. Rozmaicie.

Każdy towar ma swoją cenę. Nieraz się zastanawiamy, dlaczego właśnie kosztuje tyle a tyle, a nie na przykład mniej. Cena towaru zależy od wielu różnorodnych warunków, a między innymi od kosztów przewozu. Zrozumiałe jest, że węgiel na Śląsku będzie taniej kosztował niż w Warszawie. Im dróg jest więcej, im są lepsze, tem łatwiej towar można przewieźć, a przez to i taniej sprzedać.

Jak wielka jest oszczędność siły, a więc i pieniędzy w zależności od stanu dróg, wskazuje następujący przykład: koń może na asfaltowej jezdni ciągnąć wóz trzy razy cięższy niż na brukowanej. Ten sam koń pociągnie na szynach ładunek jeszcze znaczniejszy, a mianowicie 6 razy większy niż na jezdni brukowanej kamieniami polnymi.

Najtańsza jest droga wodna. Koń może ciągnąć na wodzie (np. holować łódź) ciężar 40 razy większy niż na jezdni brukowanej! Każdy chyba widział, jak spławia się drzewo. Zbija się bale drzewa w tratwy,

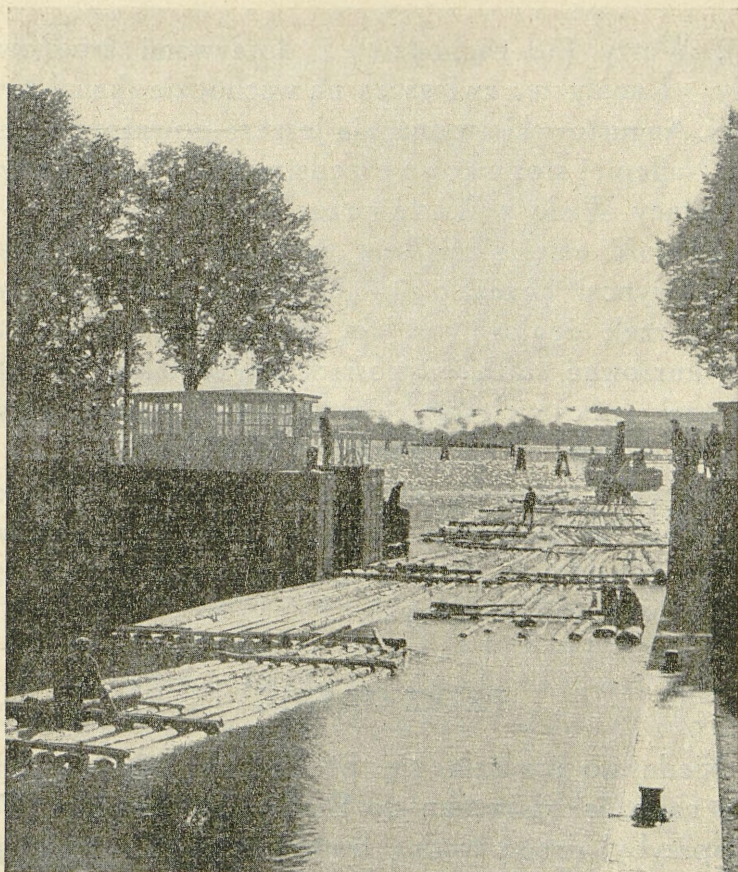
na których flisacy płyną sobie pomału z prądem aż do Gdańska. Proszę porównać, o ile drożej wypadłoby przewiezienie tego drzewa koleją z Karpat do morza!

Tańszy również jest przejazd statkiem czy okrętem niż pociągiem. Dlatego ważną jest rzeczą posiadanie spławnych (uregulowanych) rzek i kanałów oraz własnego portu morskiego, przez który wygodnie i tanio możemy łączyć się z całym światem.

Przez sam środek Polski przepływa nasza największa rzeka Wisła. Jest bardzo długa, bo płynie na przestrzeni tysiąca kilometrów. Zaczyna się na południu w górach polskich Karpatach, a ginie w morzu, w zatoce Gdańskiej, która również należała niegdyś całkowicie do Polski. Zasilają jej wody liczne mniejsze rzeki i strumienie spływające z rozległej przestrzeni, obejmującej 180000 kilometrów kwadratowych, co stanowi prawie połowę całej powierzchni Polski. Nurtem tej królowej rzek naszych w dawnych już czasach płynęły tratwy i galary ze zbożem na północ do Gdańska i dalej w świat do zamorskich krajów. Dziś płyną również i statki, ale niestety Wisła jest żeglowna tylko na przestrzeni około 200 km, co stanowi piątą część jej całkowitej długości. W przyszłości jednak większa część jej biegu zostanie odpowiednio przystosowana do żeglugi.

Wisła bowiem to rzeka kapryśna. Zmienia często swoje główne koryto, przerzuca nurt z jednego brzegu na drugi, wyrzuca na środek ławice piasku, podrywa jedno brzegi, inne zamula, opuszcza. Parę razy do roku grozi powodzią, a nieraz już występowała z brzegów i zalewała wsie okoliczne i pola uprawne.

Człowiek pragnie ją ująć w karby, zmusić do posłuszeństwa. Pogłębia jej nurt wybierając piasek z miejsc



Spław drzewa w kanale pod Bydgoszczą.

Fot. Photo-Plat

płytkich, zabezpieczając brzegi tamami, obmurowaniami. Chce, aby na jak największej przestrzeni statki mogły swobodnie kursować bez ciągłej obawy utknięcia na mieliźnie, gdy stan wody jest niski.

Aby umożliwić komunikację wodną ze wschodu na zachód i odwrotnie, pobudowano kanały wodne łączące boczne dopływy innych rzek: Prypeci, Niemna (na wscho-

dzie), Warty (na zachodzie) z dopływami środkowej Wisły. Kanały te, zwłaszcza na wschodzie (kanał Królewski, Augustowski), wymagają jeszcze poważnych ulepszeń. Najlepiej stosunkowo przedstawia się kanał Bydgoski łączący Wisłę z Wartą przez Noteć.

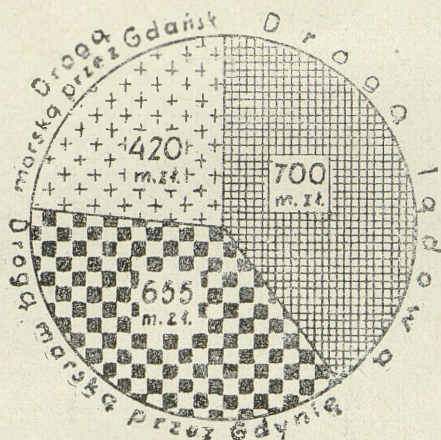
Długość całej sieci dróg wodnych (rzeki i kanały razem) wynosi przeszło 14000 kilometrów. W tym długość rzek żeglownych, to jest takich, po których mogą kursować statki, wynosi około 5000 km, zaś długość rzek spławnych (po których można spławiać tratwy tylko z prądem, w dół rzeki) — 9000 km.

Ważnym zadaniem, które mamy jeszcze do spełnienia jest uregulowanie naszych rzek i rozbudowa sieci dróg wodnych przez pogłębienie istniejących kanałów i przekopanie nowych.

PRZEZ GDYNIĘ

Niedawno rozeszła się po Europie wieść o drobnym napozór zdarzeniu: do Budapesztu (stolicy Węgier) przybył drogą wodną transport węgla z polskiego Górnego Śląska. Jednak to małe zdarzenie ma ogromne znaczenie. Węgiel polski odbył olbrzymią drogę. Zamiast 500 kilometrów koleją przebył 10000 kilometrów morzem. Mimo to taniej można go było sprzedać, niż węgiel dowieziony do Budapesztu krótszą drogą lądową, bo transport morzem okazał się tańszym.

Przykład ten pokazuje, jak jest wielkie znaczenie gospodarcze i handlowe morza. Morzem dotrzemy do wszystkich najodleglejszych zakątków świata, wyślemy tam i sprzedamy skarby wydobywane z naszej ziemi i wytwory naszej pracy, sprowadzimy to, czego nie mamy w kraju.



Obroty handlowe (wywóz i przywóz) Gdańska i Gdyni w 1934 r.
w milionach złotych.

Aby nasz handel zamorski należycie się rozwijał, musimy mieć odpowiedni port i flotę handlową.

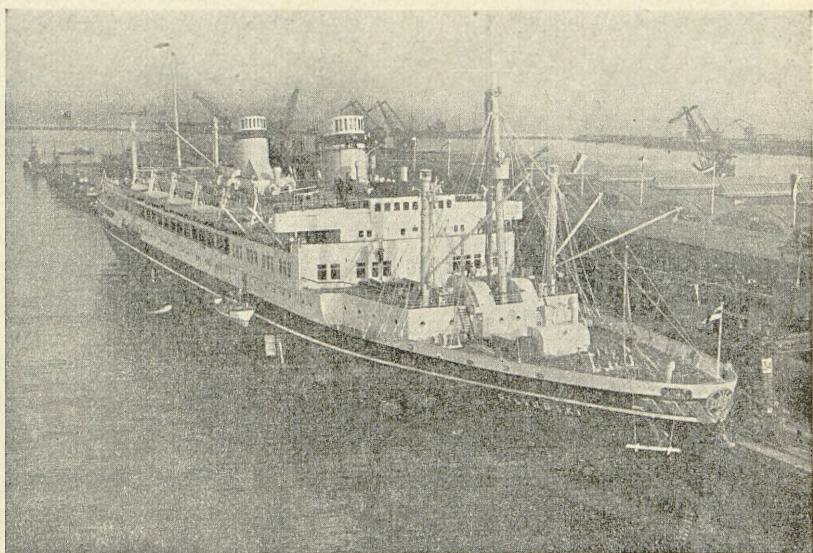
W pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości państwo polskie korzystało z portu w Gdańsku. Wkrótce jednak okazało się, że nasz handel morski tak wzrasta, że port gdański nie podoła obrotom. Należało więc zbudować nowy port własny. Zbudowano go w Gdyni, która dziś już prześcignęła w znaczeniu i wielkości port w Gdańsku.

Jako przykład niech posłużą lic. by.

Do Polski przywożono towarów w milionach złotych:

w latach:	1932	1933	1934
przez Gdynię	133	297	385
przez Gdańsk	178	124	94

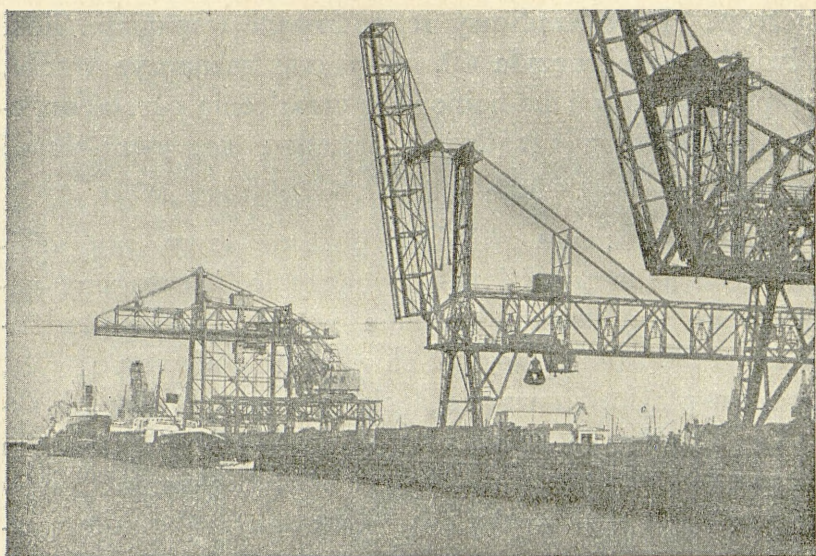
Liczby te dowodzą, jak bardzo było dla Polski konieczne posiadanie własnego portu, jak bardzo jest on dla państwa naszego niezbędny.



M/S „Piłsudski” w porcie gdyńskim.

Fct. Photo-Plat

Nasza flota handlowa powstała właściwie dopiero w roku 1927, składała się wówczas z 6 statków, mających razem pojemności 11000 tonn, w 1936 r. czyli w 9 lat później rozrosła się do 63 statków handlowych o pojemności 80.000 tonn. Naszymi własnymi statkami przewieźliśmy do Polski i z Polski w 1935 r. powyżej 50000 pasażerów i więcej niż milion tonn towaru. Po między naszymi statkami handlowymi mamy dwa duże bardzo piękne statki-motorowce: „Piłsudski” i „Batory”. Zbudowane były one dla nas przez stocznie włoskie według najnowszych zasad techniki. Są one naszą dumą, szlak ich podróży prowadzi od Gdyni do Ameryki, a powiewająca na nich polska bandera każe pamiętać innym narodom, że i Polska jest państwem nadmorskim. Wkrótce powstanie u nas własna stocznia dla budowy statków morskich.



Fot. Photo-Plat

Gdynia — port węglowy: dźwigi do ładowania towarów na statki.

Port w Gdyni ma przeszło 40 regularnych linii okrętowych utrzymujących połączenie ze wszystkimi ważniejszymi portami zachodniej i północnej Europy, morza Śródziemnego, północnej Afryki, środkowej i południowej Ameryki, Dalekiego Wschodu i Australii. Liczba portów, z którymi Gdynia ma stałą komunikację, wynosi przeszło 120.

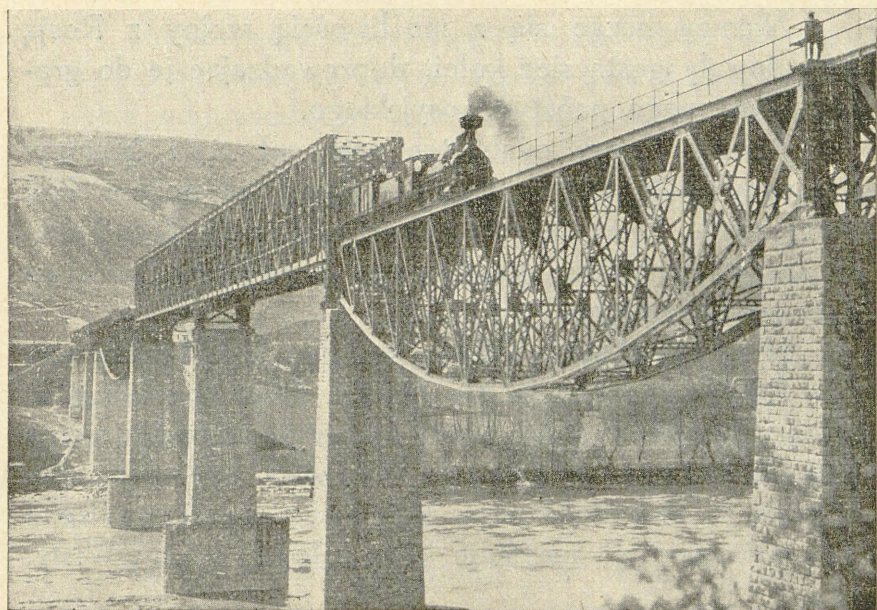
Ciekawe jest, jak budowano port w Gdyni. Otóż cały obszar portowy zajął 950 hektarów, w czym przestrzeń wodna 320 hektarów. Do końca sezonu budowlanego 1932 r. wyczerpano 36 milionów metrów sześciennych (m^3) piasku i torfu oraz zużyto do robót portowych około 100 000 tonn cementu. Sieć torów kolejowych na terenie portu rozszerzyła się do 157 kilo-

metrów. Port handlowy rozbudowano wspaniale. Ilość dźwigów przekroczyła 60, przyczym zaznaczyć trzeba, że port w Gdyni ma najnowsze urządzenia przeładunkowe, dźwigi oraz urządzenia taśmowe z wywrotnicami do przeładunku węgla.

Gdy będziecie zwiedzali port węglowy, przyjrzyjcie się tym urządzeniom. Zobaczycie, jak wagony nalożone węglem samoczynnie wtaczają się na odpowiednie podwyższenie, jak chwytają je stalowe uchwyty, poczym platforma wywraca się i wszystek węgiel sypie się w dół na ruchomą taśmę, która go doprowadza do wielkiego przyrządu. Stoi on na wybrzeżu, jak gdyby ze smutkiem zwiesiwszy swą słoniową trąbę do otwartego wnętrza statku. Stoi, a przyrząd taśmowy wciąż podaje mu nowe porcje węgla, które potwór przez swą trąbę wypłuka do okrętu. Raz, dwa — i okręt jest pełen... Trzeba się spieszyć, port gdyński potrafi dziennie przeładować blisko 33 000 tonn, gdy w r. 1925 całoroczny przeładunek wynosił 55 000 tonn.

Podobnie jak port rozwija się również miasto Gdynia: w roku 1913 była to wioska licząca 301 mieszkańców, w 1921 r. Gdynia miała ponad 3000 mieszkańców, w 10 lat później liczba ta wzrosła do 40 000 ludzi, obecnie w 1936 r. Gdynia jest jednym z wielkich miast Polski i ma blisko 84 000 mieszkańców.

Trudno opisywać szczegółowiej i miasto i port. A przecież o handlu, o rybołóstwie, o różnych przedsiębiorstwach dałoby się pisać o wiele, wiele więcej. Najlepiej jest Gdynię zobaczyć!



Zaleszczyki — most kolejowy.

KOLEJE ŻELAZNE W POLSCE

Gdyby tak wszystkie pociągi na świecie ustawić w jednym kierunku, złożyłaby się droga długości 1 milion 230 tys. km. Możliwość nią opasać ziemię poprzez bieguny około 30 razy. Trzecia część tej długości starczyłaby z ziemi na księżyc.

Państwo polskie miało w 1935 r. 20 000 kilometrów kolei. Stanowi to prawie $\frac{1}{69}$ część wszystkich kolei na świecie.

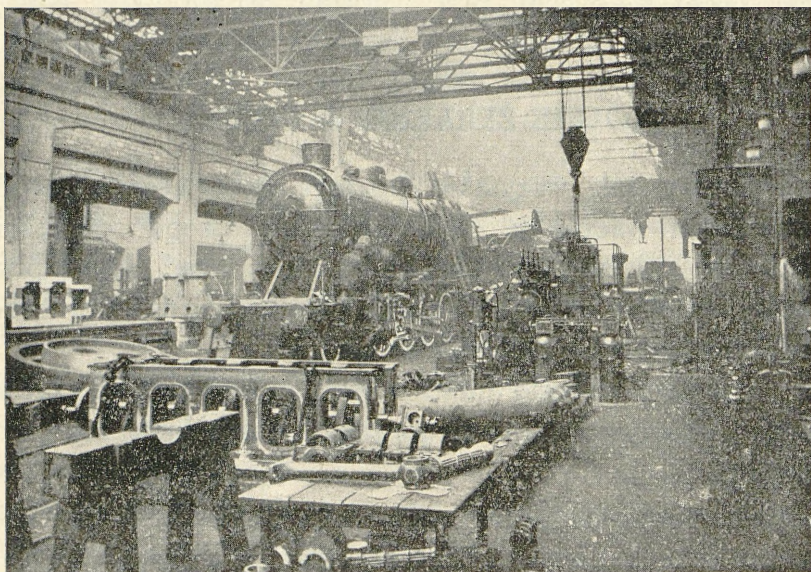
Ziemie Polski przed wojną były, jak wiadomo, pod zaborem trzech państw: Niemiec, Austro-Węgier i Rosji. Każde z tych państw w inny sposób gospodarowało na zabranych ziemiach. Inaczej też rozbudowało koleje.

Niemcy licząc się z możliwością wojny z Rosją pobudowały gęstą sieć kolei, doprowadzając je do granic ówczesnego państwa rosyjskiego.

Austro-Węgry miały ten sam cel co i Niemcy: przeprowadziły one po przez Karpaty aż siedem linii kolejowych, które łączyły zabór austriacki, (czyli dzisiejsze województwa południowe), z wnętrzem państwa austro-węgierskiego.

Nie inny cel miała i Rosja, lecz plan jej był odmienny.

Rosja postanowiła się bronić przed napaścią ze strony Niemiec wzdłuż Wisły i dlatego umocniła się na linii Ossowiec — Modlin — Warszawa — Dęblin. Powiązała tę linię dość silnie kolejami z wnętrzem Rosji nie rozbudowując umyślnie kolei z lewej strony Wisły.



Fot. Photo-Plat

W polskiej fabryce parowozów.

Polska więc odziedziczyła układ kolei składający się z 3 odmiennych części i trzeba było z nich stworzyć układ, odpowiadający jak najlepiej zarówno obronie jak i gospodarce państwa polskiego.

A dodać trzeba, że każda z tych części nie przedstawiała się dobrze.

Tory kolejowe wymagały naprawy, podkłady, szyny, poniszczone wskutek wojny dworce i urządzenia dworcowe, mosty i wiadukty trzeba było zmienić i odbudować. Tabor kolejowy — zarówno wagony jak i lokomotywy — był różny, stary, zużyty. Warsztaty kolejowe zniszczone. Trzeba było niemal wszystko organizować i budować na nowo.

Gdy w roku 1922 było:		w r. 1935:
linii kolejowych	15 955 km	20 000 km
parowozów	4 400	5 400
wagonów osobowych	9 400	12 700
wagonów towarowych	97 000	164 200

A ruch z r. 1935 w porównaniu z r. 1922 stał się trzykrotnie większy.

Liczby te mówią dobitnie o postępie, a trzeba pamiętać, że nie zawsze ta sama liczba odpowiada tej samej rzeczywistości. Wystarczy porównać dworce przez nas zbudowane z dworcami z przed wojny, wagony obecnie krążące — z wagonami z przed wojny, lub piękne, budowane w Chrzanowie lub Poznaniu lokomotywy z lokomotywami z przed wojny.

Lokomotywy są tak sprawne i tak się podobają nawet obcym, że zakupują je inne kraje i wprowadzają na swoje tory kolejowe. Na przykład możemy zobaczyć lokomotywy polskiego wyrobu w Afryce — w Marokku.

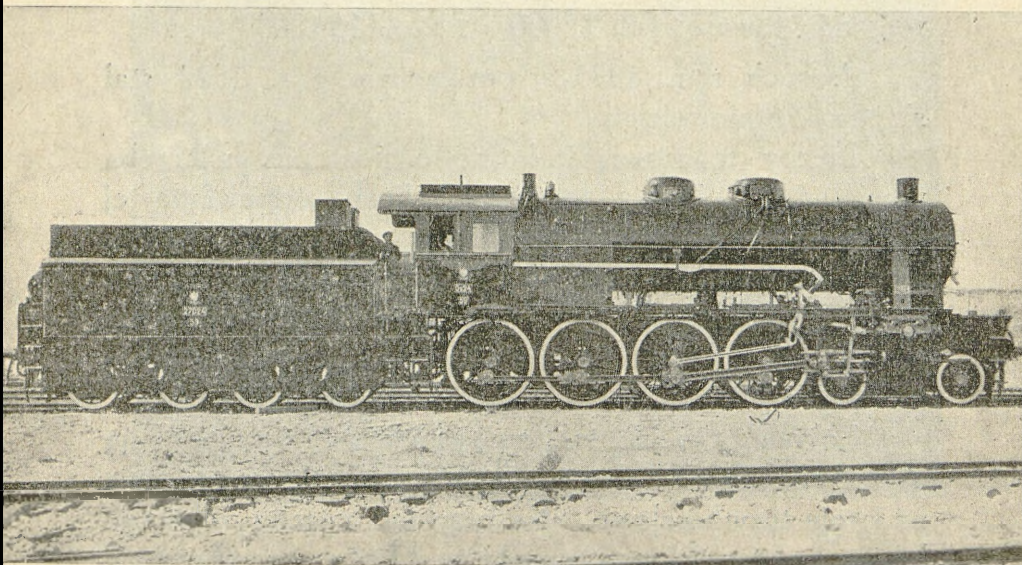
I choć wiele jest jeszcze w tej dziedzinie do zrobienia, możemy być z naszego kolejnictwa naprawdę dumni.

Sieć kolei w Polsce przedstawia załączona mapka.

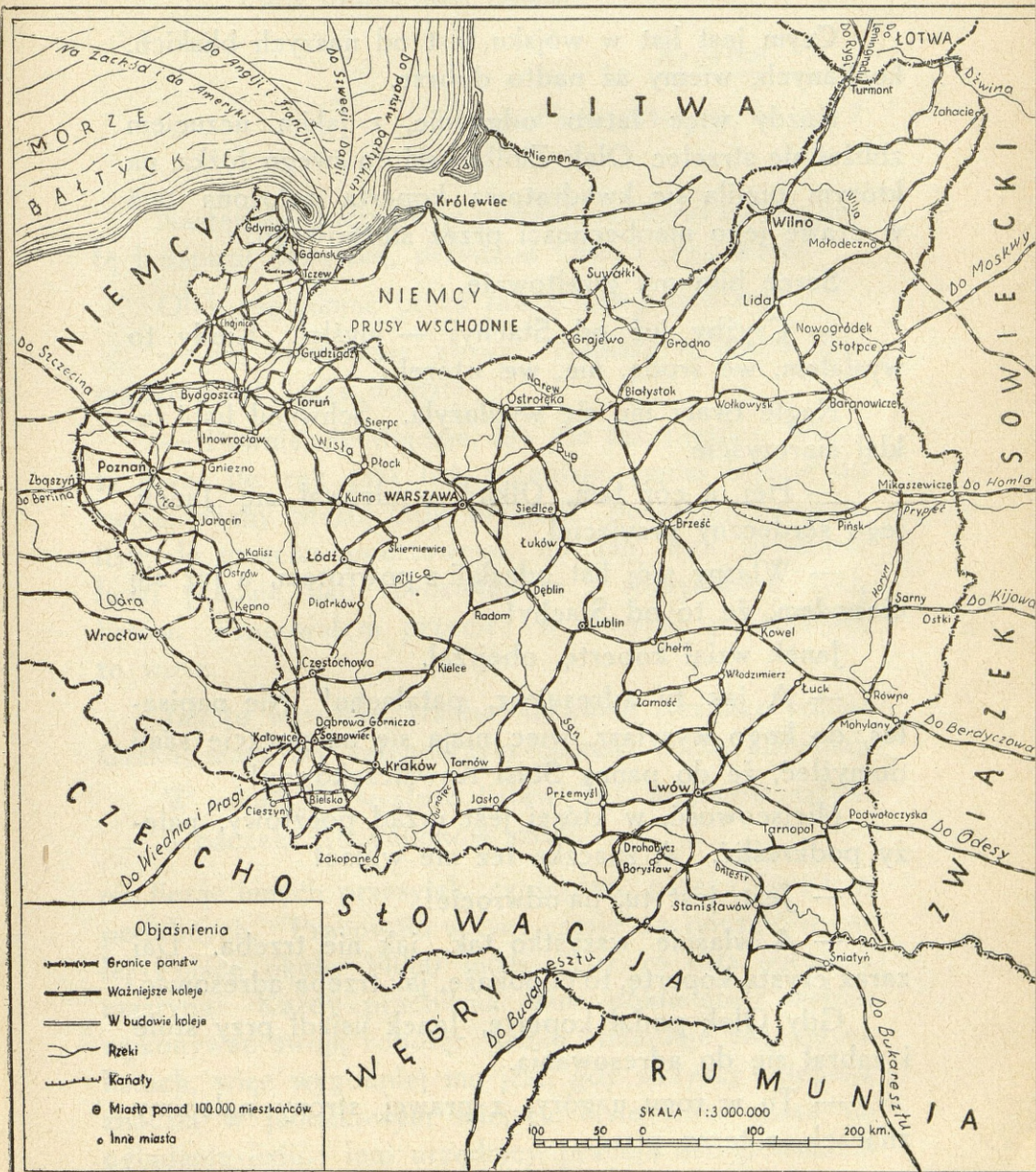
Widać z niej, że sieć kolejowa nie jest jednakowo gęsta. Na zachodzie Polski jest sieć gęstsza, również gęstsza jest na południu Polski, rzadsza jest w środku Polski, najradsza na naszych kresach wschodnich.

Jeśli przyjrzeć się uważnie rozmieszczeniu kolei na tej samej mapce, można dostrzec, jak w miastach większych, ważniejszych schodzi się więcej linii np. w Warszawie, Poznaniu, Lwowie. Miasta te są, jak mówimy — węzłami kolejowymi.

Koleje w Polsce są prawie wyłącznie własnością państwową. Mówią o tym trzy litery: P.K.P. (Polskie Koleje Państwowe), umieszczone pod Białym Orłem.



Parowóz wykonany w fabryce w Chrzanowie.



Sieć kolejowa w Polsce.

O POCZCIE I KOMUNIKACJI

Czym jest list w wojsku, list od naszych bliskich, kochanych, wiemy aż nadto dobrze.

Każdy więc łatwo odgadnie, z jakim uczuciem zbliżał się strzelec Olek Ziółkowski do swego łóżka, na którym bielila się kwadratowa koperta położona tam w czasie jego nieobecności przez służbowego.

Serce biło mu gwałtownie.

— Czyżby już od Stachy? — myślał. Kiedy to wysłałem, we środę, nie, we wtorek?

Nagle twarz mu się wydłużyła. Schwycił list i zaklął siarczyście.

— Hej, a cóż tam, Olku? — odezwał się Janek, jego serdeczny przyjaciel.

— Własny mój list odesłali z powrotem, a już się cieszyłem, że to od Stachy!

Janek wziął kopertę, obejrzał.

— A jak ty adresujesz, patalachu! Nie napisałeś, do kogo wysyłasz, więc mają się na pocztę sami domyśleć, że do panny Stasi Kowalczykównej!

Miejscowość, w której jest urząd pocztowy, należy podkreślić. A znaczka też nie widać!

— Jest, jest tu, na odwrocie!

— A właśnie wszystko tak, jak nie trzeba. Daj zaraz czystą kopertę, to ci pokażę, jak trzeba adresować.

Gdy Olek podał kopertę, Janek usiadł przy stole i zabrał się do adresowania.

— Tu w rogu u góry, z prawej strony nalepimy znaczek, a teraz piszę:

Pani Stanisława Kowalczykówna

Kraków

ul. Floriańska nr. 12 m. 7

Następnie poczekał aż przeschnie, odwrócił kopertę i napisał nazwisko, przydział Olka i jego adres.

Olek zaglądając przez ramię kolegi mruknął:

— Et, zawracanie głowy! Napiszę w innym porządku i list także dojdzie.

— Pewnie, że dojdzie, ale nie tak prędko. Wiesz ty przez ile rąk taki list przejdzie, zanim dojdzie do twojej panny Stasi? Gdy urzędnik pocztowy zawiezie listy do gmachu pocztowego, do sali, tam dziesiątki ludzi pracuje nad rozdzielaniem i rozsyłaniem tych listów. Pracowałem przecież w urzędzie pocztowym, to wiem.

Jak to wszystko trzeba sprawnie i szybko robić! Czekaj, mam tu w kalendarzyku ciekawe liczby. Słuchaj.

W roku 1934 wysłano listów 741 milionów sztuk.
a paczek 10 milionów sztuk,

nie licząc innych przesyłek, czasopism, przekazów i tym podobnych. Pracowało w tym czasie na poczcie w całej Polsce około 34000 ludzi. Toż to cała ogromna maszyna! Każdy pracownik musi dokładnie i szybko wykonywać swoją robotę. Jeden stempluje znaczki na listach, więc wygodniej mu jest, gdy wszyscy nalepiają znaczki w jednakowym miejscu. Nie traci czasu na oglądanie listu. Inni urzędnicy pracują nad podziałem



Fot. Photo-Plat

W urzędzie pocztowym w Warszawie.

listów według miejsc, do których list jest przeznaczony. Szybko i z wprawą biorą list po liście i odczytują adres. Wygodnie dla nich zawsze, jeśli adresy napisane są w jednakowy sposób, a więc nazwa miejscowości napisana jest na dole po prawej stronie koperty, większymi literami i podkreślona. Wtedy urzędnik nie potrzebuje czytać całego adresu, przeczyta tylko: Kraków, Wilno, Lwów i t. p. i odkłada list, gdzie należy.

— Masz słuszość, Janku — westchnął Olek, ja tam nigdy nad pocztą się nie zastanawiałem.

— A wiesz — ciągnął dalej Janek — słyszałem od kogoś, że zagranicą uczą dzieci adresować koperty.

— Ale, ale — przerwał mu Olek — toć teraz i u nas tak robią. Przypomniałem sobie właśnie, że

nasz mały Franek kiedyś przyniósł taki list ze szkoły i mówił, że go na lekcji pisali. Tylko że mnie to wtedy nie obchodziło.

— Ano, widzisz, wszystko to jest ważne, bo poczta, to mądra rzecz. Powiedz, co byśmy bez poczty robili?

— Toby było niemożliwe, trudno sobie nawet wyobrazić!

Na tym skończyła się rozmowa dwóch kolegów o pocście. Ani jeden, ani drugi nie wiedzieli nic więcej o tym pożytecznym urządzeniu. Wiadomo im było dobrze, że wysyłając list z Warszawy do Krakowa, mogli mieć odpowiedź w ciągu 3 dni. Jeżeli zaś zależy na pośpiechu, to wysyłamy telegram (depeszę), a odpowiedź możemy mieć po paru godzinach. Jeszcze prędzej możemy się porozumieć przez telefon między-miastowy.

Jeżeli sprawa wymaga obszerniejszego omówienia i osobistego zobaczenia się, możemy te dzielące nas 365 kilometrów przejechać pociągiem w 6 godzin, lub przelecieć samolotem w jakie 2 godziny.

Łatwo więc i prędko można otrzymać połączenie między Warszawą a Krakowem.

Ale przecie nie zawsze tak było.

Jeszcze przed 20 laty samolotem latali tylko śmiali lotnicy; samoloty nie służyły do przewożenia poczty i podróźnych. Przed 35 laty nie było w Polsce telefonów „między-miastowych”; przed 80 laty nie było telegrafów; a przed przeszło stu laty nie budowano kolei żelaznych, nie znano lokomotyw, a poczta działała rzadko i powoli (bo konno).

Gdy kto miał interes do Krakowa, dopytywał się o jadących tam ludzi i prosił o zabranie listu. Gdy interes był pilny i ważny, siadał na wóz (do bryczki lub do karety) i zabierał wielkie pakunki z odzieżą, pościelą, żywnością i ruszał w drogę, żegnany przez płaczącą i błogosławiącą rodzinę. Podróż trwała 5—6 dni, była długa, kosztowna i męcząca.

A jak wyglądała podróż, gdy nie było bitych dróg?

Nie było mowy, aby wóz mógł przejechać przez gęstsze leśne i bagna.

W puszczech groziły śmiałkowi ostre kły i pazury dzikich zwierząt lub jeszcze niebezpieczniejsze napady zbójców uzbrojonych w dzidy i łuki.

To też rzadko kto podróżował samotnie. Kupcy, którzy wieźli towary na koniach, uzbrojeni łączyli się w całe gromady, tak zwane karawany, i wędrowali miesiącami po tych szlakach, które teraz bezpiecznie przebywamy w ciągu kilkunastu godzin.

GŁOS ZE ŚWIATA

Wesoło i gwarно było w świetlicy żołnierskiej po skończonej audycji radiowej.

Chłopcy śmieli się jeszcze i powtarzali sobie za-słyszane dowcipy.

— Morowa rzecz to radio, odezwał się Jędrzek do Bolka — bo to i rozweseli człowieka i nauczy nieraz. W domu, tam się wielu ważnych rzeczy względem gospodarstwa dowiedział.

— Hej, tam, cisza! Słuchajcie, komunikaty prasowe! — zawołano z gromady.

Chłopcy przycichli i w skupieniu zaczęli słuchać. Najpierw nadawano wiadomości z kraju. Pan Prezydent Rzeczypospolitej przyjął dziś na Zamku ambasadora francuskiego. Lotnicy polscy przygotowują się do nowego lotu dookoła świata. W kieleckim od pioruna spaliło się kilka domów. Woda w Wiśle przybrała. Dalej komunikat pogody: na jutro przewidywane są burze w zachodniej części kraju. Następnie słuchają żołnierze wieści z całego świata. O walkach w Chinach, o zbrojeniach w Europie, o kryzysie w Ameryce. No, to wszystko nic nowego. Nagle chłopcy nadstawili uszu.

— S. O. S., S. O. S.! Statek norweski „Neptun” na morzu Północnym wzywa pomocy drogą radiową. Podczas mgły najechał na niego parowiec niemiecki, który też jest uszkodzony. Na miejsce katastrofy już wystartowały dwa wodnopłatowce norweskie, podąża kontrtorpedowiec niemiecki i transportowiec holenderski.

Chłopcy nie słuchają już innych komunikatów. Z ożywieniem rozprawiają o katastrofie. Czy załoga się uratuje? Czy pomoc zdąży na czas?

— Pomyślcie, jakie to szczęście, że ten statek miał nadawczy aparat radiowy — rzekł Bolek — odrazu mógł wszystkich zawiadomić o katastrofie i natychmiast wysłano pomoc.

— Ja czytałem, że każdy większy okręt morski i samoloty mają nadawcze aparaty radiowe. W razie nieszczęścia nadaje się sygnał S. O. S., nazwę statku czy samolotu, miejsce wypadku, oraz rodzaj uszkodzenia i t. p., dodał Wacek.

— Ale dlaczego właśnie nadają zawsze sygnał S. O. S.? — dopytywał się Roman.

Tego jakoś nikt z kolegów nie umiał wytłumaczyć. Na szczęście wszedł porucznik i zaraz objaśnił:

— S. O. S. — to są początkowe litery angielskich słów „ratujcie nasze dusze”. Litery te przyjęły się na całym świecie i gdziekolwiek ludzie są w niebezpieczeństwie, w ten sposób przez radio wzywają pomocy innych.

Dzięki radiu udało się uratować nie raz dziesiątki i setki istnień ludzkich.

Jeżeli chcecie, to wam opowiem o niektórych takich wypadkach.

— Bardzo prosimy, panie poruczniku! — zawołali żołnierze i ciasnym kołem otoczyli oficera.

A więc w roku 1932 włoski generał Nobile wraz z liczną załogą poleciał wielkim sterowcem do bieguny północnego. Na powrotnej drodze niedaleko bieguny sterowiec uległ katastrofie, część załogi utonęła, większość jednak wraz z Nobilem znalazła się na krze lodowej, wśród oceanu Lodowatego oddzielona tysiącami kilometrów od świata. Na szczęście wraz z ludźmi ocalały potrzebne im do życia rzeczy: namiot, broń, narzędzia, odzież, żywność oraz drogocenny sprzęt radiowy. Dzięki radiu cały świat dowiedział się o katastrofie i o jej ofiarach oraz miejscu przymusowego pobytu rozbitków. Kto tylko mógł, śpieszył ratować nieszczęśliwych. Prawie wszystkie większe państwa europejskie podążyły z pomocą; okręty, wodnopłatowce, łamacze lodów z nieustraszoną załogą szły na ratunek. Cały świat z zapartym oddechem przyglądał się bohaterskiej walce ludzi z lodami i śmiercią północy.

I wreszcie ludzie zwyciężyli. Sowiecki łamacz lodów „Krassin” dotarł wreszcie do rozbitków i ich

uratował. Przez cały czas akcji ratowniczej utrzymywano łączność radiową między rozbitkami a ratownikami. Dzięki niej właśnie udało się odnaleźć i uratować załogę rozbitego sterowca.

Podobnie stało się z załogą i pasażerami sowieckiego łamacza lodów „Czeluskina”, który został zgnieciony przez lody, a przeszło 100 osób cały miesiąc przebywało na krze lodowej, dopóki bohaterscy lotnicy nie przewozili wszystkich po kolei na ląd. I oni też zawdzięczali pomoc komunikacji radiowej.

Może słyszeliście o niedawnej wyprawie polskiej na wyspę „Niedźwiedzią”. Tam na dalekiej północy trzech polskich dzielnych młodzieńców spędziło 15 miesięcy 1932/33 roku w celach naukowych. Przez całą długą, niesłychanie surową zimę jedyną drogą, przez którą docierały do nich wieści z kraju, była droga radiowa. Jakim świętem wydawały się im te sobotnie pięcio-minutowe audycje, gdy poprzez około 3000 kilometrów słyszeli głosy swych bliskich!

Żołnierze słuchali porucznika z zapartym oddechem. Nie zauważyli wcale, jak szybko przeleciał czas i musieli wracać na apel wieczorny.

L. O. P. P. — LOT

— No co, idziesz do cyrku? — zapytywał swego kompana Józka Biłyka, legionista Antek Mizerski z 3 pułku piechoty Legionów.

— Nie bracie! Nie idę — odpowiedział Biłyk.

— A to ci frajer — dziwił się legionista Piórecki. Raz do roku trafia się w naszym mieście taka gratka, że cyrk przyjeżdża, a ten nie chce z niej skorzystać.

— Czy frajer, to się okaże — odciął się Biłyk — Mam lepszą zabawę.

— Aha! Już wiem! — wykrzyknął Mizerski — Do panny Mani się wybierasz. Ale przecież możesz razem z nią wybrać się do cyrku!

Józkowi nie mogło bractwo darować tej panny Mani. Ładna była dziewczyna. A zgrabna i elegancka. Cóż kiedy poza tym lwowiakiem, Biłykiem, nie chciała na nikogo ani spojrzeć.

— Żebyś wiedział, że do panny Mani — odpowiedział z przechwałą Biłyk. — Ale nie idziemy do cyrku tylko na lotnisko.

— A pocóż tam znowu gonisz? —

— Będę latał — odrzekł powoli a dobitnie.

— Na miotle? Tak?? — przekpiwali koledzy.

— Et śmiechy wam tylko w głowie. Nie wiecie, że to dzisiaj dzień Loppu?

— Jakiegoż tam Loppu znowu? — wyrwał się któryś.

Tego jednak zakrzyczeli inni, którzy wiedzieli, że Lopp znaczy „Liga Obrony Powietrznej Państwa”, i że to w skrócie pisze się L. O. P. P., a mówi „Lopp”.

Ale chłopak nie dawał za wygraną, tylko powiada:

— Skoroście tacy mądrzy, to mi wytłumaczcie, co robi taki „Lopp”?

Coś niecoś chłopcy wiedzieli, ale jakoś nie bardzo jasno tłumaczyli. W końcu zrzędała im mina. Że to prześmiewali kolegę, a nie mieli czego, bo sami też nie mieli się czym pochwalić.

Teraz dopiero pokazało się, że Biłyk to mądry chłop.

— „Liga Obrony Powietrznej Państwa” to jest takie stowarzyszenie, które ma na celu przygotowanie całego kraju do obrony przed lotnictwem nieprzyjaciela na wypadek wojny.

— Do tego stowarzyszenia, inaczej „Ligi”, mogą należeć wszyscy obywatele. Składka jest niewielka, bo tylko 50 groszy miesięcznie.

— A co się ma za te 50 groszy? — zapytał Piórecki.

— Po roku przyślą ci złoty zegarek — zaśmiał się któryś — zarazbyś chciał coś mieć za te jedne 50 groszy. Tak?

— Poczekajcie no — uspokajał Biłyk — porozmawiajmy poważnie. Że się Piórecki zapytał, co się za to ma, to co prawda nie bardzo fajnie, bo tam, gdzie idzie o wspólny interes wszystkich, nie powinno się dbać tylko o własny. Ale zresztą nie chodzi o te 50 groszy. Chodzi o to, żeby nam w czasie wojny nieprzyjaciel nie mógł bomb jak gruszek na głowę sy-pać i to tam, gdzie i kiedyby mu się podobało.

— A taka bomba to nie żarty, wystarczyłoby kilkanaście, żeby całe miasto rozwalić. Sam widziałem we Lwowie taką bombę, bo ją ustawili na ulicy, żeby ludziom pokazać. Ledwieś mógł wyciągniętą ręką do jej główicy dosięgnąć.

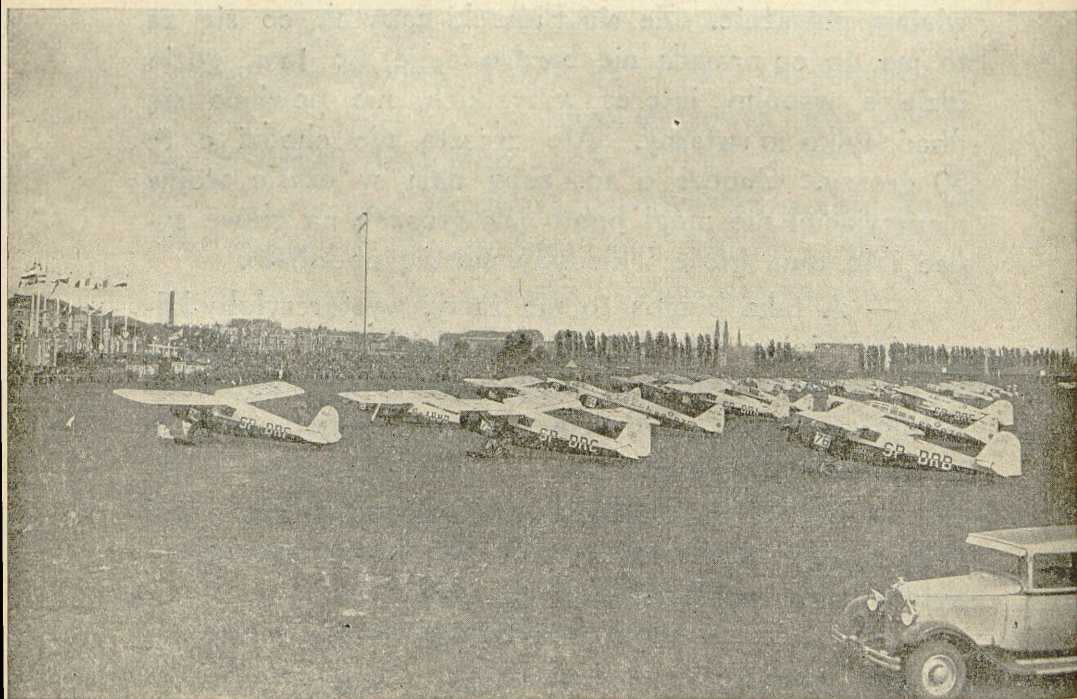
— No! I to stowarzyszenie ma niby nas przed tymi bombami obronić — tak? Za te 50 groszy? — pytał niedowierzająco Mizerski.

— Zanim ci odpowiem, to spróbuj sobie przera-chować parę liczb, jeśli potrafisz. Te twoje 50 groszy to 6 złotych rocznie. Gdyby tylko co trzeci oby-

watel dał 50 groszy czyli 6 złotych rocznie, to ileby zebrano pieniędzy?

— Ano — trudził się Mizerski — u nas jest 33 miliony ludzi. Trzecia część to 11 milionów, 11 milionów razy 6 to będzie... zaraz... zaraz... 66 milionów złotych.

— No widzisz! To nie mała sumka. Można za to coś zrobić — no nie? — mówił Biłyk — zaraz ci dalej policzę. Jeden samolot kosztuje jakieś 50 do 100 000 złotych, czyli za te 66 milionów można by było zakupić... Poczekaj! zaraz ci powiem: 60 milionów podzielone przez 100 000... daje 660 samolotów.



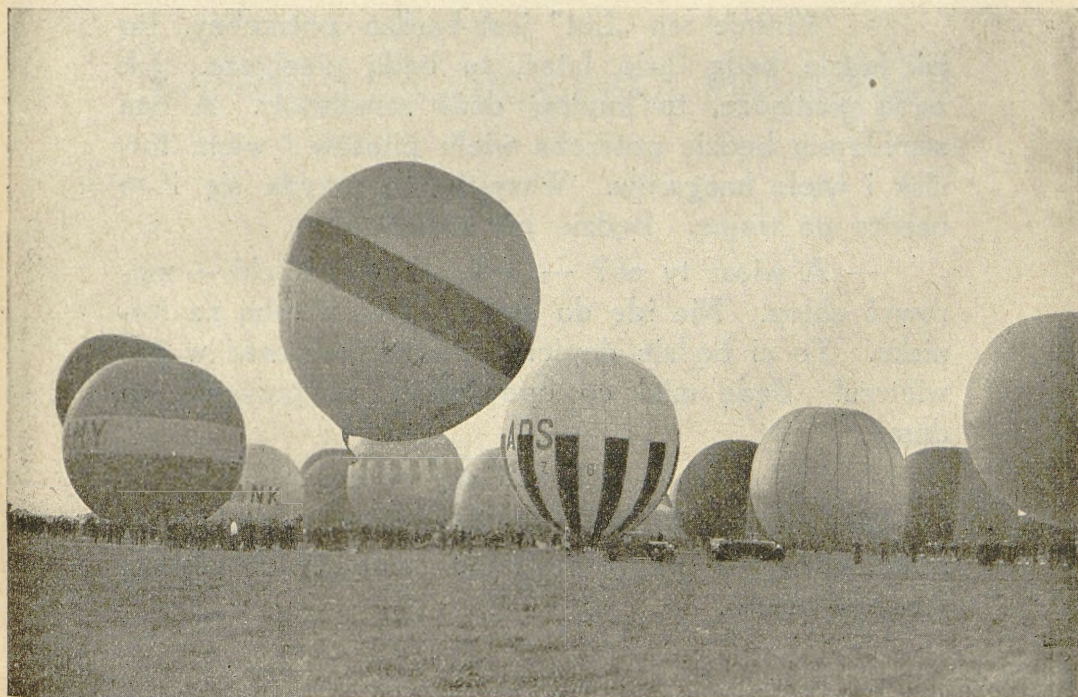
Na Polu Mokotowskim w Warszawie — w dniu otwarcia turnieju.

Fot. W. Pikiel

A to jest już bardzo dużo. Te 660 samolotów potrafiłoby wiele samolotów nieprzyjaciela przepędzić. A o to właśnie chodzi.

Chłopcy nadziwić się nie mogli, skąd to ten Biłyk taki mądry się znalazł. A tymczasem Biłyk opowiadał dalej.

— No to widzicie, że to wcale nie żarty, a ^{tu} potrzeba pieniędzy nie tylko na samoloty. Bo i na szkolenie pilotów, rozmaite próby i wynalazki, na budowę lotnisk, hangarów, to jest szop, w których się przechowuje samoloty, budowę schronów przed bombami i dużo, dużo innych rzeczy. Teraz widzicie, co to jest L. O. P. P.?



Przed startem balonów.

Fot. W. Pikiel

— Dobrze, dobrze, ale co to ma wspólnego z twoją wyprawą z panną Manią na lotnisko? — nie dawali za wygraną koledzy.

— Mówiłem wam już, że będę latał. Nie czytaliście to w afiszach, że dziś na lotnisku „Lot” organizuje loty samolotem pasażerskim? Niedrogo to kosztuje, a można sobie polatać kilkanaście minut w powietrzu. Nieprędko się taka gratka tutaj trafi.

— A cóż to jest znowu „Lot”?

— Tak się nazywają „Polskie Linje Lotnicze”, pasażerskie.

— Aha! To te, co wożą pasażerów, jak kolej — tak? — zawołał Piórecki.

— Właśnie ten „Lot” jest bardzo potrzebny. Bo jak ludzie będą dużo latać, to będą pieniądze. Jak będą pieniądze, to kupimy dużo samolotów. A tym samolotom będzie potrzeba wielu pilotów i wiele lotnisk i wiele hangarów. Wszystko to przyda się i to bardzo na wojnę. Będzie jak znalazł.

— A wiesz ty co? — wykrzyknął Piórecki — morowys chłop. Nie idę do cyrku, tylko z tobą na lotnisko. To ci będzie dopiero uciecha pofruwać w powietrzu! Będę miał co opowiadać, jak przyjadę do domu.

— I ja! I ja! — zgłaszali się chłopcy.

Niebawem cała bez mała kompania sypała na lotnisko, gdzie już przygotowywano samoloty do pięknej jazdy w obłoki.

HANDEL I GOSPODARKA PIENIĘŻNA

THE UNIVERSITY OF CHICAGO LIBRARY

1975
1976

HANDEL ZAGRANICZNY POLSKI

Wielkie jest bogactwo, jakie nam dają nasze pola, lasy, kopalnie, fabryki: zboża, ziemniaki, drewno, deski, węgiel kamienny, ropę naftową, sól, narzędzia, maszyny, gwoździe, drut, szyny, kwasy, ługi, mydło, papier, farby i wiele, wiele innych.

Część tego zużywa ludność Polski, resztę zaś wywozimy do innych państw. Im więcej Polska wytworzy tych przedmiotów i po zaspokojeniu potrzeb swej ludności sprzeda zagranicę, tym jest lepiej. Za otrzymane pieniądze możemy tam kupić brakujące towary i niezbędne surowce, których w kraju nie mamy.

Z Polski wywozi się: węgiel kamienny, drewno i wyroby z niego, świnie i boczki wieprzowe, t. zw. bekony, zboża i mąkę z nich, wyroby włókiennicze, cynk, jaja kurze, rury i blachy żelazne i stalowe, szyny, cukier, parafinę, masło, nasiona różnych roślin i wiele jeszcze innych przedmiotów.

Natomiast przywozi się z różnych państw świata: bawełnę, wełnę, maszyny, skóry, rudę żelazną i złom żelazno-stalowy czyli t. zw. szmelc, kawę, herbatę, kakao, tłuszcze, śledzie i wiele jeszcze innych towarów.

Mówimy więc o wywozie czyli eksporcie towarów i przywozie czyli imporcie towarów.

Ruch towarów z kraju za granicę i z zagranicy do kraju, czyli eksport i import towarów stanowi to, co nazywamy handlem zagranicznym.

Jeżeli wartość wywozu jest większa od wartości przywozu, wówczas mówimy, że nasz bilans handlowy jest dodatni albo czynny: za więcej złotych wywozimy niż sprowadzamy.

Jeżeli jest odwrotnie, to znaczy, że wartość wywozu jest mniejsza od wartości przywozu, wówczas bilans handlowy jest ujemny albo bierny: za więcej złotych sprowadzamy niż wywozimy.

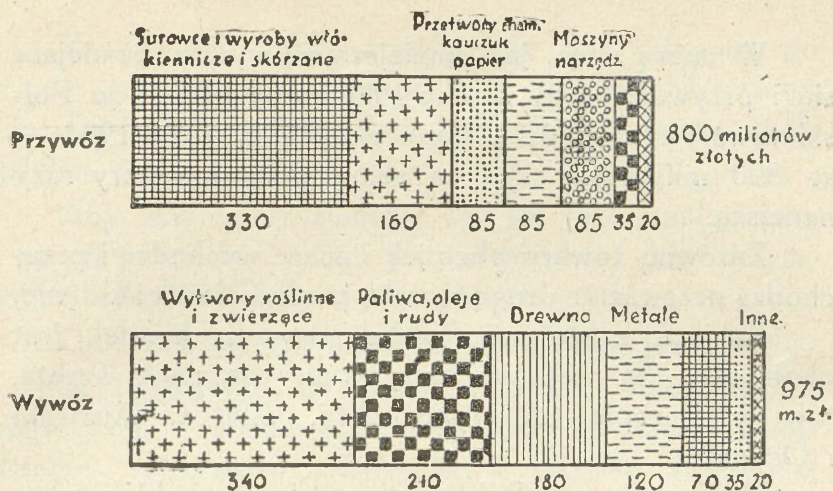
W roku 1934 nasz bilans handlowy był dodatni: wywieziono z Polski towarów na 975 milionów złotych, przywieziono zaś do Polski — za 800 milionów złotych. Różnica czyli, jak to mówią, saldo wynosiło wówczas 175 milionów złotych na naszą korzyść.

Czy zawsze było tak, jak w roku 1934? Nie. Wartość wywozu zmienia się co rok, co rok inna jest wartość i przywozu. Saldo jest w każdym roku inne. W latach: 1925, 1927, 1928, 1929 było saldo ujemne, w latach: 1926, 1930, 1931, 1932, 1933, 1934 — dodatnie.

Od roku 1929 wywóz stale się zmniejszał, a zmniejszył się tak znacznie, że na przykład w roku 1934 był prawie trzy razy mniejszy niż w 1929 r.

Towar nasz coraz trudniej sprzedać zagranicy. Znajduje on tam silną konkurencję takich samych towarów zgromadzonych z różnych, bardzo nieraz odległych stron, na przykład nasze masło wysyłane do Anglii znajduje jako konkurenta masło z Danii, a nawet z południowej Afryki.

Są i inne przyczyny, które zmniejszają nasz wywóz. Wywóz zmniejszył się nie tylko w Polsce, zmniejszył



Handel zagraniczny Polski w 1934 r.

Wartość wyrażona w milionach złotych.

Znaki wykresu przedstawiają następujące towary: 1) kratka — surowce, wyroby włókiennicze i skórzone; 2) krzyżyki proste — wytwory roślinne i zwierzęce; 3) kropki — przetwory chemiczne, kauczuk, papier; 4) kreski — metale; 5) kółka — maszyny i narzędzia; 6) szachownica — paliwa, oleje, rudy; 7) krzyżyki ukośne — inne towary.

się on prawie wszędzie na świecie. Coraz trudniej jest sprzedać towar za granicą nie tylko nam, ale i innym krajom. Dzisiaj na całym niemal świecie ludzie ograniczają swoje potrzeby i kupują coraz mniej. Zmniejszyła się i zmniejsza rozbudowa wszelkich urządzeń publicznych, jak kolei, dróg, portów, domów i t. p.

Skoro Polska coraz mniej może wywozić towarów, a co za tym idzie, coraz mniej otrzymać za to pieniędzy, musi ograniczyć dowóz towarów obcych do siebie. Nakłada opłaty dodatkowe na towary zagraniczne, tak zwane cło, lub wcale nie pozwala pewnych towarów wwozić w swoje granice.

Za to staramy się wyrabiać w kraju towary, któreby mogły zastąpić sprowadzane z zagranicy. Na przykład bawełnę usiłujemy zastąpić lnem, a nawet próbuje się u nas uprawiać bawełnę.

W miarę więc, jak zmniejsza się wywóz, zmniejsza się i przywóz. Gdy w roku 1928 sprowadzono do Polski towarów za 3362 miliony złotych, w roku 1934 — za 800 milionów, czyli za sumę przeszło cztery razy mniejszą.

Zarówno towary obce jak i nasze wychodzą i przychodzą przeważnie drogą morską przez Gdańsk i Gdynię.

Krajów, z którymi Polska prowadzi handel, jest około stu. Są one we wszystkich częściach świata, t. j. w Europie, Ameryce, Azji, Afryce, Australii i Oceanii.

W Europie zaś Polska utrzymuje stosunki handlowe z innymi państwami w następującej kolejności: najwięcej zakupują u nas Anglia i Niemcy, następnie Belgia, Austria, Czechosłowacja, mniej Szwecja, Francja, Holandia, Włochy, Dania, Z. S. R. R., a już dużo mniej pozostałe kraje europejskie, jak na przykład Rumunia, Hiszpania, Jugosławia, Norwegia, Węgry.

CO TO JEST SPÓŁDZIELNIA

Ileż to razy w czasie służby wojskowej wpada się do spółdzielni żołnierskiej! A to po papierosy, po kiełbasę, po pastę do obuwia, po słodczyce, czy inne pożyteczne lub przyjemne zakupy. Ani zliczyć tych drobiazgów.

Ale czy kto kiedy zastanowił się poważnie nad tym, co to jest właściwie spółdzielnia?

— Ot, odpowie jeden i drugi, sklep i tyle.

Ale od takiego objaśnienia wcale nie jesteśmy mądrzejsi. Sklepów jest bardzo wiele, ale przecież nie wszystkie nazywają się spółdzielniami.

Zresztą nie każda spółdzielnia jest sklepem, bo mamy przecież spółdzielcze kasy oszczędności, mleczarnie, fabryki, spółdzielnie budowlane a nawet spółdzielnie pracy.

Aby dobrze zrozumieć, co to jest spółdzielnia i po co powstała, warto jest dowiedzieć się o tym, w jaki sposób zjawiała się na świecie.

Ojczyzną pierwszej udanej spółdzielni jest Anglia.

W 1844 roku 28 tkaczy w pewnej miejscowości angielskiej, Rochdale (czyta się Roczdel), założyło spółdzielnię spożywców. Było to w okresie straszliwej nędzy, lichych zarobków i wielkiej drożyzny towarów. Próbowali już różnych środków poprawy swego losu, ale wszystkie zawiodły. Byli ludźmi tak biednymi, że postanowiwszy założyć spółdzielnię musieli przez rok groszowymi składkami zbierać pieniądze, aby móc otworzyć nędzny kramik, w którym było wszystkiego cztery rodzaje towarów: kasza owsiana, mąka, cukier i masło. Żaden z nich nie miał wykształcenia ani praktyki handlowej. Nikt im nie pomógł, przeciwnie — otwarcie tego sklepu powitano szyderczym śmiechem, nazywając ich „szalonymi tkaczami”.

Nawet ludzie mądrzy odradzali im tego przedsięwzięcia, a bogaci kupcy zupełnie ich lekceważyli.

Dziś spółdzielnia w Roczdel ma przeszło 25 tysięcy członków, 91 sklepów, trzydzieści kilka milionów złotych rocznego obrotu. W całej Anglii liczba spółdzielców z rodzinami doszła do 20 milionów ludzi, co stanowi prawie połowę ludności!

W jaki sposób biedni tkacze z przed stu lat osiągnęli takie powodzenie?

Oparli oni swoją spółdzielnię na zasadach, które i dziś stanowią podstawę każdej solidnej spółdzielni.

Są one następujące:

Sprzedaż po cenach rynkowych, czyli po takich, jakie są w innych sklepach. Gdyby bowiem sprzedawali po cenach kosztu hurtowego zakupu, toby im zabrakło pieniędzy na opłacenie sklepu, pracowników, na pokrycie straty w razie zepsucia się jakiegś części towaru, czy na inną nieprzewidzianą szkodę.

Podział nadwyżki (zysku). Sprzedając towar po cenach rynkowych nawet po opłaceniu wszelkich kosztów (zakupu towarów i t. zw. administracyjnych) zostawała jeszcze nadwyżka, czyli zysk, który w prywatnym sklepie idzie do kieszeni właściciela-kupca.

Nadwyżkę tę po zamknięciu rachunków za każdy okres (kwartał, półrocze lub rok) stowarzyszenie spółdzielcze zwraca swoim członkom w stosunku do zrobionych w stowarzyszeniu zakupów (to znaczy, że im więcej ktoś kupił towarów, im więcej nadpłacił, tym większy należy mu się zwrot nadpłaconych pieniędzy). Nazywa się to „dywidendą” albo lepiej — zwrotami od zakupów. Oczywiście złożone przez członków na zakupy pieniądze, które nazwano udziałami, też przynoszą członkom pewien procent, jest on mniej więcej taki, jakiby członkowie dostali, gdyby pieniądze te złożyli w najbliższej kasie oszczędności.

Równe prawo głosu mają wszyscy członkowie bez względu na to, ile kto dał pieniędzy na udział. Jeden mógł dać więcej, innego stać było na mniej, ale wszystkim jednakowo na sercu leży dobro stowarzyszenia. Wszyscy więc są równi w posiadaniu prawa



Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa w Wysokim-Mazowieckim.

głosu, a tylko dla łatwiejszej gospodarki wybierają kilku z pośród siebie do zarządzania sprawami stowarzyszenia. Wybrani członkowie muszą zdawać sprawę ze swego rządzenia spółdzielnią i przedstawić rachunki wszystkim członkom co pewien czas na tak zwanych ogólnych zebraniach (walnych zgromadzeniach).

Aby spółdzielnia normalnie się rozwijała, musi sprzedawać tylko za gotówkę a nie na kredyt.

Sklepy spółdzielcze, w przeciwieństwie do większości sklepików prywatnych, dostarczają tylko dobrego towaru i nie fałszują go, przytym każdy odbiorca otrzymuje w spółdzielni rzetelną miarę i wagę.

Lecz spółdzielczość nie tylko dostarcza taniego i dobrego towaru swoim członkom. Ma ona jeszcze inne zadania: służy celom społecznym.

Członkowie nigdy nie wybierają całej nadwyżki, lecz pewną część zostawiają na fundusz społeczny. Stopniowo rok za rokiem gromadzi się w ten sposób coraz więcej pieniędzy; dzięki tym funduszom społecznym stowarzyszenie ma możliwość zakładać własne przedsiębiorstwa, a więc piekarnie, masarnie, warsztaty wyrobu obuwia, odzieży i t. p.

A że człowiek ciemny nie może żyć kulturalnie, w dobrobycie ani też być pożytecznym członkiem społeczeństwa, dbają usilnie spółdzielcy o podnoszenie oświaty. W tym celu stowarzyszenia spółdzielców sprowadzają książki i pisma, zakładają biblioteki i czytelnie, urządzają kursy, odczyty i pogadanki, wieczornice, koncerty i przedstawienia teatralne, jednym słowem starają się szerzyć wśród członków kulturę i oświatę, wносить do ich życia jak najwięcej radości i wesela.

W wielu państwach, jak np. w Anglii, Danii, Finlandii, Austrii a także i w Polsce z części funduszków społecznych stowarzyszenia spółdzielcze pobrały piękne domy społeczne.

A jak rozwija się spółdzielczość u nas w Polsce?

W 1935 r. mieliśmy około 20 tysięcy spółdzielni, które liczyły prawie 3 miliony członków. Są to rozmaite rodzaje spółdzielni, a więc:

spożywczych — 3600, kredytowych — 7500, mleczarskich — 2100, rolniczych — 5000, mieszkaniowych — 1000 i wiele innych.

Spółdzielnie spóżywców mają własne hurtownie i fabryki. Każdy na pewno spotykał wyroby fabryki spółdzielczej „Społem”, jak na przykład cukierki, czekoladę, mydło, pastę do obuwia i wiele innych.

Na wsi spółdzielnie rolnicze mają ogromne znaczenie dla zwiększenia zysków ze sprzedaży produktów z hodowli zwierząt, płodów rolnych i t. p. Na przykład spółdzielnie mleczarskie dzięki swym urządzeniom otrzymują z mleka lepsze przetwory, zdobywają liczniejszych odbiorców. Mogą też te dobre produkty drożej sprzedawać niż poszczególny rolnik, który nie ma potrzebnych urządzeń. To samo dotyczy spółdzielni jajczarskich i innych.

W wojsku mamy około 260 spółdzielni. Spółdzielnie te część swych nadwyżek również przeznaczają na cele oświatowe. W roku 1933 na przykład fundusze oświatowe wynosiły 190 000 złotych. Sam Korpus Ochrony Pogranicza ma 30 sklepów spółdzielczych wzorowo urządzonych, które na kresach państwa polskiego służą jako przykład organizacji spółdzielczej dla miejscowej ludności.

Spółdzielczość, jak widzimy, ma wielkie znaczenie gospodarcze i społeczne. W Polsce zrobiono już w tej dziedzinie sporo, lecz w porównaniu z innymi krajami jest to jeszcze bardzo mało. W Finlandii i Danii ruch spółdzielczy ogarnął całe prawie życie gospodarcze państwa, w Anglii połowa ludności należy do spółdzielni, a u nas — zaledwie 8%.

Im więcej jednak obywateli zrozumie korzyści, jakie daje spółdzielczość, tym więcej powstanie spółdzielni i spółdzielców, a razem z tymi pójdzie podniesienie gospodarcze i kulturalne kraju.

P. K. O.

Jedną z najpotężniejszych instytucyj finansowych naszego państwa jest P. K. O.

P-ocztowa K-asa O-szczędności.

P. K. O. jak każda kasa prowadzi różne działy — oszczędnościowy, ubezpieczeniowy, pożyczkowy i t. p. Dla nas przeciętnych obywateli najważniejszym będzie dział pierwszy, tak zwany oszczędnościowy. Dziś jedynie lekkomyślny człowiek nie odkłada na jutro, jeśli może, na tak zwaną „czarną godzinę”. Ale odkładać, to też jeszcze nie wszystko. Trzeba odkładać mądrze. Bo weźmy, iluż to zasobniejszych gospodarzy po wsiach ciuła złotówki po to, żeby je schować, zagrzebać na dnie skrzyni, albo gdzie w komorze pod progiem. Niepewne to schowanie, bo złodziej czy pożar łatwo nas tych oszczędności może pozbawić. A czy pożyteczne? Też nie. Bo jakież to pożytek komu z pieniędzy leżących martwo w skrzyni? „Pieniądz rodzi pieniądz” — mówi stare przysłowie, ale leżąc w skrzyni nie urodzi ten polski złoty ani jednego marnego grosza.

Trzeba — jak to mówią — pozwolić mu się obracać, na przykład w handlu, w spółdzielni, w warsztacie rzemieślnika.

Ale bywa, że człowiek grosz spory uciulał i nie wie, jak nim obrócić. Wtedy to trzeba go mądrze odłożyć. Nie pod próg, nie do skrzyni, ale właśnie do kasy. Tam będą nim obracać inni, a za to przyniesie on nam i drugim pożytek. Nam w postaci procentu, który nam kasa wypłaci. Drugim w postaci kapitału, którego im trzeba do obrotu.

Jedną z wielu bolączek naszej gospodarki jest przewaga u nas obcego zagranicznego kapitału. A kto ma kapitał ten ma i zysk z wielkich przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Aby nasze państwo bogaciło się, potrzebne mu są własne polskie kapitały. Wiadomo, że z grosza powstają złotówki, a ze złotówek ogromne sumy. Z drobnych wkładów obywateli tworzą się wielkie pieniądze, którymi obraca państwo używając ich do prowadzenia różnych przedsiębiorstw, budowy dróg, domów i innych pożytecznych robót.

Możnaby powiedzieć, że kasa jest pośrednikiem między tymi, co pieniądze mają, a tymi, co za te pieniądze potrafią różne przedsiębiorstwa uruchomić.

Dla obywatela polskiego najlepszą taką kasą jest P. K. O.

Dlaczego? — spyta niejeden.

Dlatego przede wszystkim, że jako kasa państwa najlepiej zapewnia bezpieczeństwo naszego grosza, a poza tym dlatego, że mamy do niej najłatwiejszy dostęp. Bo P.K.O. ma w Polsce tyle oddziałów, ile jest urzędów pocztowych. To znaczy, że jest wszędzie. A że przyjmuje wkłady już od jednego złotego, więc jest dostępna i dla najmniej zamożnych obywateli. Nawet małe dzieci mogą w niej składać swe groszowe oszczędności przy pomocy umyślnych skarbonek. A młodzież szkolna składa swe drobne oszczędności w tak zwanych „Kasach Szkolnych P.K.O.”. Prócz tego istnieje jeszcze inny sposób składania: na książeczki premiowe, gdzie właściciel książeczki bierze udział w losowaniu wygranej cztery razy do roku. Wygrana taka wynosi 1 000 złotych.

W wojsku P. K. O. organizuje od trzech lat konkursy żołnierskie. Chodzi o to, by żołnierze w czasie pobytu w wojsku, składali swe oszczędności na książeczkę. Po ukończeniu służby wojskowej otrzymują swoje pieniądze, za które mogą kupić ubranie lub inne potrzebne rzeczy. Ponadto oddziały, w których najwięcej żołnierzy zakupi książeczki P. K. O., otrzymują nagrodę pieniężną.

Widzimy więc, że P. K. O. uczy obywatela rozumieć, że oszczędność jest zapewnieniem jutra, bogactwem kraju, oraz najlepszym zabezpieczeniem złożonego grosza.

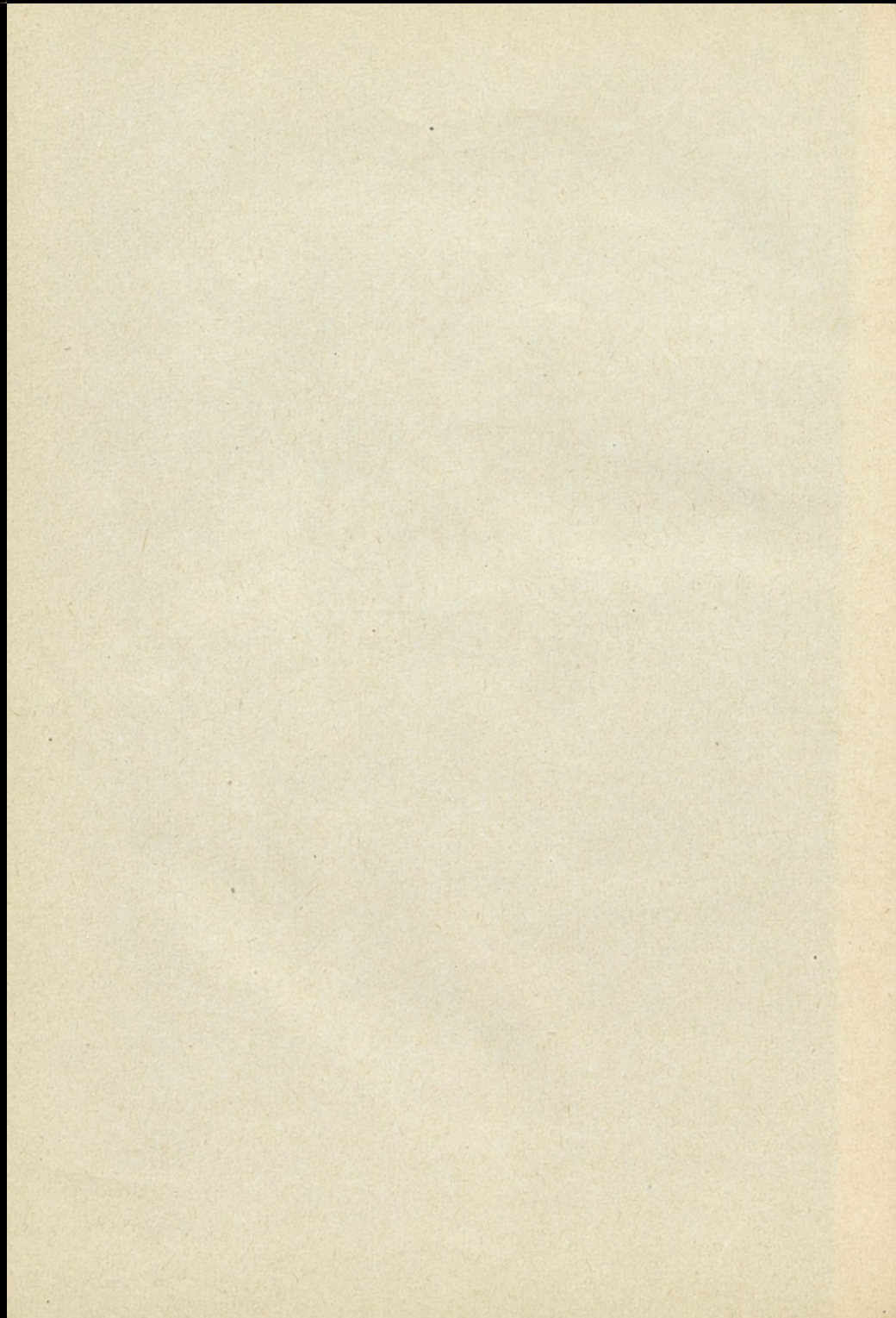
Aby jednak poznać znaczenie tej instytucji pod względem społecznym i państwowym, trzeba się przyjrzeć liczbom. Zamiast jednak długiego ich szeregu, jak to zwykle spotykamy w ogłoszeniach, przyjrzyjmy się jednej tylko. Oto obrót roczny P. K. O. za rok 1935 wyniósł 28 miliardów i 500 milionów złotych!

Liczbę tę trudno ogarnąć. Ale daje nam ona pojęcie o ogromie tej instytucji, a co za tym idzie o korzyściach materialnych, jakie ona przynosi państwu. A nie zapominajmy, że P. K. O. zatrudnia bardzo wielu pracowników, to znaczy, że daje pracę i chleb tysiącom obywateli i ich rodzinom.

Ostatnie lata wskazują stały rozwój P. K. O. Powstają coraz nowe oddziały, a nawet dla Polaków będących na emigracji utworzyło P. K. O. w kilku wielkich miastach zagranicznych t. zw. Polską Kasę Opieki.

Największym jednak i najpierwszym zadaniem P.K.O. jest rozwijanie w społeczeństwie polskim bardzo ważnej cnoty obywatelskiej — oszczędności.

USTRÓJ PAŃSTWA



RZĄD i SAMORZĄD

Bartek był to chłop mocny i dość pojętny, więc też służba w piechocie nie bardzo mu ciążyła. Nieraz jednak tęskno mu było do swojej wioski. W takich chwilach lubił pogadać z Grzegorzem, który z tych samych stron pochodził.

— Wiesz Grzesiu — zagadnął raz Bartek kolegę podczas odpoczynku w koszarach — milsza by służba była, gdyby pułk stanął w naszej gminie. Za każdą przepustką szłoby się do domu rodzinnego.

— I ze swoją Maryską chodziłbyś co wieczór na spacer — zaśmiał się Grzegorz.

— A my tu daleko od swoich stron — mówił dalej Bartek niezrażony dowcipem kolegi. — Szkoda, że ze służbą wojskową nie jest tak jak z szarwakiem, kiedy każdy musi pracować na drogach tylko w swojej gminie. I wojsko i szarwark to przecież obowiązek obywatelski, niechby więc każdy odsługiwał wojsko w swojej gminie.

— Prawdziwy mądrała z ciebie, Bartku, ale nie myślisz o tym, że gdyby było tyle pułków ile gmin, to by i ludzi na to nie wystarczyło — wyjaśnił mu Grzegorz.

Ale Bartek upierał się przy swoim.

— No to niechby przynajmniej każdy w swoim powiecie służbę wojskową odbywał.

Grzegorz się zamyślił. Po chwili zaczął wolno i z wysiłkiem tłumaczyć Bartkowi to, czego sam się w zeszłym roku na kursach oświatowych nauczył.

— Widzisz — zaczął — jak ty idziesz odrabiać szarwark na drodze gminnej, to robisz to z obowiązku wobec gminy, tylko dla dobra naszej gminy. Dlatego praca ta wypadnie zawsze w granicach gminy. Inaczej jest z wojskiem. Do wojska idziesz nie dlatego, żeby z tego miała być szczególna korzyść dla gminy, czy dla powiatu, ale dla całej Polski, której potrzebne jest wojsko do obrony.

— To chyba prawda — rzekł Bartek — przecież i podatki są różne: jedne państwowe, inne samorządowe, czyli gminne i powiatowe.

— Ano widzisz — mówił dalej Grzegorz zadowolony, że ma tak pojętego ucznia. — Wiesz chyba, że państwo dzieli się na województwa, powiaty i gminy. Każdy z nas mieszka w jakimś województwie, powiecie i w jakiejś gminie, a więc oprócz tego, że jest obywatelem państwa, należy do samorządu powiatowego i gminnego.

— Ja to dosyć rozumiem — odpowiedział Bartek — tylko to mi trudno pojąć, co robi samorząd gminny, co powiatowy, a co państwo, żeby tak wszystkim szło jak najskładniej.

W tej chwili do rozmowy przyłączyło się jeszcze kilku kolegów, którzy z daleka zauważyli, że Grzegorz o czymś rozprawia. Wszyscy lubili go słuchać, bo umiał ciekawie i prosto mówić o trudnych rzeczach.

— Ludzie żyją w gromadzie — mówił Grzegorz — i muszą wiele rzeczy wspólnie wykonywać i wzajem sobie pomagać, bo pojedynczy człowiek w wielu sprawach nic nie poradzi. Na przykład o dom ludowy winna się kłopotać cała wieś. Ale gdy jakaś sprawa dotyczy kilku wsi, jak na przykład budowa drogi łączącej parę wiosek, wtedy powinna się tym zająć gmina.

— No, a samorząd powiatowy? — wyrwał się jeden ze słuchaczy.

— Czekajcie, zaraz wszystko powiem — ciągnął Grzegorz. — Jeżeli jakaś sprawa dotyczy nie jednej, a kilku gmin, lub całego powiatu, to powinien nią zająć się samorząd powiatowy, czyli jakby związek wszystkich gmin wiejskich i mniejszych miast w powiecie.

— Samorząd powiatowy jest głównie po to, żeby pouczał gminy, jak mają pracować, i pilnował, by wszystko było uczciwie — wtrącił się jeden z nowych słuchaczy, chcąc pokazać, że i on się na tych rzeczach rozumie.

— Niezupełnie tak — sprostował Grzegorz — bo przecież samorząd powiatowy nie tylko nadzoruje gminy, ale i sam gospodaruje. Kto na przykład prowadzi szpitale dla niezamożnych chorych ze wsi?

— Wiadomo, sejmik powiatowy — odpowiedział Bartek.

— No tak, sejmik powiatowy czyli rada powiatowa, która razem z wydziałem powiatowym stanowią władze samorządu powiatowego — wyjaśnił Grzegorz.

— A nad tym wszystkim jest państwo, tak? — spytał Bartek rad, że mu się to wszystko jakoś porządnie w głowie ułożyło.

— No tak. Tymi rzeczami, które są ważne nie tylko dla jednej gminy lub jednego powiatu, ale dotyczą całego państwa, zajmują się już władze państwowe. Rząd więc jest gospodarzem całego państwa. Jeżeli na przykład chodzi o obronę przed nieprzyjacielem, o zapewnienie spokoju przed bandytami i złodziejami, o walkę z chorobami zaraźliwymi i o wiele innych rzeczy, to zająć się tym musi ta władza, która ma na oku dobro całego państwa, a więc rząd, czyli ministrowie, wojewodowie i starostowie, przy pomocy urzędników, wojska i policji. No to już wszystko chyba zrozumiałeś? — zakończył Grzegorz zwracając się do Bartka.

— Właśnie, że nie — teraz mi największego klina zabiłeś. Bo powiedziałeś tak: rząd myśli o całym państwie, a samorząd — jeżeli powiatowy, to o powiecie, jeżeli gminny — to o gminie, a przecież starosta to część rządu, a on tylko w swoim powiecie pracuje.

Wszyscy ciekawie patrzyli na Grzegorza, myśląc, że teraz już sobie nie poradzi z tymi trudnymi pytaniami i będzie się musiał byle czym wykręcić.

Ale Grzegorz i tu dał sobie radę.

— Tak, to jest trudne — rzekł — ale postaram się to tak wytłumaczyć, jak nas na kursach oświatowych uczono. Otóż starosta wykonuje w swoim powiecie wszystkie te sprawy, które mu polecają ministrowie i wojewoda. Mówiliśmy, że rząd musi zajmować się takimi sprawami, które dotyczą całego państwa, jak wojsko, policja, najważniejsze drogi łączące poszczególne części kraju, i wiele innymi. Otóż starosta z polecenia rządu pilnuje przeprowadzenia poboru wojsko-

wego, sprawności policji, prowadzi prace drogowe i wykonuje szereg innych czynności.

Na chwilę rozmowa się urwała. Wszyscy myśleli o tym, jakie to ciekawe, ale i trudne do zrozumienia sprawy.

Po chwili Grzegorz mówił dalej.

— I samorząd i rząd dążą więc do dobra obywateli. Samorząd uzupełnia działalność rządu, bo zajmuje się sprawami miejscowymi, które zna najlepiej, gdyż w radach i zarządach samorządowych pracują mieszkańcy tych stron. Natomiast rząd jest niezbędny dla samorządu, gdyż zapewnia mu spokojną pracę przez utrzymanie obrony i spokoju państwa.

Rząd i samorząd muszą sobie wzajem pomagać w pracy. To też nic dziwnego, że u nas starosta jest nie tylko przedstawicielem rządu na powiat, ale jednocześnie jest przewodniczącym w wydziale powiatowym i w radzie powiatowej, które zajmują się sprawami samorządu powiatowego. Podobnie i wójt, choć jest jako głowa gminy przedstawicielem samorządu gminnego, w wielu sprawach musi spełniać polecenia starosty, gdyż musi spółdziać z rządem w jego pracy dla całego państwa.

Rozmowa się urwała. Bartek myślał jeszcze nad tymi nowymi dla niego rzeczami.

— Tak — powiedział sobie — służba wojskowa to taki szarwark dla Polski. W gminie szarwark wykonuje się nie zawsze w swej wiosce, lecz tam gdzie potrzeba budować lub naprawiać drogę, a więc i służbę wojskową trzeba pełnić dla państwa nie zawsze w swoich stronach, lecz tam, gdzie to dla dobra państwa jest potrzebne.

CO WÓJT, OJCIEC STARSZEGO SZEREGOWCA JASIŃSKIEGO, OPOWIADA O SAMORZĄDZIE SWOJEJ GMINY

Kochany Antku!

Otrzymaliśmy Twój list i bardzo się cieszymy, że jesteś zdrow i wesół. Pytasz, co słyhać w naszej gminie. Rad jestem, że tak Ciebie sprawy naszej gminy obchodzą i postaram się o wszystkim Ci po trochu napisać.

Właśnie niedawno opracowaliśmy sprawozdanie z pierwszego roku pracy nowej rady i nowego zarządu gminnego: od marca zeszłego roku do kwietnia obecnego roku. Bo tak jak gospodarz liczy rok od jednych zasiewów do drugich, tak i państwo i wszystkie związki samorządowe liczą, że ich rok gospodarczy zaczyna się z pierwszym dniem kwietnia, a kończy z ostatnim dniem marca.

Już na początku roku mieliśmy dokładnie obmyślane, ile i z jakich podatków dostaniemy pieniądze i jakie będziemy mieli wydatki. To też w ciągu roku bardzośmy pilnowali, czy dochody wpływają do kasy tak, jakśmy przewidzieli w tym obliczeniu, czyli budżecie, który rada gminna uchwaliła, a wyższa władza potwierdziła.

Okazało się, że podatki wpływają słabo i mamy trochę niższe dochody, niżśmy poprzednio obliczyli. Trzeba więc było gospodarować bardzo oszczędnie, bo łatwo jest poczynić wydatki na kredyt, ale w końcu roku może się pokazać, że nie ma czym tych wydatków opłacić. Tak było w sąsiedniej gminie: nie gospodaro-

wali ostrożnie, to i narobili tyle długów, że aby je teraz spłacić, muszą się powstrzymać nawet od najpotrzebniejszych wydatków.

U nas na szczęście jest lepiej. Długów nie mamy gospodarując oszczędnie, nie żałujemy na żaden poważny cel. Zadowoleni z tego jesteśmy i każdy wie, że to nasza wspólna zasługa: rada gminna ostrożnie i dokładnie obmyśliła plan pracy, zarząd gminy wyznaczył sposób wykonania planu, a już ja musiałem myśleć w każdym wypadku o tym, by wydać jak najmniej pieniędzy gminnych, a jak najwięcej dobrego zrobić.

Prawdę mówiąc to nieraz trudno by nam było dać sobie radę, gdyby nie opieka, jaką nam daje samorząd powiatowy przez swój zarząd czyli wydział powiatowy, w którym przewodniczy pan starosta. Nieraz wprowadzie radni są niezadowoleni, gdy wydział powiatowy nie zgodzi się na uchwałę rady, ale później prawie zawsze przyznają, że była w tym słuszość.

Ciekaw pewno jesteś, cośmy wybudowali w ciągu roku. Otóż przede wszystkim muszę ci napisać, że wzięliśmy się do wykończenia tych robót, których dużo poprzednia rada pozaczynała, nie myśląc o tym, że trzeba jedno skończyć zanim się drugie zacznie. I tak wykończyliśmy budowę pięciu szkół powszechnych, od razu mamy około 20 nowych sal szkolnych. To wielka rzecz, przecież niektóre dzieciśka w naszej gminie wogóle nie mogły się uczyć, bo nie było dla nich miejsca w szkole.

Dużo staraliśmy się też o drogi i nie tylko uprządkowaliśmy wiele dróg gruntowych, ale nawet w 2 wsiach wybrukowaliśmy te części głównych ulic, na których jest największy ruch.

Znacznie się poprawił też u nas stan ochotniczych straży ogniowych. Dość jest chętnych w każdej wsi, by należeć do straży ogniowej, ale przecież i najlepsza straż bez jakiejś takiej sikawki nie dużo zrobi. Kupiliśmy więc najpotrzebniejszy sprzęt dla trzech oddziałów. Przed miesiącem mieli oni swój zjazd i widziałem, że bardzo składnie idą ćwiczenia.

Staramy się, żeby nie było już w naszej gminie osób chodzących po prośbie i żebypomóc każdemu, kto wpadł w nędzę. Ma się rozumieć, że nie możemy dawać wszystkim potrzebującym pieniędzy z kasy gminnej bo zaraz nic by nie zostało na inne rzeczy. Ale mamy paru ludzi poważnych i zaufanych, których nazywamy opiekunami społecznymi i którzy starają się dla wszystkich biednych zorganizować pomoc sąsiedzką, a tylko w najtrudniejszych wypadkach proszą o udzielenie biednemu pomocy pieniężnej. Urządziliśmy nawet gminny dom dla starców. Mieszkają sobie opuszczone starowiny w odremontowanej chałupie, a gmina dba o to, by mieli strawę i co potrzeba do życia.

Nie mogę ci, Antku, wszystkiego, cośmy zrobili, wypisać, bo przecież nie tylko to jest ważne, co się wybudowało. W codziennych drobnych staraniach robi się dużo rzeczy, których z początku nawet nie widać, ale które przecież krok za krokiem nasze życie mogą przerobić na lepsze.

Dużo też robią u nas organizacje społeczne, które stale z naszej pomocy korzystają. Poza tym ruszyły już do pracy pojedyncze wsie naszej gminy, w których rady gromadzkie pod przewodnictwem sołtysa pilnują swoich wiejskich spraw. W Piekarach zaczęli budowę domu ludowego, w tym roku pewnie go wykończą.

Pomagaliśmy im i pieniędzmi i radą, bo przecież każdy rozumie, że dom ludowy we wsi teraz ogromnie potrzebny.

Może za jakieś pięć lub dziesięć lat już każda wieś będzie miała taki dom, gdzie kółko rolnicze i koło młodzieży wiejskiej, straż ogniowa, spółdzielnia będą mogły mieć swoje zebrania, gdzie można będzie z gazet wyczytać wiadomości ze świata, a w święta się schodzić, jedni żeby potańczyć, a inni żeby pogadać. A i teatr amatorski możnaby przecież w takim domu ludowym urządzić.

Nie tylko o sprawy gminne musi się wójt kłopotać. Mamy przecież wiele ustaw, które nakazują, żeby gmina spełniała poszczególne czynności dla rządu, a więc dla całego państwa. Tych czynności jest bardzo dużo. Na przykład trzeba cały pobór do wojska urządzić i wszystko dla komisji poborowej przygotować.

Pracy więc jest dużo i w naszym urzędzie gminnym nikt próżnować nie może. Aleśmy tak sobie pracę podzielili i tak każdy się musiał do niej przygotować, że wszystko idzie sprawnie. Tak przynajmniej powiedział na wczorajszym zebraniu rady gminnej pan starosta, który umyślnie przyjechał, żeby być podczas obrad rady gminnej nad sprawozdaniem zarządu. Obrady nie trwały długo, bo poprzednia gminna komisja rewizyjna długo wszystkie sprawy badała i wreszcie napisała w protokóle, że wszystko jest w porządku, a zarządowi należy się podziękowanie za sumienną pracę. Rad byłem, że taka wypadła ocena dla mnie i innych członków zarządu, bo choć nie pracuje się tylko dla pochwały, ale zawsze przyjemnie jest, jak inni uznają, że co można było, to się zrobiło.

Chciałbym, synu, żeby i dla Ciebie sprawy ogólnego dobra nigdy obce nie były. Gdy wrócisz z woj-ska, będziesz się pracy gminnej z bliska przyglądał, a później może weźmiesz w niej udział. Trudna to i odpowiedzialna praca, a przytym nieraz ma się przykrości, bo to ktoś nie rozumie dobrej woli, albo i umyślnie będzie rzucał kamienie pod nogi. Ale te przeszkody można pokonać, jeśli się wytrwale pracuje.

Muszę już kończyć list, bo zaraz się zaczniesz posiedzenie zarządu gminnego. Życzę Ci, żeby służba wojskowa szła jak najlepiej i żebyś zdrów do nas wracał. Matka i Piotruś tęsknią za Tobą. Pozdrawia Cię pan pisarz i stary Wojciech.

Całuję Cię mocno

Twój ojciec

POLICJANT OSTROWSKI NA SŁUŻBIE

— No i masz człowieku święta, masz wigilię!

— Już te różne draby chyba Boga w sercach nie mają, żeby nas jeszcze i w taki dzień mordować — odrzucił któryś z czekających na wymarsz posterunkowych.

— Chcecie — zawołał pan posterunkowy Gromnicki — aby mieli dla nas Boga w sercach, a jak wymordowali całą nieprzymierzając rodzinę w Błoniach, to mieli Boga? Co?

— Halo? tak jest, tu XXII komisariat policji państwowej, starszy przodownik dyżurny. Co? Szofera pobili? — Gdzie? — W taksówce? Dwóch przytrzymaliście? Dobrze. Zaraz tam pošlę kogo.

— Ostrowski, skoczcie no na Młynarską, jakieś tam łobuzy taksówkarzowi życzenia świąteczne złożyły, teraz leży i czeka na pogotowie. Nie ma śmierci na tych oprychów, żeby w sam wieczór wigilijny. Ale tak na jednej nodze Ostrowski, balonem!

— Panie przodowniku, melduję posłusznie, że mam iść za 10 minut ze zmianą na Parcelację Ulrycha.

— To zaraz, — który tam wolny — Karaś. Wy skoczcie.

— Rozkaz!

— Co znowu, zwrócił się pan starszy przodownik Huk do policjanta wchodzącego z małym, piegowatym chłopakiem — ten tu czego?

— Melduję, panie przodowniku, że przyłapali go w tramwaju na kradzieży kieszonkowej, to jakiś fuks widać, zębami całą drogę mi dzwonił, jakby na kościelnego praktykował.

— A tam żona z dziećmi czeka na wigilię, skarżył się w kącie koledze posterunkowy Ostrowski. Tylkom do domu wpadł, żeby trochę zupy przełknąć i swoim powiedzieć, by się nie martwili. Cały dzień dziś tak latam, od rana. Myślałem, że już na wieczór będzie spokój. Gdzie tam... Okopały się te draby na Parcelacji Ulrycha i musimy iść zluzować trzeci pluton, co się już z nimi od południa boryka. Jednego nam ustrzelili, dwóch ranionych. W samą wilię.

— Zbiórka! — zawołał wchodząc komisarz Uziembło. Kto na Parcelację — za mną!

Samochód czekał już na dole. Dwudziestu ludzi zajęło miejsca. Ostrowski koło kierowcy.

— Jazda panie mechaniku — zawołał — na wojnę, szopę na Parcelacji zdobywać!

Mijali szybko ucichające zwolna ulice. Ano czas był już wielki. Prawie koło 6-ej. Toć to pora przy stole opłatkiem się łamać...

Śnieg sypał, jakby się pierzyna św. Piotrowi rozpruła, a mróz ani myślał popuszczać.

— Wszystko to ten wiatr — zdecydował kierowca — to przez wiatr, że się taki ziąb przez grubą płaszcz człowiekowi do samych kości dobiera.

Na skrzyżowaniu ulic zasalutował im policjant biały, jakby go dzieciaki ze śniegu utoczyły, ledwie mu oczy trochę widać było z pod śnieżnego puchu. Powoli domy po obu stronach drogi poczęły rzednąć, mijano dalekie przedmieście, wreszcie samochód zgrzytnął hamulcami niemal w szczerym polu. Pustkowie, ledwie jakiś ślad zabudowań.

Nasz Ostrowski dostał posterunek na tyłach szopy, w której zamknęli się bandyci, tuż przy niewysokim parkanie. Od szopy nie było dalej jak jakich 50 kroków. Przykucnął za sporym krzaczkiem, karabinek na kolanach położył i patrzy. Strzelanina jakoś ucichła. Jak duch przesunął się kontrolujący przodownik.

— Pilnujcie tego — rzucił, idąc ku następnemu posterunkowi — coś mi ta cisza nie bardzo pachnie. Ciasno im pewnie w szopie i zechcą zaczerpnąć świeżego powietrza. Uwaga!

Ostrowski został znów sam.

Nużyły się już upartym patrzeniem oczy. Nie ruszało się nic. I ta męcząca cisza oczekiwania... Do koła bieluteńko, śnieg sypie i sypie. Tu i ówdzie połyskują światełka zagubionych w tym pustkowiu domków. Na niebie w stronie miasta jaśniejse luna — — —

Tam w tej chwili żona i dzieciaki przy biało nakrytym stole siadają do wigilijnej wieczerzy. Matka bierze do rąk talerz z opłatkiem. Mały Janek i Wandeczka podeszły... buzie mają uroczyście ściągnięte... tylko ojca brak... „musiał na służbę”...

Trach! — trach! — trach! —

Targnęły ciszą nagle strzały. Odezwała się szopa.

Nie — to nie z tej strony — to od frontu. Policyjne karabiny milczą, jakby na coś czekały...

Ostrowski wyteżył wzrok — chce dojrzeć jak najdalej po przez lecące białe śmy śniegu.

Jakby się tam coś za szopą ruszyło. Jakby ktoś deskę ze ściany wyjmował... Wyłazi... Wyraźny już teraz cień człowieka ruszył chyłkiem wzdłuż płotu kułac się pod niskim ukryciem.

Ostrowski zebrał się w sobie. Tak — sunie wyraźnie prosto na niego... jeszcze z dziesięć kroków za ledwie. Widać już dobrze barczysty zarys mężczyzny w kurtce i wysokich butach. Miękki śnieg tłumi kroki, nie słysząc nic, jak idzie.

— A gdyby tak przymknąć oczy... nie zauważyć... niechby se poszedł przed siebie... Bóg wie, co się stać może... przecie ten broni z garści nie wypuści... pierwszemu tobie strzelać nie wolno... a życie miłe...

Jak błyskawice lecą myśli przez głowę. Żona... dzieciaki... choinka...

— Nie — nie można! szepnęło coś w nim samym. Już i tak jeden z naszych nie wróci dziś do domu na wilię... jak go puszczyć, może i życie nawet ocaleć — moje życie — a później... ile innych żyć może znów kosztować druga oblawa...

Wszystko to przemknęło w jednym błysku myśli
Służba — Obowiązek!

Sumienie obowiązku! — — — Nie bracie.

Pod osłoną tego sumienia śpią ufnie spokojni obywatele, jak za murem bezpiecznym.

Postać skradającego się była już tylko o dwa kroki. Poznawał z opisu. Wielki o szerokich barach chłop, zwany „Cieślą” — wielokrotny bandyta, postrach tych stron.

Służba! — krzyknęło w duszy Ostrowskiego — i jak sprężyną rzucony skoczył z gwizdkiem w zębach.

Bandyta był siły niezwyklej. Zwarli się z sobą. Ostry gwizd aż w uszach zakręcił. Za chwilę będą już przy nim koledzy. Byle wytrzymać. Bandyta zaklął przez zęby — szarpnął się całą siłą... Ostrowski poczuł coś jakby ułkanie krótkie w lewym boku... i tak mu się jakoś ciepło koło serca zrobiło... To Wandeczka tak się tatusiowi uwiesiła na szyi a on ją ramieniem do serca przyciska... Mała rączka dziecka wpycha mu do ust opłatek: „Żebyś był zdrowy tatusiu i żebyś miał ze mnie pociechę...”

Otwiera szeroko oczy... silniej jeszcze Wandeczkę ramieniem lewym do piersi przycisnął... Co to?... jakaś obca twarz pochyła się nad nim... nie zna jej...

Jedną ręką podtrzymuje mu głowę, tak jakoś dziwnie ciężką, drugą podaje na łyżeczce coś, co tak ostro pachnie... nie... już poznaje... białą czepek siostry szpitalnej...

„Będzie pan zdrow, niebezpieczeństwo minęło — już po operacji... — uśmiecha się do niego twarzyczka siostry. — Żona pana czeka w kurytarzu, czekała cały

czas... i pan komisarz też... pan komisarz Uziembło... powiedział jej przy nas wszystkich: Może Pani być dumna ze swego męża — to najdzielniejszy pośród nas człowiek. Musi dostać porządny urlop wypoczynkowy, zasłużył na to.

O! wiemy już wszyscy, to pan złapał tego straszego „Cieślę”... że się też pan nie bał — mówiły z podziwem jasne oczy siostry...

Właśnie pan doktor wprowadził na salę panią Ostrowską...

PRAWA i OBOWIĄZKI OBYWATELA

To, że żyjemy w gromadzie, którą nazywamy narodem, daje nam wielkie korzyści, ale i obowiązki nakłada. Tak zresztą jest wszędzie, czy to w gminie czy w każdej rodzinie.

Niejednen sobek myśli, a często i głośno mówić się nie wstydzi: „A co tam mam pracować dla dobra ogółu, co mi ten wasz ogół daje?”

Człowiek taki nie widzi poprostu, nie rozumie, ile co dzień, na każdym kroku, bierze od tej społecznej gromady. Zresztą ludzie zazwyczaj lepiej pamiętają to, co dali, niż to, co sami stale biorą.

„Podatki płać, w wojsku służyć — a co za to?”

A nie masz za to, człowiecze, zapłaty ledwie się krokiem z domu ruszysz?... A droga, a chodnik równy i czysty, którym idziesz? A list, któryś na rogu ulicy do skrzynki pocztowej wrzucił i wiesz, że dojdzie. Przecież za te 25 groszy z jednego krańca Polski na drugi sam go nie zanieziesz. A kolej, a policja, co domu

twego broni, gdy śpisz spokojnie w nocy? A szkoły, bez których jak ślepy byłbyś na tym świecie bożym?

Powiedzmy sobie szczerze, uczciwie: nakłada państwo na obywatela obowiązki, ale i prawa mu za to daje. Wyliczmy trochę tych praw i tych obowiązków, a pewnie się okaże, że obowiązków nie tak jest wiele i nie są takie znów ciężkie.

Pierwszym obowiązkiem obywatela, to żołnierska służba w obronie wolności i życia narodu. Zaszczytny to obowiązek i tak człowiekowi przyrodzony, jak to, że każdy stanie bez wahania w obronie ojca, matki, czy innej drogiej mu osoby. Bronić ojczyzny to rycerska robota, a robota rycerska — to zaszczyt.

Drugi — to płacenie podatków przez wszystkich obywateli, bo bez tych pieniędzy państwo nie mogłoby utrzymać wojska dla obrony kraju, nie mogłoby dać obywatelom tych wszystkich udogodnień, które dla dobra ogółu wprowadza.

Ważnym też jest obowiązek powszechnej oświaty, gdyż przez uświadomienie obywateli podnosi się siła i dobrobyt kraju. Wiemy wszyscy, ile szkody wyrządza ciemnota poszczególnemu człowiekowi i gromadzie, w której on żyje.

Obowiązek posłuszeństwa władzom i ich rozporządzeniom nie jest ciężki dla tego, kto żyje zgodnie z prawem. A prawo to właśnie zabezpieczenie jego własnego dobra, mienia i życia, to po prostu opieka nad obywatelem przeciw złej woli innych.

Wielkim, choć nie pisanym nigdzie obowiązkiem, jest czuwanie nad wspólnym dobrem narodu, a więc nad kolejami, liniami telegraficznymi, szko-

łami, wodociągami, gmachami użyteczności publicznej, mostami i t. p. Bo nie myślmy, że obowiązek czuwania nad własnością publiczną ma tylko policja; nie — każdy obywatel powinien czuwać nad dobrem wspólnym narodu i bronić go jak swego.

A teraz przejdźmy z kolei do wyliczenia praw obywatela.

Najcenniejszym prawem obywatela i prawem człowieka jest wolność. Człowiek w Polsce ma zapewnione poszanowanie swej narodowości, języka, religii, swych przekonań; może je głosić w słowie i piśmie; musi jednak pamiętać, że nie wolno mu działać na szkodę państwa polskiego.

Ważnym bardzo jest prawo wyborcze czynne i bierne, bo ono pozwala każdemu obywatelowi brać czynny udział w rządzeniu krajem za pośrednictwem wybranych przez siebie posłów, albo i samemu, gdyż każdy uprawniony obywatel może być obrany posłem (to właśnie nazywa się prawem biernym).

Najpiękniejszą jednak kartą w prawach człowieka jest równość obywateli wobec prawa. Nie silniejszy, ani bogatszy, jak dawniej bywało, ma sprawiedliwość i prawo! W obliczu prawa wszyscy jesteśmy w Polsce równi.

Tu dodać jeszcze należy równe dla wszystkich prawo korzystania z urzędów i instytucji społecznych.

Następnie: każdy obywatel ma prawo do żądania od państwa opieki i obrony swego mienia i życia;

prawo zabezpieczenia rodziny obywatela w razie utraty życia na służbie kraju;

prawo dojścia do wszelkich godności, stanowisk i zaszczytów w państwie, równe dla wszystkich obywateli, bez różnicy przekonań i wyznań;

prawo korzystania i domagania się opieki na obczyźnie.

Czym więc są obowiązki obywatela? Są to usługi, jakie musi wypełniać każdy z nas na rzecz gromady, dla wspólnego dobra. Czym są prawa obywatela? Są to usługi, jakie obywatel otrzymuje od gromady. Nad równością, sprawiedliwością tych usług czuwa państwo.

W STOLICY

„Warszawa podpisała umowę z Berlinem”.

„Londyn i Paryż prowadzą rokowania”.

Czytając w gazetach te słowa, domyślamy się, że to nie miasta rozmawiają ze sobą i podpisują ważne umowy, lecz odpowiednie państwa. Zamiast bowiem słów: państwo polskie, rząd niemiecki, angielski, czy francuski, używamy nieraz takich skrótów wymieniając tylko stolice tych państw.

Dlaczego?

Otóż dlatego, że w stolicy każdego państwa skupiają się jego najwyższe władze. Tak jest i u nas.

Warszawa jest stolicą, bo tu przebywają stale władze, od których zarządzeń zależy los całego państwa.

Tu na zamku mieszka prezydent Rzeczypospolitej — głowa państwa, gospodarz, który ma powierzony sobie obowiązek czuwania nad całością spraw i losu naszego państwa. A że gospodarstwo państwowe jest bardzo



Fot. H. Poddębski

Zamek w Warszawie — siedziba prezydenta Rzeczypospolitej.

rozległe, ilość spraw — niezliczona, więc prezydent Rzeczypospolitej musi mieć licznych pomocników.

Dla zarządu więc państwa powołuje prezydent Rzeczypospolitej rząd, a właściwie mianuje jego kierownika — prezesa rady ministrów, a po porozumieniu się z nim — poszczególnych ministrów.

Nowa konstytucja nasza powiada: „Rząd składa się z prezesa rady ministrów i ministrów”. Każdy minister zarządza jednym działem spraw państwowych. Tak na przykład minister spraw wojskowych czuwa nad gotowością państwa do obrony swych granic, minister rolnictwa opiekuje się gospodarką rolną. Minister skarbu dba o dochody państwa.

Oczywiście każdy minister kieruje tylko całością swego działu. Do zarządzania państwem i każdej dziedziny jej gospodarki służy cała wielka organizacja, zwana administracją. W administracji państwowej wszyscy urzędnicy od najniższych do najwyższych mają określony rodzaj czynności, tak aby cała ta „maszyna” państwowa mogła sprawnie działać.

Zarządzać sprawami państwa nie można dowolnie. Każde rozporządzenie władzy wykonawczej (rządu i administracji) musi być zgodne z prawem, z ustawami. Taką ogólną, podstawową ustawą, na której opiera się cały ustrój Polski, jest konstytucja. Jej uzupełnieniem są liczne ustawy czyli przepisy prawne, jak należy postępować. To też każde rozporządzenie musi opierać się na odpowiedniej ustawie i wyraźnie na nią się powoływać.

Te prawa, te ustawy opracowuje i uchwała władza prawodawcza: sejm i senat składające się z 208 posłów i 96 senatorów.

Nie wystarczy jednak zarządzać państwem, uchylać prawa, trzeba mieć jeszcze zapewnioną obronę tego państwa przed napaścią wrogich sąsiadów.

Zadanie to spełniają siły zbrojne.

Konstytucja mówi: „Siły zbrojne stoją na straży bezpieczeństwa i praw zwierzchniczych Rzeczypospolitej”.

Zwierzchnikiem sił zbrojnych, jak i wszystkich władz w Polsce jest prezydent Rzeczypospolitej, na czele zaś wojska stoi generalny inspektor sił zbrojnych, który w razie wojny zostaje mianowany naczelnym wodzem.

Wymiar sprawiedliwości zajmują się sądy. „Przez wymiar sprawiedliwości sądy strzegą ładu prawnego w państwie i kształtują poczucie prawne społeczeństwa” — powiada konstytucja.

Sędziów mianuje prezydent Rzeczypospolitej.

Sędziowie sprawują swój urząd niezależnie od innych władz.

Zarząd tak wielkim gospodarstwem, jakim jest państwo, wymaga też odpowiednio wielkiej gospodarki pieniężnej. Co rok w przepisany czas musi nastąpić zamknięcie tych rachunków, czyli obliczenie wszystkich dochodów i wydatków.

Ale to nie wystarcza: należy jeszcze te rachunki skontrolować, zbadać, czy wszystko jest w porządku. Taka kontrola — to praca ogromna i odpowiedzialna. Do wykonywania jej jest osobny urząd — Najwyższa Izba Kontroli. Jest ona niezależna od rządu. Prezesa Najwyższej Izby Kontroli mianuje i odwołuje prezydent Rzeczypospolitej.

Aby sobie to wszystko, co tu powiedziane, można było jasno w głowie ułożyć, powtórzymy według konstytucji:

„Na czele państwa stoi prezydent Rzeczypospolitej”.

„W jego osobie skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa”.

„Organami państwa, pozostającymi pod zwierzchnictwem prezydenta Rzeczypospolitej są:

 rząd,
 sejm,
 senat,
 siły zbrojne,
 sądy,
 kontrola państwowa.

Ich zadaniem naczelnym jest służenie Rzeczypospolitej”.

RZECZPOSPOLITA

Stopami wsparta w Tatr granit,
w przestrzeni Bałtyku odkryta,
wyciągasz ramiona swe mocne,
Rzeczpospolito!

Roztaczasz skrzydła swe żywe
na Beskid i śląskie kominy,
na wszystkie swe dzieci i syny,
własną wolnością szczęśliwe.

I niebem i ziemią płyniesz,
pulsujesz coraz to głośniej.
Prężysz się w mocy i czynie
i w oczach naszych — rośniesz!

I wołasz pól życiem i lasów,
hartem kilofa i kosi,
łomotem walczących motorów,
i transmisyjnych pasów,
dźwigów portowych i szybów.

Wołasz tysiącem głosów
na trudy i na wytrwanie,
na wyścig pracy ofiarnej.
A głos twój, gdy w sercach zostanie,
w siły się zmieni mocarne!

Ty — dźwignięta ofiarą —
spełnieniem jesteś i celem
i wspólnym prawem i wiarą,
rzeczywistością wspaniałą,
własnym rozkazem zdobytą,
z krwi bohaterów wyrosłą
potęgą wielką i wzniosłą,
R z e c z p o s p o l i t o !

Janina Zawierzevska

IGNACY MOŚCICKI

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Obecny prezydent Rzeczypospolitej Polskiej prof. Ignacy Mościcki jest trzecim z kolei prezydentem odrodzonej Polski.

Wybrany został na ten najwyższy urząd przez Zgromadzenie Narodowe raz dn. 4 czerwca 1926 roku, a potem ponownie dn. 8 maja 1933 r.

Prof. Ignacy Mościcki jest wielkim uczonym — chemikiem. Jego słynne wynalazki z dziedziny chemii przyczyniły się do rozwoju przemysłu chemicznego nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.

Jako uczony i jako patriota prof. Ignacy Mościcki całe życie służy Polsce.

Urodził się przyszły Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej dn. 1 grudnia 1867 roku w ziemi płockiej, we wsi Mierzanowie. Wychowywał się młody Ignacy w duchu gorącego przywiązania i poświęcenia dla ojczyzny.

Dziad jego walczył w powstaniu listopadowym (1830/31 r.), ojciec w powstaniu styczniowym 1863/64 roku, a stryj zginął wówczas na polu chwały od kuli rosyjskiej.

Wychowany w tych tradycjach Ignacy Mościcki już w szkole średniej, a potem podczas wyższych studiów brał udział w spiskach młodzieży przeciwko zaborcy. W 1892 r. rząd rosyjski zmusił Mościckiego do wyjazdu za granicę.

W Anglii w Londynie, gdzie pracuje naukowo, spotyka się z Józefem Piłsudskim. Następnie przenosi się do Szwajcarii, gdzie pracując niezmordowanie poczynił bardzo doniosłe wynalazki w zakresie chemii.

W roku 1912, gdy politechnika we Lwowie zaprosiła naszego uczonego na profesora, wraca Mościcki do kraju, aby odtąd służyć mu już nieprzerwanie.

W 1922 roku obejmuje kierownictwo zakładów w Chorzowie i nie tylko uruchamia potęgą swej wiedzy i energii wielką fabrykę związków azotowych, lecz zwiększa jej wydajność i ilość rodzajów fabrykatów (wytrobów).

Od chwili powołania wielkiego uczonego na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej czuwa On nad całością i rozwojem państwa polskiego.

Jakiż jest zakres działalności i obowiązków Głowy Państwa na tym najwyższym i tak odpowiedzialnym stanowisku?

Ustawa konstytucyjna państwa polskiego uchwalona przez Sejm w dniu 23 kwietnia 1936 roku głosi:

„Na czele państwa stoi prezydent Rzeczypospolitej”.

„Na nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy państwa”.

„Jego obowiązkiem naczelnym jest troska o dobro państwa, gotowość obronna i stanowisko wśród narodów świata”.

„W jego osobie skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa”.

Pana Prezydenta nazywają też głową państwa, to jest najpierwszym tego państwa obywatelem. W dawnych czasach, przed stu pięćdziesięciu laty, kiedy Polska była krajem niepodległym, jak dziś, głową państwa był król.

Kiedy 142 lata temu Polska upadała, naród zerwał się do boju pod wodzą Kościuszki, który został

najwyższym zwierzchnikiem państwa i przyjął tytuł naczelnika.

Ten sam wielki tytuł w pierwszych latach powstania naszego państwa, przybrał marszałek Piłsudski. Wreszcie od roku 1923 głowę państwa nazywamy prezydentem Rzeczypospolitej.

Wielki to urząd! Wielka godność! Widać to choćby z tego, że prezydent jest odpowiedzialny wobec Boga za losy całego państwa.

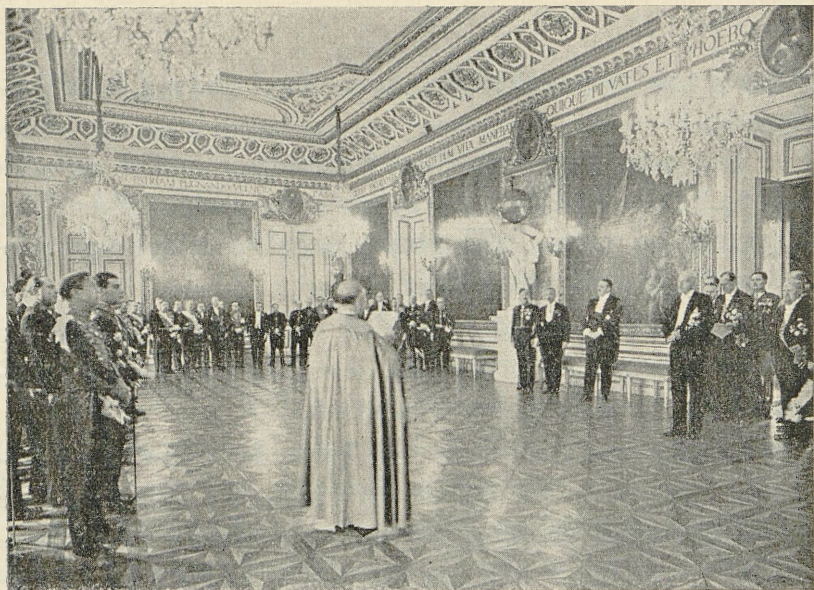
Konstytucja też mówi, że prezydent jest odpowiedzialny wobec historii. Co to znaczy? Wiadomo, że każdy człowiek chciałby po sobie zostawić jak najlepsze imię. Żeby o nim jak najwięcej ludzi i jak najlepiej mówiło: „To był dobry człowiek”, „To był mądry i szlachetny obywatel”. To też żaden człowiek nie chciałby, żeby po nim pozostała „zła pamięć”.

Otóż im większy urząd ktoś pełni, im większą godność piastuje, tym więcej ludzi wie o nim. Piszą o nim gazety, książki.

Taki człowiek zatem musi tym więcej starać się, aby dobrze i mądrze pełnić swoje obowiązki i aby dobre po sobie imię zostawić. A cóż dopiero prezydent! Wszystko, czego dokonał, spiszą w książkach dla potomnych, czyli w historii. I długo o nim pamięć żyć będzie. Dlatego ta odpowiedzialność prezydenta przed historią jest wielka.

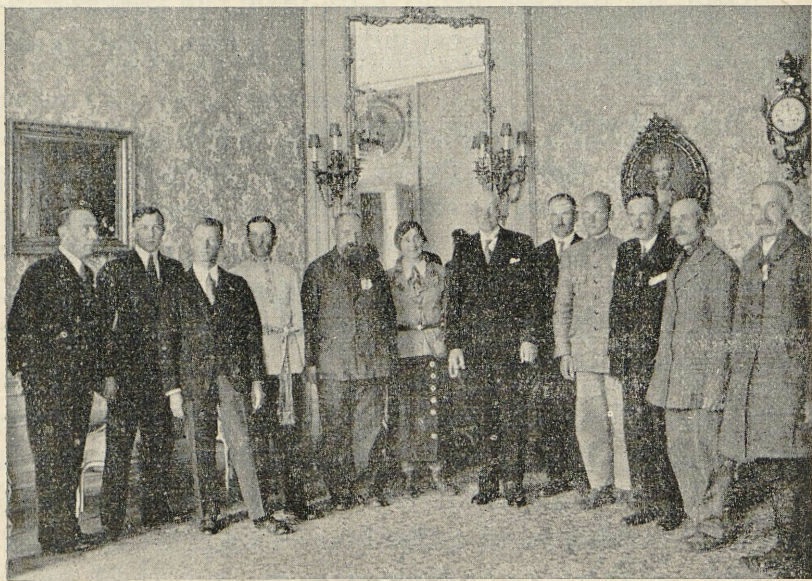
Prezydent Rzeczypospolitej ma się troszczyć o „wielkość i dobro państwa oraz o jego gotowość obronną”.

To też, aby podołać tylu obowiązkom, prezydent musi mieć wielką władzę, bo inaczej jakże będzie mógł rządzić? Dlatego prezydentowi podlegają: rząd, sejm,



Fot. W. Pikiel

Przedstawiciele obcych państw u Pana Prezydenta na Zamku.



Fot. W. Pikiel

Delegacja z Wileńszczyzny u Pana Prezydenta na Zamku.

senat, siły zbrojne, to jest wojsko, sądy i kontrola państwa. On mianuje naczelnego wodza, ministrów i najwyższych urzędników i sędziów, zwołuje i rozwiązuje sejm i senat. Jego osoba przedstawia nasze państwo wobec innych państw i jemu należą się największe honory. Za jego ukazaniem się chylą się w oddaniu czei wszystkie głowy, orkiestry grają hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła”, pochylają się wszystkie sztandary i chorągwie wojskowe. W ten sposób wszyscy obywatele oddają w jego osobie hołd i cześć swemu państwu.

Piękna jest przysięga, którą składa prezydent przed objęciem swego urzędu.

„Świadom odpowiedzialności wobec Boga i historii za losy państwa, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, na urzędzie prezydenta Rzeczypospolitej praw zwierzchniczych bronić, jego godności strzec, ustawę konstytucyjną stosować, względem wszystkich obywateli równą kierować się sprawiedliwością, zło i niebezpieczeństwo od państwa odwracać, a troskę o jego dobro za naczelny poczytać sobie obowiązek. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męka. Amen”.

SEJM i SENAT

Strzelec Antoni Brzózka miał się z czego cieszyć. Bo oto na urlop, który dostał za dobre wyniki w strzelaniu, zaprosił go stryj do Warszawy. Niejeden z kolegów zazdrościł mu, że zobaczy wielką stolicę Polski.

To też chłopak, jadąc z Pińska do Warszawy, nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy. Dopieroż go

ciekawość zdjęła, gdy dojeżdżając do celu, ujrzał z daleka ogromną ilość światel, które jakby łuną były od miasta.

Nazajutrz i dni następnych, wczesnym rankiem wyruszał ze stryjem na oglądanie Warszawy. To co zobaczył w zamku królewskim, w Belwederze, w muzeach, w ogrodach i na ulicach Warszawy przeszło jego oczekiwanie. Jeszcze mu tylko jeden dzień urlopu pozostał. Jak go wykorzystać?

Uradzili ze stryjem, że pójdą do sejmu, gdzie dnia tego miały się odbyć ważne obrady.

A to przecież ciekawa rzecz ujrzeć dwustu z górą posłów, których cały naród wybierał, aby w jego imieniu radzili nad sprawami państwa.

W przedsionku sejmu, ogromnego gmachu, który stoi przy ulicy Wiejskiej, zobaczył Brzózka ładnie umundurowanego jakby żołnierza, który sprawdził ich bilety.

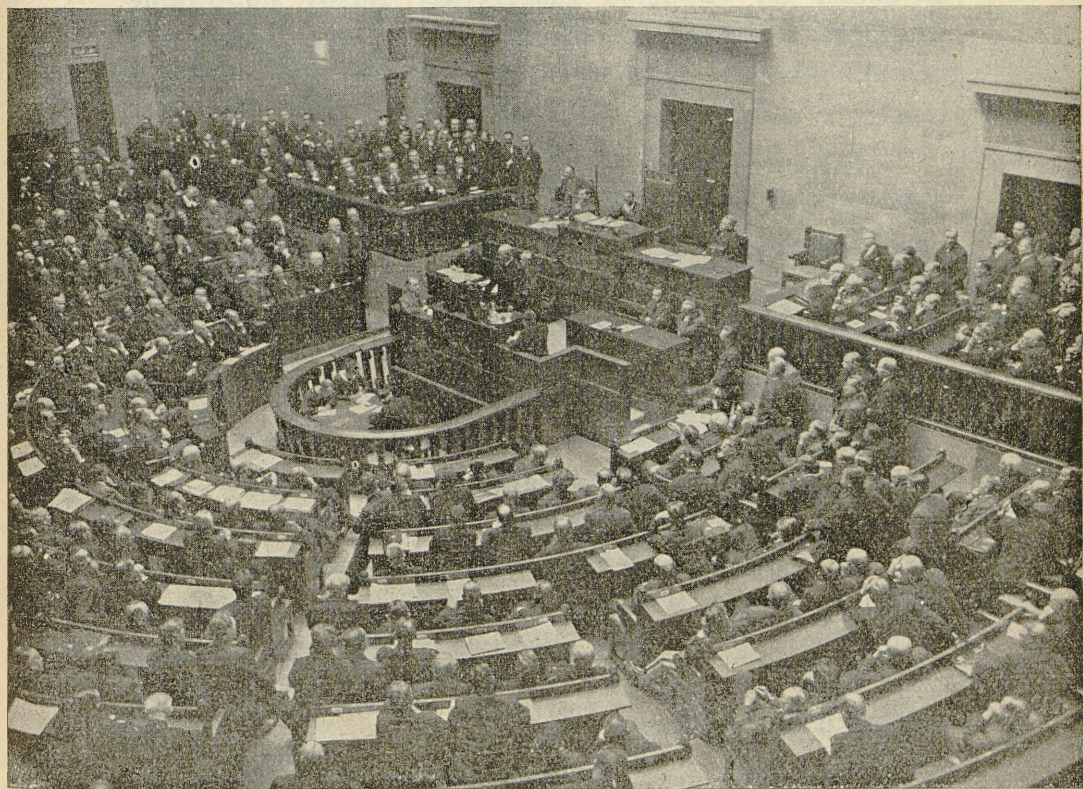
— To straż sejmowa — objaśniał stryj. — Pilnuje porządku i godności sejmu, żeby tu ktoś jakich hałasów nie wyprawiał i nie zakłócał pracy posłów.

Szli teraz przez długie widne korytarze, aby wejść na galerię (górne piętro) sali sejmowej.

Brzózka rozglądał się ciekawie. Jakaś godność i powaga była z tej wielkiej, półokrągłej sali. Posłowie siedzieli w ławach i uważnie słuchali jednego z pośród swego grona, który przemawiał z osobnej mównicy znajdującej się po środku koliska ław. Tuż za mówcą, przy ścianie znajdował się na podwyższeniu

piękny fotel, na którym zasiadał — jak stryj szeptem objaśnił Antka, marszałek sejmu, to jest obrany przez wszystkich posłów przewodniczący izby sejmowej.

Wysoko nad fotelem wisiał krzyż, a pod nim Brzózka wyczytał, sylabizując, bo nie po polsku było napisane, następujące słowa „Salus reipublicae suprema lex esto”.



Obrady w sejmie.

Fot. W. Pikiel

Dobrze, że właśnie rozpoczęła się przerwa w obradach, bo Antek mógł poprosić stryja, żeby mu objaśnił, co te słowa oznaczają.

— To jest po łacinie — mówił stryj — znaczy: „Najwyższym prawem — dobro Rzeczypospolitej”. Słowa te przypominają posłom, że we wszystkim, co mówią i czynią, powinni się kierować tym wielkim hasłem. Nie mogą myśleć ani o swoich prywatnych sprawach, ani też o sprawach poszczególnych obywateli, tylko o dobru ogólnym. To też każdy poseł składa przed objęciem tej godnej i zaszczytnej służby ślubowanie, czyli przysięgę, że to najważniejsze prawo będzie szanował. Mam ze sobą tekst konstytucji, to ci przeczytam rotę ślubowania:

„Świadom obowiązku wierności wobec państwa polskiego ślubuję uroczyście i zaręczam honorem, jako poseł na sejm Rzeczypospolitej, w pracy na rzecz dobra państwa nie ustawać, a troskę o jego godność, zwartość i moc za pierwsze mieć sobie przykazanie”.

Antek jeszcze poprosił stryja, żeby mu opowiedział, co ci posłowie robią.

— Wiele ważnych spraw mają na głowie — mówił stryj. — Przedewszystkiem uchwalanie praw, to jest takich postanowień, których muszą słuchać i które muszą wypełniać wszyscy obywatele kraju. Wiadomo, że nie można dopuścić, aby każdy obywatel robił, co chce i jak chce, bo nie byłoby wówczas w kraju ani porządku ani spokoju.

Druga sprawa — to kontrola rządu. W rządzie zasiadają ministrowie, których wybiera pan prezydent,

więc ludzie sumienni, mądrzy i sprawiedliwi, ale i oni są ludźmi i mogą się mylić. A przytym to niełatwa sprawa myśleć o tylu milionach ludzi i tak urządzić, żeby wszystko dobrze szło w państwie.

— Sejm więc pilnuje, aby ministrowie dobrze zarządzili i pomaga im w tej ciężkiej pracy. Wreszcie do sejmu należy ustalenie budżetu.

— A co to jest budżet? — zapytał Antek.

— Zaraz ci to objaśnię. Każdy człowiek musi sobie obmyśleć, jak ma gospodarować swymi pieniędzmi. Musi obliczać swoje przychody i rozchody. Wie na przykład, że z pola będzie miał pewną sumę pieniędzy, dajmy na to 1000 zł. Ale na te 1000 zł czeka wiele potrzeb: podatki, wyżywienie całej rodziny, ubranie, różne wydatki gospodarcze, jak kupienie narzędzi, konia czy krowy i t. p. Otóż ułożenie sobie takiego rachunku przychodu i rozchodu, nazywa się budżetem. Tak samo jest i w państwie.

Tylko że państwo ma dziesiątki i setki milionów złotych i nie tak łatwo gospodarować, żeby utrzymać wojsko, szkoły, sądy, pobudować drogi, koleje i t. d. Długo trzeba i mądrze radzić. Otóż to właśnie należy do sejmu.

— A co robi senat?

— Senat, mój chłopcze, jeszcze raz radzi nad tym, co postanowił sejm. Żeby jeszcze raz gruntownie prze-myśleć i zbadać, czy aby wszystko dobrze i sprawiedliwie będzie.

— Jak to wszystko mądrze jest urządzone — dziwił się Antek.

— Ano tak! Bo też rządzenie państwem to wielka i odpowiedzialna sprawa.

W tej chwili zaczęli się posłowie schodzić i rozpoczęły się obrady.

— Będę miał o czym opowiadać kolegom, kiedy wrócę do swego pułku — myślał Antek, słuchając uważnie, nad czym posłowie radzą.

O SĄDACH

— Proszę wstać, sąd idzie!

Tak zapowiada woźny wejście sędziego lub sędziów na salę sądową. I wszyscy obecni na sali wstają, oddając w ten sposób cześć urzędowi sędziowskiemu.

Urząd to bowiem wysoki i odpowiedzialny. „Sądy wymierzają sprawiedliwość w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej” — głosi konstytucja. Sędziów mianuje sam prezydent Rzeczypospolitej.

Aby sędziowie mogli wydawać wyroki zgodne z głosem prawa i własnym sumieniem, zapewniono im niezależność w sprawowaniu swego urzędu. Nikt, nawet minister sprawiedliwości, nie może wpływać na zmianę decyzji sędziego. Mówi o tym konstytucja: „Orzeczenia sędziów nie mogą być zmieniane ani uchylane przez inne organa władzy”.

Poza tym, aby nikt nie mógł siłą zmusić, zastraszyć sędziego, konstytucja zapewnia mu nieusuwalność i nietykalność osobistą. Sędziego więc nie wolno zawiesić w urzędowaniu, przenieść do innej miejscowości lub w stan spoczynku bez orzeczenia specjalnego sądu.

Ta niezależność sędziowska zapewnia każdemu obywatelowi możliwie bezstronne rozpatrzenie jego sprawy, pozwala na należyłą ocenę przestępstwa złooczyńcy, na uwzględnienie jego warunków życiowych, t. zw. okoliczności łagodzących i t. p.

Każdy ma prawo domagać się sprawiedliwości, bronić się przed krzywdą, to też konstytucja nasza powiada: „Nikt nie może być pozbawiony sądu, któremu z prawa podlega”. Jest to wielka zdobycz nowszych czasów. Żyją jeszcze liczni ludzie, którzy pamiętają dawne prawa carskie, gdy sprawiedliwość nie była dla wszystkich jednakowa: na przykład wówczas syn szlachecki nie podlegał karze chłosty tak jak syn mieszczanina czy chłop. Dzisiaj, jak wiemy, w państwie polskim, wszyscy podlegamy równym prawom, niezależnie od urodzenia, majątku i wykształcenia.

Sędzia pomimo swego wykształcenia i sumienności jest tylko człowiekiem, więc może się mylić. Aby jednak sprawiedliwość nie ponosiła na tym uszczerbku, należało to przewidzieć i temu zapobiec. Dlatego to mamy sądy trzech instancyj (trzech stopni).

Dla spraw mniejszej wagi instancją pierwszą są sądy powiatowe (lub grodzkie), drugą — sądy okręgowe, trzecią wreszcie instancją są sądy apelacyjne czyli odwoławcze. Wyrok tego ostatniego sądu dla powyższych spraw jest już ostateczny.

Sprawy większej wagi: spory majątkowe, które dotyczą sumy większej niż tysiąc złotych, cięższe przestępstwa (np. zabójstwo) rozpatruje najpierw sąd okręgowy. Kto jest niezadowolony z wyroku sądu okręgowego, odwołuje się do sądu apelacyjnego, a gdy i ten

go nie zadowoli, zwraca się do sądu najwyższego, czyli kasacyjnego. Sąd kasacyjny nazywa się tak dlatego, że sam nie wyrokuje, tylko, jeśli stwierdzi jakieś niedokładności czy nieformalności w przewodzie sądowym, kasuje czyli unieważnia poprzedni wyrok i przekazuje sprawę do ponownego rozpatrzenia.

Mamy w Polsce 548 sądów grodzkich, 48 okręgowych, 8 apelacyjnych i 1 Sąd Najwyższy (w Warszawie).

Wszystkie powyższe sądy są dla osób cywilnych. Wojskowi w służbie czynnej podlegają własnemu sądownictwu wojskowemu i odrębnym ustawom.

Mamy trzy rodzaje sądów wojskowych. Są to, poczynając od najwyższej instancji:

Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie, wojskowe sądy okręgowe przy każdym Dowództwie Okręgu Korpusu oraz wojskowe sądy rejonowe, po trzy w każdym O.K.

OŚWIATA I KULTURA

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1215 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
TEL. 733-4331
CITY OF CHICAGO
PUBLIC LIBRARY
100 NORTH LAKE STREET
CHICAGO, ILL. 60602
TEL. 312-762-2200

Tak, jak konieczną jest narodowi szkoła, tak samo koniecznym jest przejście młodzieży przez wojsko. Dopiero szkoła i wojsko czynią człowieka dojrzałym, dają mu możność wykonania wszystkich obowiązków obywatelskich.

Józef Piłsudski

O POLSKĄ SZKOŁĘ POWSZECHNĄ

Nie ma już chyba dziś człowieka w Polsce, który by nie rozumiał, jak potrzebna jest oświata; że nauka dla umysłu jest tym, czym chleb dla ciała, czym lampa w mroku. Każdy powinien przynajmniej umieć czytać i pisać, bo inaczej bardzo mu ciężko będzie w życiu.

Ale przecież nie zawsze tak było. Jakie siedemset lat temu sztukę pisania i czytania posiadali tylko duchowni: zakonnicy, biskupi. Król czy książę zaledwie się umiał podpisać.

Stopniowo światło wiedzy zaczęło przenikać do wyższych dostojników; przy klasztorach tworzono szkoły dla dzieci szlachty, a w miastach przy parafiach dla synów zamożnych mieszczan. O chłopów długo nikt się nie troszczył. Uważano, że wystarczy, gdy pracują na roli i żywią cały naród swym zbożem.

Nadszedł jednak czas, gdy szlachta zaczęła rozumieć, że chłop ciemny mało przynosi pożytku, że pokrzywdzenie tego żywiciela całego społeczeństwa może się zemścić na nich samych. Zaczęto radzić nad tym,

jak polepszyć dolę chłopską. W drugiej połowie 18-go wieku Komisja Edukacyjna (nasze pierwsze ministerstwo oświaty), dbając o oświatę powszechną w Polsce, nakazała zakładać wszędzie szkoły parafialne dla dzieci wiejskich.

Potem nadeszły złe czasy. Ziemię polskie rozgrabili sąsiedzi, zaprowadzili swoje rządy i swoje porządki na długie, długie lata. Sąsiad ze wschodu — Rosja — sam u siebie nie dbał o oświatę powszechną, tym bardziej więc nie troszczył się o Polaków. Nic więc dziwnego, że po odzyskaniu niepodległości odziedziczyliśmy na ziemiach byłego zaboru rosyjskiego największy procent analfabetów.

Jednakże nawet nieliczne szkoły polskie były solą w oku carów rosyjskich, gdyż uczyły mowy ojczystej, krzepiły ducha narodowego. To też po ostatnim powstaniu styczniowym postanowił car przerobić Polaków na Rosjan. Zniesiono w szkołach język polski, zabroniono uczyć się dziejów Polski, a zamiast tego wprowadzono język rosyjski i historię Rosji. W murach szkolnych zabroniono dzieciom rozmawiać ze sobą po polsku. Ten srogi ucisk zrodził bunt w sercach dzieci i młodzieży. Nie bacząc na kary uczono się potajemnie po polsku. Wielu też uczniów i nauczycieli zapłaciło za to więzieniem i zesłaniem w głąb Rosji. W roku 1905 wybuchł strajk szkolny, dzieci bowiem nie chciały uczęszczać do obcej rosyjskiej szkoły.

W zaborze pruskim oświata stała znacznie wyżej, ale służyła Niemcom do jeszcze większego gnębienia wszystkiego, co polskie. Katowano tam w szkołach dzieci polskie, gdy nie chciały, czy nie umiały mówić

po niemiecku, nawet pacierza nie wolno im było odmawiać w swej ojczystej mowie.

Pod panowaniem słabej Austrii ucisk nie był tak silny, ale i tam do roku 1866 starano się wynaradawiać Polaków.

Zaborcy przez swoją szkołę chcieli w dzieciach zawczasu wytępić wszystko, co polskie.

Nie udało im się to jednak.

Na przekór wszystkim Polska powstała, wygnała najeźdźców z ziem swoich i zabrała się do odbudowy. Cenny skarb wywalczonej niepodległości należało zabezpieczyć — marszałek Józef Piłsudski tworzy silne wojsko. Drugą z kolei troską państwa i społeczeństwa stała się rozbudowa szkolnictwa powszechnego. Z jaką radością witano po tylu latach niewoli naszą polską szkołę, gdzie wesoło zadźwięczała niekrępowana mowa ojczysta, gdzie jawnie i z zamiłowaniem uczono się dziejów Polski, które dawniej czytano w ukryciu i pod groźbą więzienia!

Tworząc pierwszą konstytucję uchwalono, że nauczanie początkowe w szkole siedmioletniej musi być powszechne, obowiązkowe dla wszystkich i bezpłatne, czyli utrzymywane przez państwo. Wprowadzono u nas obowiązek szkolny, podobnie jak służbę wojskową. Rodzice byli odpowiedzialni za kształcenie dzieci, kary groziły za pozostawianie dziecka w ciemnocie.

W budżecie państwa wydatki na oświatę zajmowały i zajmują po wojsku drugie miejsce. Należało tak rozbudować szkolnictwo, aby ogarnęło wszystkie dzieci w wieku szkolnym. Ponieważ dzieci przybywa z każdym rokiem, należy ciągle budować nowe szkoły,

zwiększać ilość nauczycieli, a więc trzeba z każdym rokiem więcej pieniędzy na oświatę. Tak też początkowo istotnie było. Wydatki na oświatę w r. 1927/28 wynosiły ogółem 457 milionów złotych, w r. 1928/29 572 miliony, w r. 1929/30 — 626 milionów.

Równolegle z tym powszechność nauczania ogarniała coraz większą ilość dzieci, tak że na przykład w r. 1928/29 na każde 100 dzieci tylko 3 — 4 nie chodziło do szkoły.

Ten dobry stan szkolnictwa uległ nagle załamaniu, gdy Polskę nawiedził kryzys gospodarczy. Wydatki na oświatę maleją, a dzieci ciągle przybywa! Gdy w roku szkolnym 1925/26 było dzieci w wieku obowiązku szkolnego przeszło 3½ miliona, to w r. 1933/34 liczba ich doszła prawie do 5 milionów. W następnych latach 1930/31 — 1934/35 sumy pieniędzy na oświatę wynoszą 595, 477, 422, 415, 411 milionów złotych. Coraz więcej dzieci pozostaje po za szkołą.

Aby temu częściowo zaradzić, zwiększono do granic możliwości ilość dzieci w jednej klasie. Nauczyciele uginają się pod ciężarem zwiększonej pracy, w izbach szkolnych panuje przepełnienie i choć buduje się coraz to nowe szkoły, ilość ich ciągle nie jest wystarczająca.

Wszyscy zdają sobie z tego sprawę: i rząd i społeczeństwo, wszyscy wiedzą, że ten stan się poprawi, gdy będzie więcej pieniędzy na oświatę. Wszyscy musimy się troszczyć i dbać o szkolnictwo, bo dzieci — to przyszłość naszego narodu, bo nie możemy zostać w tyle za naszymi kulturalnymi sąsiadami, bo dobrze wiemy o ciemnocie poprzedzającej upadek Polski, bo

pamiętamy jeszcze ucisk naszych zaborców i bohater-
ską walkę młodzieży o szkołę polską, o mowę ojczystą.

Pamiętajmy, że ciemny obywatel nie stworzy dla
ojczyzny jasnej przyszłości, że tylko wyższy poziom
kulturalny całego społeczeństwa zapewni nam pomyśl-
ność i szacunek u świata, pozwoli uniknąć ciężkich
błędów przeszłości!

O CZYTANIU KSIĄŻEK

(List Józka do kolegi)

Modlin, 1.1 1936 r.

Kochany Władku!

Życzę Ci Władku w Nowym Roku dużo szczęścia
i zadowolenia z pracy oraz rozwoju kółka rolniczego,
któreś zorganizował.

Zapytujesz, jak spędziłem święta Bożego Narodze-
nia pierwszy raz z dala od domu, w wojsku. Było mi
smutno, tym więcej, że tu w Modlinie nie ma gdzie iść,
wszędzie koszary i wojsko. Jedyną radością tych, co
zostali, była świetlica i biblioteka. To też w czasie
tych świąt dużo czytałem, a tak ciekawe i ładne ksią-
żki, że zapomniałem o wszystkich zmartwieniach, o tym
nawet, że nie pojechałem do domu.

Pierwszy raz w życiu tak bardzo błogosławiłem
bibliotekę. Zrozumiałem teraz, że najlepszym i nieza-
wodnym przyjacielem jest książka. Tyle się mogłem
z niej dowiedzieć, ona mnie podnosiła na duchu, roz-
weselała i chociaż miałem radio, teatr i kino, to jednak
najchętniej zostawałem z książką.

Z prawdziwą ciekawością czytałem opowiadania Morcinka o Śląsku. Inaczej już teraz będę mówił z kolegami Ślązakami, bo poznałem ich ziemię i ich życie.

Pamiętasz, jakeśmy marzyli o tym, by podróżować daleko, zwiedzać obce kraje, poznawać innych ludzi? Wątpię, czy nam się to kiedy uda. W braku prawdziwej podróży jeździłem w myśli po świecie ze sławnymi podróżnikami. Z wielką ciekawością czytałem książki o tym, jak żyją ludzie w Ameryce, w Japonii, Murzyni w Afryce. Książka otworzyła mi okno na daleki świat!



FOT. J. MAŁARSKI

W świetlicy.

Największe wrażenie zrobiła na mnie książka Londona „Martin Eden” — po przeczytaniu postanowiłem sobie systematycznie się dokształcać, dużo czytać, abym mógł tak jak i Ty na coś w naszej wiosce się przydać. Zapaliłem się bardziej do tej myśli, czytając już drugi raz Żeromskiego „Ludzi Bezdomnych”. Tyle nowego w tej książce znalazłem!

Rozmawiałem o tym z kierowniczką naszej świetlicy. Radziła mi, abym sobie ułożył plan, według którego będę korzystał z biblioteki. W doborze książek obiecała mi pomóc. Postanowiłem zatem najpierw zapoznać się ze sprawami wsi — wstyd mi, że tak mało wiem o tym. Będę czytał książki Reymonta, Tetmajera, Dąbrowskiej, Wasilewskiej, Wiktora, Kruczkowskiego i wielu innych powieściopisarzy zajmujących się sprawami wsi.

Postanowiłem również czytać stale gazety i czasopisma, bo każda przerwa w czytaniu utrudnia mi zrozumienie i często zniechęca do czytania. Nawet do naszej gazetki świetlicowej mam zamiar pisać. Wiesz, ile mam zapału do pracy!

Tak ci się spowiadam z moich myśli, bo wiem, Władku, że mnie zrozumiesz. Sam to przechodziłeś, nie od razu wiedziałeś, czym masz być i co robić. Wiem, żeś dużo czytał i czytasz, szczególnie o rolnictwie, bo czyż umiałbyś tak dobrze prowadzić kółko rolnicze?

Takbym chciał, aby i u nas na wsi, była taka duża biblioteka jak tu, w pułku. Podobno w przyszłości mają być biblioteki w każdej gminie, tak jak szkoły. Pomyśl, jakby to było dobrze!

Do naszej biblioteki już zbieram książki. Mam i takie, które dostałem jako nagrody na konkursach czytelnictwa urządzanych w świetlicy. Jak wrócę z woj-ska, oddam je na przyszłą gwiazdkę do naszej biblio-teki. Powiedz o tem Zosi Wawrzyńcównie, bibliote-karce, na pewno się ucieszy.

Ściskam Cię serdecznie, wszystkim z Koła
zasyłam pozdrowienia

Twój Józek

W ŚWIETLICY

Duża sala świetlicy żołnierskiej pełna. Huczy jak w ulu. Żołnierze zebrali się dzisiaj liczniej niż zwykle, bo dziś będzie audycja żołnierska. Jeden przez dru-giego opowiadają różne urywki z dawniejszych audy-cyj — co raz wybuchają śmiechy.

W kącie sali, przy małym stoliku siedzi pochylo-ny nad kawałkiem papieru Franek Nowakowski. Pi-sze list do domu. Już drugi dzień pisze, bo tyle ma do opowiedzenia. Chciałby napisać wszystko i prędko, a tu coraz mu ktoś przeszkodzi. Ot, i teraz, dwu kolegów Franka stanęło nad stolikiem i żartują:

— Józek, patrz, Franek list pisze — pewno do na-rzeczonej.

— Widzisz, jaki mądry — powiada Józek — jak do domu, to mnie kazał pisać, a do dziewczyny to sam smaruje.

— Cicho tam, nie przeszkadzajcie — zacznie się audycja, a ja jeszcze nie skończę. Jak uprzykrzone muchy brzęczycie i brzęczycie nad głową.

— Ale, ale, nie wykręcaj się, powiedz lepiej, jak to z tym pisanem było?

— Wiecie jak było: nauczyłem się — z dumą i mocno powiedział Franek. — Nauczyłem się tu w wojsku.

I zaczął wspominać ze wzruszeniem, jak to przyszedł do wojska i zaledwie podpisać się umiał. Gdy dostał list z domu, to musiał prosić kolegów, żeby mu który przeczytał, bo i czytać nie umiał. A wstydu ile się najadł! Kiedyś w świetlicy zaczęła z nim rozmawiać pani kierowniczką, wypytała skąd jest, co robił przed wojskiem i chciała mu dać książkę do czytania. Ledwo wyjąkał, że na nic mu książka, bo czytać nie umie.

Aż tu któregoś dnia dowiaduje się, że wszyscy ci, którzy nie umieją czytać i pisać będą chodzili 3 razy w tygodniu na naukę do szkoły żołnierskiej.

I opowiadał Franek dalej, jak to pierwszy raz szedł na lekcję i jak to się bał, że pan nauczyciel od razu mu powie, żeby się nawet nie zabierał, bo i tak czytać się nie nauczy. Tymczasem na lekcji była pani nauczycielka i poczęła opowiadać a przekonywać, że każdy, nawet najstarszy, może nauczyć się czytać, że to nie jest żadna sztuka, że trzeba się tylko trochę przyłożyć. A za to ile korzyści z czytania: zaraz człowiek mądrzejszy się staje, może czytać gazety, książki. — Jak to nauczycielka mówiła, to powiadam wam, oczy chłopakom tak błyszczały, a każdy to tylko siły zbierał i ręce zacierał, żeby jak najprędzej zabrać się do pracy.

— O, — przerwał Józek — toś ty dlatego tak schudł i szcerniał. A ja myślałem, żeś się zakochał.

A Franek jakby nie słyszał dogadywań kolegów i opowiadał dalej, jak to dzień po dniu, tydzień po tygodniu pocił się nieraz, nim zrozumiał, nim się nauczył. A teraz mu się zdaje, że to czytanie takie łatwe, że to przecież samo się czyta.

Z pisaniem tylko gorzej. Tyle się chce od razu napisać. Zacznesz i nim napiszesz jedno, drugie ci ucieknie. Ale to nie dlatego, że nie umie, tylko ręce są takie jakieś ciężkie...

A potem jeszcze mówił, jak to pani na lekcjach opowiadała o tylu różnych sprawach, o których każdy Polak wiedzieć powinien.

Tu Józek mu przerwał:

— Cóż ty myślisz, że tylko ty wiesz teraz o wszystkim, bo chodziłeś do tej swojej szkoły żołnierskiej, a my już nic nie wiemy? A nasze pogadanki z dowódcą kompanii: o państwie polskim, o wojnach, o naszych sąsiadach, o żołnierzu-obywatelu. Jak pan kapitan zacznie mówić, to cisza taka, że aż oddychać głośniej strach.

— A wycieczki z szefem, pamiętasz, do Zamku, do elektrowni?

Tu chłopcy jeden przez drugiego coraz głośniej, z coraz większym zapałem zaczęli opowiadać, czego się nauczyli w wojsku.

— Cicho tam, ciszej! — krzyknął żołnierz siedzący koło radia — audycja żołnierska się zaczyna!

— I znowuż listu nie skończę — jęknął Franek.

ZAPROSZENIE DO DOMU ŻOŁNIERZA

Po żmudnej służbie, po znojących ćwiczeniach
Wchodźcie w tę bramę otwartą na ścieżaj
Po upragnioną godzinę wytchnienia
W Domu Żołnierza.

Jest tutaj dla was i teatr i kino,
Świeża gazeta i kiełbasa świeża,
Jest polska książka, jest i polskie wino
W Domu Żołnierza.

A w każde święto, panny wasze proście,
Jako że z mięsa jesteście, nie z pierza...
Tnijcie oberki, najmilejsi goście,
W Domu Żołnierza.

Adam Kowalski

DOM ŻOŁNIERZA

Niedziela. Już po obiedzie. Żołnierze zawzięcie czyszczą buty, śmieją się i pokpiwają nawzajem.

— Czego im tak wesoło? — myśli Grzela Ćwierciak, strzelec 5 kompanii. — Że ćwiczeń dziś niema? Wiadomo, święto. Ale znowu tak bez powodu się cieszyć? — Jemu, Grzeli, wcale nie wesoło. Myśli o wiosce swojej pod lasem, o zabawie w karczmie. Pewno tam teraz wiejscy rówieśnicy wesoło hołubce wybijają, a on tu siedzi markotny i zadumany. Nie wie, co z sobą zrobić. Miasta nie zna, znajomków ani rodziny też tutaj nie ma. Wie tylko, że w jednym z nim mieście służy Franek Kostrzewa w pułku artylerii ciężkiej, ale gdzie go odnaleźć?

To też jeszcze więcej czuje się osamotniony i drażnią go śmiechy i dowcipy kolegów.

— Tak się cieszą, jakby szli na odpust — burknął głośno.

— A jakbyś wiedział, jeszcze lepiej jak na odpust, bo na przedstawienie i na zabawę. Idziemy przecież do Domu Żołnierza.

— Do jakiego domu? Przecież koszary to wasz dom.

— E, pleciesz Grzela. Koszary — to na codzień, kiedy się bracie musisz uczyć i ćwiczyć, w marszu nogami przebierać, karabinem wywijać, dobrze strzelać i porządku uczyć. Ale na święto — to mamy inne zajęcie. Wiesz gdzie? W Domu Żołnierza.

— Nic nie rozumiem.

— Chodź z nami, to zrozumiesz. Tylko, bracie, buty wyczyść, pas ściśnij i nos do góry.

Trochę to Grzelę zaciekawiło, ale zrozumieć nijak nie mógł, co też to za dom dla żołnierzy może być po za koszarami. Poszedł jednak z innymi. Po drodze korciło go wywiedzieć się czegoś więcej.

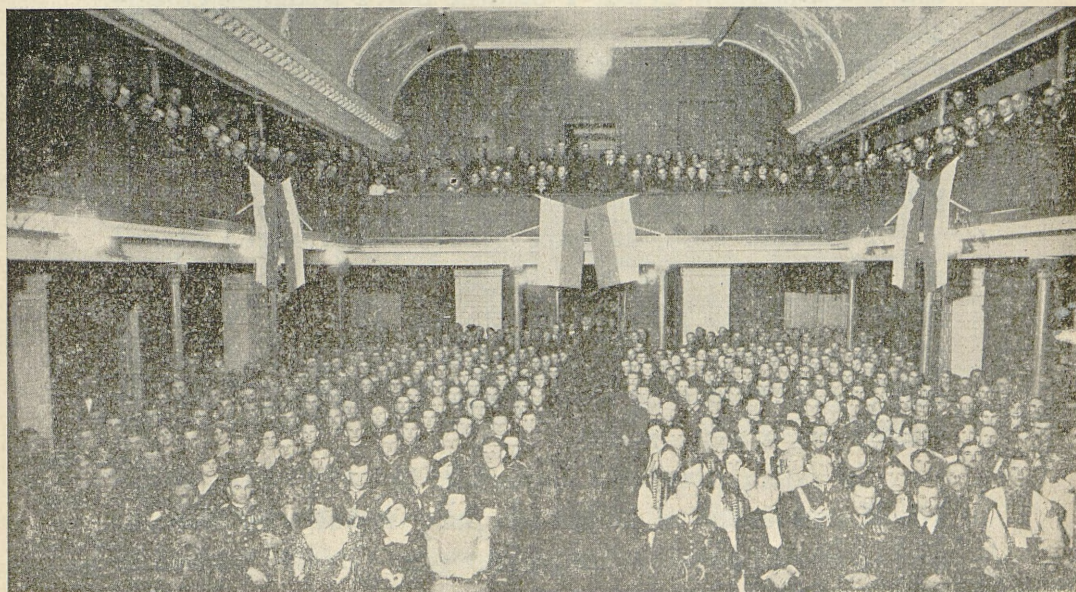
— Powiedz mi Marcin, co tam będzie? O jakim przedstawieniu wspominałeś?

— Zaraz, zaraz... Pójdiesz, to zobaczysz. Najpierw, bracie, do kasy. Dziesięć grosików za bilet i jazda na piętro. A po przedstawieniu na zabawę.

Gdy podeszli do wysokiego budynku, na którym widniał napis: „Dom Żołnierza”, Grzela zobaczył dużo żołnierzy gromadzących się przy kasie. Inni stali gromadkami przy wejściu i głośno rozprawiali o jakimś naczelniku. Nie mógł jednak dokładnie Grzela dosłyszeć. Podeszedł z Marcinem do kasy, dał dziesięć groszy, otrzymał bilet i wraz z innymi podeszedł do wejścia.

Za chwilę rozległ się dzwonek i wszyscy pojedyn-
czo weszli do wysokiej sali, pięknie przystrojonej.

Za chwilę znów dzwonek się odezwał. Na sali
zrobiło się ciszej, niektórzy spóźnieni tłoczyli się do
miejsc. Po chwili odezwał się trzeci raz dzwonek.
Wszyscy przycichli, a na lewo ujrzał Grzela, jak się
wielka ściana z materii rozsunała, a za nią moc ludu
w chłopskich sukmanach z kosami w dłoniach. Jeden
śród nich coś głośno począł rozprawiać. Grzela za-
marł w słuchu. Gdzieś już widział taki obrazek, ale
wspomnieć dobrze nie może. Słucha więc, słucha i zda-
je mu się, że nie jest żołnierzem w mieście, tylko gdzieś
daleko na wsi, wśród starszych z gromady. Wszyscy
czegoś oczekują i tylko kosy w łapskach ściskają, a skry
z oczu sypią. Gdzie on to już widział? Kiedy to on
już taki obrazek oglądał?



Na przedstawieniu w Domu Żołnierza.

Coś, coś mu w pamięci świta, ale mglisto jakoś i niewyraźnie. Wreszcie tak się wsłuchał, że zapomniał, gdzie jest. Zapatrzony w obraz wspomniawszy, że to przecież Kościuszko, naczelnik chłopów powstańców. Tak pięknie opowiadał im o tem pan porucznik na pogadance i obrazek z bitwy racławickiej pokazywał. Prawda, nawet wspominał, że jak pójdą do Domu Żołnierza, to zobaczą wszystko przedstawione jak żywe.

Burza oklasków i nagle ściana z materii zakryła obraz. Grzela ocknął się i nie mógł słowa przemówić, chciał, żeby obraz trwał dłużej.

Po chwili znów dzwonki i obraz podobny z naczelnikiem Kościuszką. Grzela wpatrzony nie wiedział nawet, kiedy znów ściana się zasunęła. I znów obraz, a potem oklaski i oklaski całej sali. Zrozumiał. Był na przedstawieniu, gdzie żywi ludzie tak prawdziwie mu przypomnieli żywot i ostatni bój z wrogiem chłopskiego naczelnika.

Powoli sala zaczęła się opróżniać, więc wyszedł z innymi. Na dworze słońce chyliło się ku zachodowi. Żołnierze gromadkami stali z dziewczętami i znów gromadzili się przy jakimś wejściu.

Podszedł i on, za parę groszy nabył bilet i wszedł do długiej sali. Już na wstępie wpadła mu w uszy skoczna muzyka polki, a za chwilę, sam nie wiedział, jak to się stało, że już się kręcił wraz z innymi trzymając przy boku zgrabną jakąś dziewczynę. Marcin gdzieś mu z oczu zginął.

Za polką przyszedł kujawiak, to znów walc, to jakiś oberek i tak w kółko co parę minut coś innego. Dobre dwie godziny upłynęło, gdy Grzela zmęczony



Na dziedzińcu Domu Żołnierza.

i radosny postanowił wyjść trochę na powietrze i kolegę odszukać.

Gdzie tam. Żołnierzy gromada, a każdy z innego pułku. Długo się kręcił Grzela, nim trafił na swoich i zapytał się o Marcina. Chciał go jeszcze wybadać, co to znaczy, że jedni żołnierze wchodzą i wychodzą z innego jakiegoś budynku, a jeszcze inni znów cisną się do kasy. Czyżby znowu naczelnika Kościuszkę mieli przedstawiać? Grzela był gotów jeszcze raz pójść go zobaczyć. Podeszedł więc do kasy i biletu zażądał, ale z dziesięciu groszy, wydali mu pięć groszy reszty i wyjaśnili, że teraz co innego będą przedstawiali.

Wszedł do sali. Za chwilę znów dzwonki. Zrobiło się ciemno, a przed nim na płótnie, retę —

całe pułki kawalerii pędzą! Słysząc wyraźnie chrzęst siodła i podzwanianie strzemion. Z boku na podwyższeniu stoi jakiś wojskowy. Grzela patrzy i oczom nie wierzy, toż to przecież marszałek Józef Piłsudski. Ale jak to, żywy i saltuje? Zrozumieć Grzela nie może, gdzie jest. Czy mu się śni, czy to czary jakie? Toć on nigdy Marszałka nie mógł zobaczyć. Bywało, stał przed Jego portretem w sali koszarowej, wpatrywał się w twarz, ale nigdy, nigdy nie marzył nawet, że ta twarz może ożyć, może się uśmiechać.

Szedł pułk za pułkiem. Koniom chrapy grały. Chorągiewki furkotały na wietrze, a On, marszałek Piłsudski, co na Wawelu pochowany, uśmiechał się do swoich żołnierzyków i salutował im.

Obraz się skończył. Światło rozjaśniło salę i Grzela wraz z innymi jak otumaniony wychodził.

Tyle wrażeń dziś przeżył... W głowie mu szumiało. Nie mógł się połapać, co się z nim dzieje. Na szczęście trafił na gromadkę żołnierzy o znajomych twarzach, poznał sąsiednią kompanię swego pułku i za nimi poszedł w stronę koszar.

Myśli powoli uspakajały się, a wrażenia jedno po drugim wracały i utrwały się w pamięci. Zabawa, Naczelnik, Marszałek... Gdzie on był przez te parę godzin? Co to za kraj, czy świat zaczarowany... Wkrótce podeszli do bramy koszarowej. Stał przy niej Marcin i żywo rozprawiał z kolegami. Zobaczył Grzelę i wnet go pyta:

— No Grzela, wróciłeś? Podobało ci się?

Grzela nic nie odpowiedział. Postanowił tylko, że w każdą niedzielę, każde święto nie będzie mu już mar-

kotno za swoimi. On bez Domu Żołnierza nie obej-
dzie się żadnej wolnej chwili.

— Widzisz — ciągnął Marcin — żołnierz nie tylko
pracuje i uczy się w koszarach, ale musi mieć i trochę
rozrywki w święto. Czasem w Domu Żołnierza dają
przedstawienie, jak dziś, i wtedy popołudnie ci przeleci,
jak z bicia trzasł. Innym razem znów w teatrze przed-
stawiają wesołe rzeczy, śpiewają i tańczą, aż człowieka
chęć bierze zeskoczyć z miejsca, podbiec do nich i ra-
zem hołubce wybijać. Ale jeszcze i inne rozrywki są.

— Jakie jeszcze, bo ja chyba wszystkie widziałem.

— E, nie wszystkie. Jest jeszcze strzelnica, gdzie
możesz strzelać z karabinka „wiatrówki” do celu, a jak
trafisz, to ci zajac jaki albo figura kozła fiknie. Są
także zabawy z oficerami i podoficerami.

Bywają takie przedstawienia, gdzie przychodzą nasi
przełożeni i razem z nami siedzą. Orkiestra pułkowa
wtedy gra. Na przykład, jak święto jakieś narodowe,
to z całego garnizonu przybywają delegacje, z każdego
pułku. Wtedy możesz i z kolegami się spotkać. Jest
również gospoda, gdzie tanio dostaniesz jeść. A jak
kto przyjdzie do ciebie z rodziny, to gdzie będziesz
z nimi rozmawiał? Wiadomo, zaprosisz ich do Domu Żoł-
nierza, bo tam czujesz się jak u siebie we własnym domu.

— Tak, tak, rozumiem — mówił cicho Grzela. —
Teraz rozumiem, dlaczego z taką radością i śmiechem
wybieraliście się do Domu Żołnierza. Bo „Dom Żoł-
nierza” dla nas jest czymś naprawdę jak odpust: od
świętny nastrój, a jednocześnie radość, wesele i poży-
teczne spędzenie czasu.

Tak, teraz rozumiem. Dziękuję ci, kolego, żeś mi
wskazał miejsce, które mi poza koszarami zastąpi mój
rodzinny dom i wioskę.

W MUZEUM NARODOWYM

Nieduży obraz wiszący w świetlicy dawno już przykuwał uwagę Stacha. Nie raz przyglądał się wspa-
niałym postaciom w królewskich strojach i rozmyślał
o tym, jak to wygląda taki wielki obraz namalowany
własnoręcznie przez sławnego malarza. Wiedział od
kierowniczkii świetlicy, że tu wisi przedrukowany obra-
zek czyli odbitka, a prawdziwie malowany, jak to mó-
wią — oryginał, znajduje się tylko jeden jedyny w Mu-
zeum Narodowym. Długo nie dawało mu to spokoju.
Dopiero dziś, w niedzielę, wyszedł z koszar na miasto
i mógł pójść tam, dokąd go ciekawość prowadziła.

Ruch był na rynku krakowskim duży, ale Staszek
szybko doszedł do Sukiennic. Kupił bilet i wszedł do
wielkiej sali całej obwieszanej obrazami. W pierwszej
chwili nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje. Myślał,
że zobaczy parę obrazów na ścianach, jak w świetlicy,
to też dziwiło go, że tutaj w jednej tylko sali było
kilkadziesiąt najrozmaitszych obrazów.

Nie był sam, bo razem z nim oglądała muzeum
wycieczka ze wsi. Młody przewodnik objaśniał coś
zebrany, więc Staszek przyłączył się do nich, żeby
się czegoś dowiedzieć.

Muzeum to powstało początkowo z darów wielkich
malarzy, którzy chcieli udostępnić wszystkim ludziom
dzieła sztuki — słuchał objaśnień Stach. — Co by przyszło
ludziom, gdyby ktoś jeden kupił sobie te obrazy i zam-
knął je u siebie nie dając nikomu oglądać. Nie zna-
libyśmy tych wspańiałych arcydzieł — tu mówca wska-
zał na ścianę, a Stach aż zamarł z zachwytu. Zobaczył
swoją obrazek z sali, tylko stokroć większy i piękniejszy.



Kraków — Rynek i kościół Mariacki.

Fot. Photo-Plat

Zdawało się, że te postacie chociaż malowane, przemówią i zejść ze ściany, gdyż wyglądały zupełnie jak żywe. — To „Hołd Pruski” wielkiego malarza polskiego Jana Matejki — objaśnił przewodnik — wiele on cennych obrazów namalował, znajdują się one w muzeach w całej Polsce, a nawet zagranicą.

— Wiele tu mamy dzieł słynnych malarzy, jak Grotgera, Kossaka, Malczewskiego, Wyspiańskiego, Siemiradzkiego, którzy żyli prawie nam współcześnie. Mamy tu również dzieła najdawniejszych artystów polskich, bo sztuka w Polsce rozwijała się już od bardzo dawna. Jako dowód tego możemy teraz oglądać piękne dzieło Wita Stwosza, który wyrzeźbił wspaniały ołtarz w kościele Mariackim w Krakowie, a żył kilkaset lat temu. Oprócz niego byli i inni, a ich prace zbierają i zakupują muzea, żeby wszyscy mogli je oglądać i podziwiać. Nie tylko zresztą są tu same obrazy, gdyż muzeum jest jednocześnie skarbnicą pamiątek z dawnych czasów. W następnej sali możemy oglądać sukmany żołnierzy kościuszkowskich, złote mundury generalskie z dawnego wojska polskiego i szare maciejówki legionistów.

— Tu w Krakowie stanie wkrótce nowy gmach muzeum, bo ten już swych zbiorów pomieścić nie może. Ale trzeba na to dużo wysiłków i pieniędzy. Praca to dla przyszłych pokoleń i tak, jak my korzystamy z tego, co tutaj zebrano, tak z kolei my powinniśmy się przyłożyć do tego, żeby zbiory te powiększyć i udostępnić dla wszystkich.

Siedział jeszcze długo Stach przed „swoim” wspaniałym obrazem i myślał, jak to mądrze ludzie obmyślili, że on, prosty żołnierz, może widzieć takie wspaniałości, które dawniej były dostępne tylko dla bogatych.

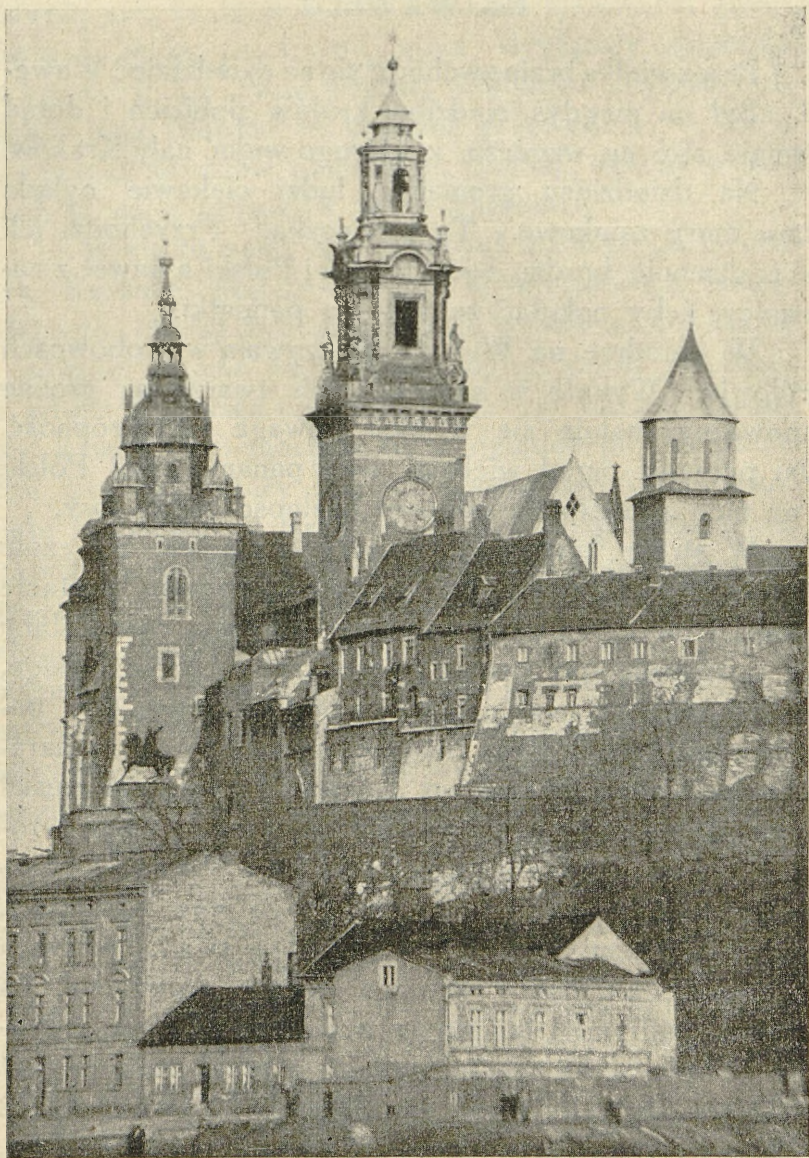
NA WAWELU

Przez wielką bramę wchodzi się na dziedziniec Wawelu. Był on niegdyś siedzibą królów polskich i dotąd dumnie stoi na wzgórzu, z którego widać cały Kraków.

Na dziedzińcu gromadka ludzi ciekawie ogląda stare mury zamkowe. To wycieczka. Przychodzi ich tu codziennie bardzo wiele z całej Polski a nawet z zagranicy, żeby oglądać zebrane tu pamiątki.

W katedrze na Wawelu spoczywają w grobowcach królowie. Wykute w kamieniu ich twarze są groźne i poważne, maluje się w nich odwaga i roztropność. Oni przecież przed wiekami byli panami całej Polski i na nich spoczywała odpowiedzialność za jej losy.

W stroju koronacyjnym leży z marszem na czole bitny król Łokietek. Na bokach grobowca postacie kobiet i mężczyzn zapłakanych wyobrażają różne stany nie pocieszone po stracie swego króla. Nic dziwnego, że taki mu postawili nagrobek: 600 lat temu, gdy panował ten król, Polska była ze wszystkich stron narażona na niebezpieczeństwo najazdu; trzykrotnie musiał Łokietek z Polski uchodzić, ale za trzecim razem wrócił i, pokonawszy wrogich Czechów i Niemców, bezpieczeństwo zapewnił ojczyźnie. Syn jego Kazimierz, zwany Wielkim, leży już z pogodną twarzą w swym grobowcu. Co ojciec krwawo orężem wywalczył, on umocnił mądrymi i łagodnymi prawami. Zwano go królem chłopków, bo często zaglądał w przebraniu do chat wieśniaczych, żeby nieść im pomoc. Zostawił on też Polskę wyniszczoną poprzednio wojnami inną niż zastał. Mówiono o nim, że zastał ją drewnianą, a zostawił murowaną, gdyż tyle nowych budowli za jego czasów powstało.



Kraków — Wawel.

Fot. Photo-Plat

Nie miał syna ten wielki król. Dopiero jego wnuczkę Jadwigę powołali Polacy na tron. Leży ona też na Wawelu. Białe, marmurowe grobowiec kryje w sobie szczątki dobrej i pięknej królowej. Wszystko poświęciła dla ojczyzny. Przyczyniła się do nawrócenia pogańskiej naówczas Litwy i do przyłączenia jej do Polski. Ostatnie swoje klejnoty i pieniądze oddawała ubogim i nie skąpiła ich też dla uniwersytetu krakowskiego, który jej zawdzięczał swój rozwój. Mąż jej, Władysław Jagiełło, prowadził dalej dzieło Jadwigi pracując nad zjednoczeniem Litwy z Polską. Był on założycielem dynastii Jagiellonów, która długo panowała w Polsce ku jej chwale i pożytkowi.

Królowie z tego rodu spoczywają również na Wawelu. Pamiątką po nich jest piękna kaplica w katedrze wawelskiej. Król Zygmunt I, zwany Starym, sprowadzał najzdolniejszych artystów z Włoch, żeby ją ozdobić. Syn jego Zygmunt August, ostatni z rodu Jagiellonów, też tu spoczywa. Był to mądry król i za jego czasów Polska doszła do największego rozkwitu.

Tradycje Jagiellonów zachował inny król, którego grobowiec tu się znajduje: Stefan Batory, choć Węgrem był z pochodzenia, tak pokochał Polskę, gdy został jej królem, że całe życie prawie spędził na wyprawach wojennych w obronie jej granic i umocnił ją wewnątrz, zaprowadzając ład i porządek.

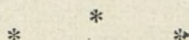
Każdemu z tych monarchów, co leżą teraz cicho w grobach na Wawelu, zawdzięcza Polska bardzo wiele.

Zrobili ją wielką i potężną. Każdy, nawet cudzoziemiec rozumie patrząc się na te pamiątki, że Polska — to nie jesteśmy tylko my — żyjący teraz, ale że na

ten obecny dorobek złożyły się całe pokolenia przez setki lat swą pracą i trudem.

Ale nie tylko królowie spoczywają w katedrze wawelskiej. Jest to miejsce spoczynku i innych wielkich Polaków: wielkich poetów — wieszczów narodu, którzy nie dali upaść duchowi polskiemu w czasach niewoli — Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego. Leży tu także wódz pierwszego powstania polskiego Tadeusz Kościuszko i rycerski książę Józef Poniatowski.

A tak niedawno ceniom wielkich mężów przybyły prochy pierwszego i największego Polaka odrodzonej Polski — marszałka Józefa Piłsudskiego.



Na Wawel, na Wawel! Krakowiaku żwawy,
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy,
Dzieje twojej ziemi na grobowcach czytaj,
Twoich wodzów groby uściskiem powitaj.

Z DZIEJÓW WOJSKA POLSKIEGO

3. DETUJ WOIKA POLSKIEGO

DAWNE WOJSKO POLSKIE

W niedzielę rano pierwsza kompania miała dużo uciechy i wrażeń. Sierżant oświatowy zapowiadał im już dawno tę wycieczkę, ale dopiero dziś mieli wszyscy pójść do Muzeum Wojska Polskiego. Kpiarze, a są oni wszędzie, twierdzili, że w tym muzeum stare konie i mundury chowają, żeby ludzi po świecie nie straszły. Ale jak w każdej plotce jest trochę prawdy, tak i słusność mieli mówiąc, że zobaczą stare mundury, ale nie te, które ostatni rocznik zniszczył, tylko te, które nosili polscy żołnierze przed całymi wiekami.

W wielkich salach Muzeum Wojska stały szafy z różnego rodzaju mundurami, na ścianach wisiały starożytne zbroje, a nawet stały figury koni w dawnych uprzężach.

Młodzi żołnierze byli dumni, że mieli takich walecznych poprzedników i że nie oni pierwsi mają broń Polski, ale byli i inni przed nimi, którzy krwią swą orężem jej granice utrwalili i strzegli przez wieki.

W odległych czasach, gdy na polskiej ziemi nie było jeszcze wielkich miast, tylko ludzie mieszkali po lasach, w małych osadach, jedynymi obrońcami całej ludności były drużyny rycerskie na dworach książęcych.

Nieliczne one były, ale dzielne i waleczne. Pod wodzą króla Bolesława Chrobrego, który wojował od Bałtyku do Dunaju i od Sali do Dniepru, rozszerzyły granice Polski i utrwaliły jej znaczenie pośród innych państw.

Za rządów króla Władysława Jagiełły, mimo wielkiej siły wojska krzyżacko-niemieckiego, odnieśli polscy wojownicy świetne zwycięstwo pod Grunwaldem i zdolali w ten sposób odeprzeć niebezpieczeństwo grożące całości kraju. Walczyli przytem nie tak jak dziś, bo broni palnej było mało i poza tym jeszcze bardzo niedoskonała, lecz przeważnie za pomocą mieczy i kopii, które oglądających żołnierzy zadziwiała swoją prostotą.

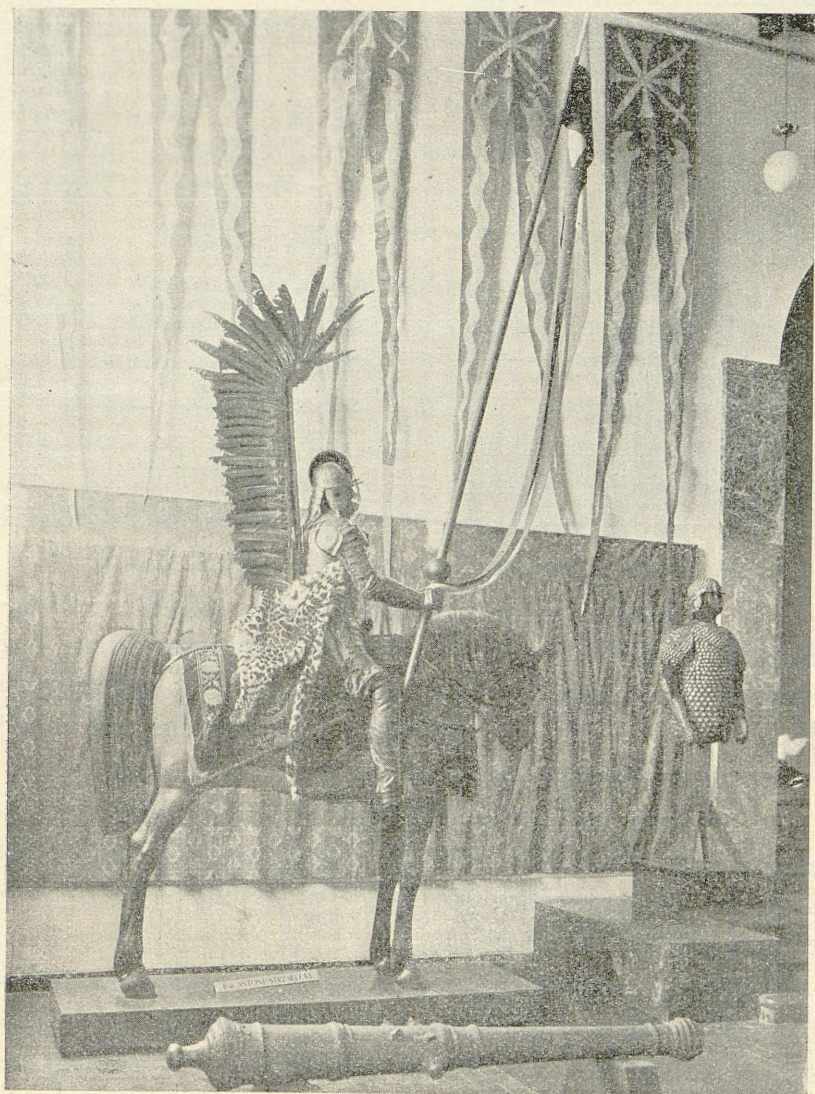
Były też w muzeum pamiątki nie tylko uzbrojenia nieznanymi żołnierzy z różnych czasów, ale zbroje i mundury sławnych rycerzy i wodzów.

Były tu pamiątki po walecznym hetmanie Janie Tarnowskim, królu Stefanie Batorym i hetmanie Janie Zamoyskim. Prowadzili oni już czterysta lat temu wojnę z Moskwą w taki sposób, że i teraz jeszcze podziwiać należy doskonałość ich sztuki wojennej.

Następcą hetmana Zamoyskiego był Stanisław Żółkiewski, który potrafił z jazdą, garstką piechoty i dwoma działami pokonać dziesięciokrotnie silniejsze siły moskiewskie pod Kłuszynem.

Tradycje wielkich hetmanów podtrzymuje również Chodkiewicz, wielki wódz i strategik, który wślawił się zwycięstwem nad Szwedami pod Kircholmem.

Chwałę oręża polskiego rozślawił, jako hetman początkowo, a potem jako król, Jan III Sobieski, walcząc zwycięsko z większymi siłami tureckimi pod Żórawnem,



W Muzeum Wojska.

Fot. W. Pikiel

Wiedniem i Parkanami. Zdobywa on dla Polski miano „przedmurza chrześcijaństwa”.

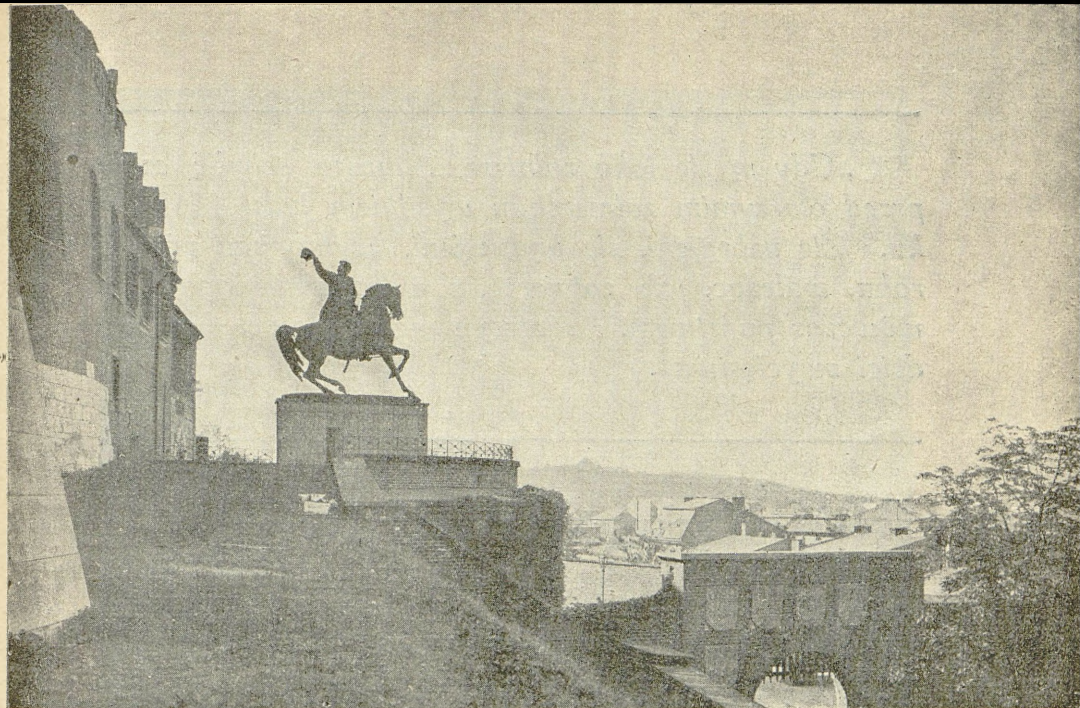
Dużo też było w muzeum pamiątek po naczelniku powstania — Tadeuszu Kościuszcze. Mimo swej godności generalskiej przybrał się on w chłopską sukmanę, na dowód uznania dla waleczności chłopów polskich pod Racławicami, gdzie dzielnie, z Bartoszem Głowackim na czele, bili się z wrogiem za ojczyznę.

Z okresu wojen napoleońskich, kiedy to Polacy walczyli o wolność ojczyzny przy boku cesarza Napoleona we Włoszech, Afryce i Hiszpanii, a potem w pochodzie na Moskwę — było w salach wiele mundurów i broni. Zwłaszcza dużo było pamiątek po dowódcy naczelnym wojsk polskich — ks. Józefie Poniatowskim, który prowadził swe oddziały wielokrotnie do zwycięstw i zginął bohaterską śmiercią w bitwie pod Lipskiem.

Z okresu powstania listopadowego 1830 r. i styczniowego 1863 r., pozostało wiele pamiątek, jako też z wojny światowej i walk legionowych zakończonych dopiero w r. 1918, kiedyśmy z powrotem odzyskali własne niepodległe państwo.

Jest tam też dużo pamiątek z okresu ostatniej naszej wojny z r. 1919 i 1920, kiedy to żołnierz polski pod wodzą marszałka Józefa Piłsudskiego odparł zwycięsko nawałę bolszewicką.

W paru salach Muzeum Wojska zebrane są zatem pamiątki z wszystkich naszych wojen prowadzonych w czasie wielu wieków w obronie polskości, której strzegł zawsze żołnierz polski. Stawiał on czoło nieraz wielokrotnie liczniejszemu nieprzyjacielowi przekazując tradycję waleczności i męstwa dalszym pokoleniom.



Pomnik Kościuszki na Wawelu.

Fot. H. Poddębski

ŚMIERĆ KOŚCIUSZKI

Tam w Szwajcarów wolnej ziemi
żył Kościuszko długie lata
i obracał tęskne oczy,
gdzie rodzinna jego chata.

Z Maciejowic w ranach wzięty,
ciężką przetrwał on niewolę,
nim, wygnaniec, w świat iść musiał
na tułactwo, na niedolę!

A gdy poczuł, że śmierć blisko,
ujął w ręce miecz swój dumny
i rzekł: — Walczył w świętej sprawie,
włóżcie ze mną go do trumny!

I na północ spojrział rzewnie,
twarz mu blaskiem się zajęła
i konając, wyrzekł z mocą:
— Jeszcze Polska nie zginęła!

„Gdy myślę jako żołnierz,... muszę schylić czoło przed olbrzymim żołnierskim wysiłkiem ludzi 1863 roku. Źle uzbrojeni, źle wyżywieni, wytrzymali półtora roku, walcząc, jak żołnierze, z olbrzymim, potężnym wówczas państwem. Walczyli nieraz nawet bez nadziei zwycięstwa“.

Józef Piłsudski

POWSTAŃCY 1863 ROKU

Tego dnia Stach Wrześniak, „świeżo upieczony” strzelec 36 pułku piechoty był pierwszy raz w mieście ze swym przyjacielem starszym strzelcem, Antkiem Moreckim.

W pewnej chwili, kiedy szedł jakąś piękną ulicą i gapił się na wystawy, Antek trącił go łokciem. Obaj chłopcy sprężyli się jak na mustrze, razem przyłożyli palce do daszków i oddali ukłon jakiemuś starszuskowi w mundurze.

Takiego munduru Wrześniak jeszcze nigdy nie widział. Staruszek miał na sobie długą, granatową, ni to czamare, ni to kapotę, z amarantowymi wyłogami na piersiach i granatowe spodnie z czerwoną wypustką. Na naramiennikach błyszczała gwiazdka podporucznika, na kołnierzu oficerskie srebrne wężyki. Strój uzupełniała granatowa rogatywka ze srebrnymi galonami.

Staruszek pochylony wiekiem szedł powoli. Odśalutował chłopcom poważnie i życzliwie. Mimo swych lat stary żołnierz krzepko się jednak trzymał i znać po nim było wojaka.



Weterani 1863 r.

Fot. W. Pikiel

— Cóż to za wojsko? — spytał Wrześniak, kiedy się oddalili parę kroków.

— Nie wiesz? To weteran — odpowiedział Antek.

— Nie wieleś mi powiedział, bo dalej nic nie wiem.

— Weteran — objaśniał kolegę Antek — to taki żołnierz, który się bił o Polskę w powstaniu, kiedy jej jeszcze nie było. Będzie temu przeszło 70 lat.

— A cóż to było za powstanie? — dopytywał się dalej Wrześniak.

— Eeej; chłopie! To wstyd, że o tem nie wiesz. Żeś weterana dotąd nie widział, to nie dziwota, boś

siedział na wsi i nosaś z niej nie pokazywał, ale że nie wiesz co to powstanie, to już nie bardzo pięknie. Dobrze żeś się przede mną wygadał, bo inni by cię zdrowo wysmiali, że historii swojego kraju nie znasz.

Tu Morecki opowiedział Wrześniakowi o tym powstaniu. Wiadomo, że bez mała przed stu pięćdziesięciu laty sąsiedzi, to jest Prusy, Austria i Rosja, rozdrapali Polskę na trzy części i każdy po kawale zrabowanego kraju do swoich ziem przyłączył. Dużo, a może najwięcej, zawinili w tym sami Polacy, bo nie chcieli żyć ze sobą w zgodzie, nie chcieli słuchać rządu, nie kwapili się łożyć pieniędzy na skarb i wojsko.

Juści dużo było dobrych obywateli, którzy się nie mogli pogodzić z niewolą i ci wciąż przemysłiwali i starali się, aby Polskę na nowo przywrócić do życia. Ci bili się najpierw pod Kościuszką, potem w Legionach pod Dąbrowskim i Poniatowskim.

Później, w roku 1830 wybuchło powstanie przeciwko Rosji. Kraj wystawił wojsko, które liczyło z górą sto tysięcy ludzi. To wojsko, mimo że Moskałe mieli prawie dwa razy więcej żołnierzy i dużo więcej dział, dało im nieraz tęgiego łupnia i trzymało się przeciwko Moskałom prawie cały rok. Uległo jednak w końcu przed przemocą.

W trzydzieści dwa lata później, w roku 1863, Polacy podnieśli się na nowo przeciwko zaborcy. Bardzo ciężko było wtedy naszym. Ani swojego wojska, ani broni, ani amunicji, ani pieniędzy, a tu przemoc obcego wojska, które dużymi oddziałami stało po wszystkich miastach i miasteczkach.

— Jakże więc mogli wojować? — spytał ze zdziwieniem Wrześniak.

— A jednak wojowali. O głodzie i chłodzie, nieraz ze zwykłymi kosami i myśliwskimi strzelbami szli na karabiny i armaty rosyjskie.

Po powrocie do koszar Morecki wyciągnął jakąś książkę ze swej szafki i przywołał Wrześniaka.

— To jest książka, którą napisał o tym powstaniu marszałek Piłsudski. Przeczytam ci, jak to wtedy powstańcy wojowali. Posłuchaj! Oto właśnie przed samym wybuchem powstania ksiądz Nawrocki, który w roku 1831 był kapłanem a teraz miał być naczelnikiem jednego z oddziałów powstańczych, rozmawia ze swym kolegą, starym Maciejem, który w roku 1831 służył w 2 pułku ułanów.

— „Hej, nie tak się szło ongiś na wroga — mówił kapłan — jawnie, buńczucznie, ze śpiewem wesołym, brzękiem ostróg, furkotem chorągiewek, w jaskrawych mundurach, na koniach parskających wesoło. Hej! Macieju! Teraz na wojenkę będziesz się wykradał jak złodziej, jak zbój jaki razić będziesz wroga z za węgła, z ukrycia. Pójdiesz, jak stoisz przy swej chacie, w siermiędze, a zamiast lancy i pałasza weźmiesz z sobą pracowitą kosę. Nie zagra ci do boju skoczna dziarska muzyka, nie będzie tego wojskowego gwaru dokoła, co cię za młodu cieszył i radował”.

W innym miejscu książki dowiedzieli się chłopcy jak to na przykład na Podlasiu ze strony polskiej było zaledwie 1500 ludzi licho uzbrojonych a ze strony Moskali samej piechoty 5000, a ponadto 32 działa i kilkuset kawalerzystów.

Długo jeszcze chłopcy przeglądali książkę i długo potem rozmawiali o tym bohaterskim powstaniu.

— Tak — mówił Morecki — ci powstańcy, jak to mówią, wbrew wszelkiej nadziei wierzyli. Wierzyli, że własną krwią przywrócą Polskę do życia. Nie dali jednak rady przemocy. Rosjanie w krwi utopili powstanie. Ci z powstańców, którzy nie padli od kul, ginęli na szubienicach albo szli na wygnanie w dalekie kraje mroźnego Sybiru.

— To im się wielka cześć od nas należy — odezwał się po chwili milczenia Wrześniak.

A tak! — przytwierdził Morecki — jak wszystkim, którzy nad własny dom, nad własną rodzinę, nad własne życie nawet ukochali swoją ojczyznę. I to sobie musisz wiedzieć, że właśnie za ich sprawą przechowała się w narodzie ta zwycięska wiara, że kiedyś powstanie Polska. Dzięki nim dzisiaj po wolnej Polsce chodzisz i mundur żołnierza polskiego nosisz.

WSPOMNIENIE RANNEGO

Śpiew popularny z r. 1863.

Stu sześćdziesięciu walecznej młodzieży
Na placu musztry stanęło pod broń,
O bosej nodze, w podartej odzieży,
Bezsenną nocą wybledniała skroń.
Trzykrotne wiwat! powtórzyły chóry,
Na czele hufca stanął wódz ponury.

— Żuawi, oto wasz sztandar pułkowy,
Przed nim przysięgę złożycie mi dziś,
Że każdy naprzód pójdzie w bój ogniowy
Jak lew odważny, gniewniejszy niż ryś.
Czy przysięgacie na śmierć i na męstwo?

— Tak, przysięgamy na śmierć lub zwycięstwo!

— Żuawi, wódz wasz prosi przebaczenia:
Po dwa ładunki tylko dla was ma,
Więc po dwóch strzałach ramię do ramienia,
Niech goły bagniet w piersi wroga gra!
— Tak, przebaczamy, i z bagnietem w rękę
Albo zwyciężym — lub zginiem bez jęku.

Ruszyli w pochód pod mury Miechowa.
Na pierwszy wystrzał — pierwszy szereg trup.
Już się w popłochu cofa wojsk połowa,
A druga stoi, zaryta jak słup.
— Żuawi, naprzód! — krzyknął wódz rozżarty,
I sam na czele pędzi w bój otwarty.

Garstka szesnastu wraca do Krakowa,
A po jej środku stąpa blady wódz.
Jakiś ból straszny zamroził mu słowa,
Tylko łza płynie — nie można jej zmóc.
— Kto idzie? — krzykła niemiecka piechota.
— To my — szesnastu — żuawów pierwsza rota.

JAK POWSTAŁO DZISIEJSZE WOJSKO POLSKIE

Ułan Wiśniewski z 3 pułku ułanów został przydzielony do szwadronu luzaków w Warszawie. Cieszył się bardzo, że zobaczy stolicę Polski, o której coś niecoś słyszał i czytał. Najwięcej jednak był ciekaw defilady wojskowej, takiej co to w niej wszystkie rodzaje wojska biorą udział.

Nadszedł wreszcie dzień 11 listopada. Wiśniewski od wczesnego rana czyścił mundur i buty. Szwadron jego wprawdzie nie uczestniczył w defiladzie, ale do-

wódca pozwolił wszystkim ułanom, którzy nie mieli służby, pójść na Pole Mokotowskie, na którym miała odbyć się defilada. Kiedy chłopcy przybyli na pole, ludzi już było co niemiara. Wiśniewski takiego tłumu jeszcze nigdy w życiu nie widział. Kiedy się tak rozglądał po ogromnym polu, usłyszał hymn: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wszyscy cywilni odkryli głowy, wojskowi salutowali. To przyjechał Pan Prezydent Rzeczypospolitej. Zaczęła się defilada.

Przed oczami Wiśniewskiego przesuwaly się pułk za pułkiem. Przy dźwięku orkiestry szła mocno piechota, za nią się toczyła artyleria. Tyle wojska! Wiśniewskiemu aż oczy wylażyły ze zdumienia i podziwu. Ani rusz nie mógł się nadziwić, że to tyle setek i tysięcy ludzi maszeruje. Żeby mu kto kazał zliczyć, to by na pewno nie potrafił.

— Ile to tego wojska w całej Polsce maszeruje! — odezwał się do kaprała Dymczaka, który stał obok.

Kapral też się zadumał.

— I pomyśleć sobie, że to całe wojsko z paru tysięcy ludzi powstało — powiedział po chwili.

— Jak to z paru tysięcy? — zapytał Wiśniewski.

— Ano tak! W roku 1914, kiedy wybuchła wojna światowa, marszałek Piłsudski wyszedł w pole z kilkomna zaledwie tysiącami strzelców. Na 30 milionów Polaków tylko tylu ochotników znalazło się do walki o Polskę. To chyba wiesz, że te kilkanaście batalionów stanowiły pierwszą i drugą brygadę Legionów.

— Ale później chyba więcej takich ochotników się znalazło? Nie wiele tam wiem o tem, ale kiedyś mi ojciec opowiadał, że jeszcze nim Polska powstała, należał do tajnego wojska polskiego, które się nazy-

wało P. O. W. Ale zapomniałem, co te litery oznaczały.

— „Polska Organizacja Wojskowa”. To tajne wojsko stworzył też Marszałek jeszcze za czasów wielkiej wojny, kiedy Polski nie było. A dlatego tajne, że Marszałek już wtedy przewidywał, że legiony i ta właśnie „Polska Organizacja Wojskowa” przydadzą się w niedługim czasie do wypędzenia wszystkich naszych „opiekunów”, którzy wtedy zalali Polskę: Niemców, Austriaków i Moskali.

W tej chwili kaprał przerwał opowiadanie, bo nadjeżdżały z twardym warkotem silników czołgi. Były między nimi i małe, co w nich po dwu ludzi siedziało z jednym karabinem maszynowym w strzelnicy. Były też i ciężkie, duże wozy, z których wystawały lufy działek z załogą kilku strzelców.

— Takich czołgów pewno w naszym wojsku wtedy nie było — zauważył Wiśniewski.

Zaśmiał się kaprał.

— Eeeeh, bracie! Wtedy i zwykłych karabinów było mało. Trzeba je było dopiero zdobywać na rozbieranym cudzym wojsku. Opowiadał mi starszy brat, który wtedy w wojsku służył, że bieda była okropna. Trzeba było wojować bez butów, bez płaszczy w zimie. Sam czytałem, jak to Marszałek przypatrując się defiladzie dywizji górskiej, już w czasie wojny z bolszewikami w roku 1920, żalił się, że wojsko takie obdarte maszerowało.

— A co to byli Murmańczycy? — zapytał Wiśniewski. — Widziałem taki obrazek, jak to z okrętu



Murmańczycy po powrocie do Polski.

wysiadają na ląd żołnierze prowadząc niedźwiedzia, a pod obrazkiem było napisane: „Murmańczycy przybywają do Polski”.

— Widzisz — objaśniał kapral swojemu młodszemu koledze — Murmańczycy, to także było wojsko polskie, które powstało daleko, daleko na północy Rosji na Marmaniu, wtedy, kiedy rozleciało się wojsko rosyjskie. Na całym świecie prawie powstawały w ten sposób różne oddziały naszego wojska. W Rosji — 3 Korpusy Wschodnie (w tym Dowborczycy), oraz dywizje gen. Żeligowskiego i syberyjska i oddział murmański; we Francji — armia generała Hallera, we Włoszech — oddziały złożone z jeńców Polaków z armii austriackiej. Wszyscy ci żołnierze różnymi drogami

dążyli do kraju, gdzie ciężka toczyła się walka o nasze ziemie na wschodzie, na zachodzie i na południu.

— Ale grunt całego wojska stanowiły właśnie Legiony i P.O.W. Byli to dzielni żołnierze, oddawna zaprawieni w umiłowaniu wolności Polski i swego wodza marszałka Piłsudskiego.

Znowu przerwali chłopcy rozmowę, bo w tej chwili nadleciały samoloty.

Po chwili defilada się skończyła. Ułani długo jednak rozprawiali jeszcze o powstaniu wojska polskiego.

— Ile to pracy i ile lat trzeba było — mówili — ażeby dojść do tych pięknych pułków piechoty, artylerii i kawalerii i Bóg wie jeszcze ilu różnych oddziałów czołgów, saperów, łączności i innych broni.

Do takiego pięknego wojska, którego nam inne państwa zazdroszczą.

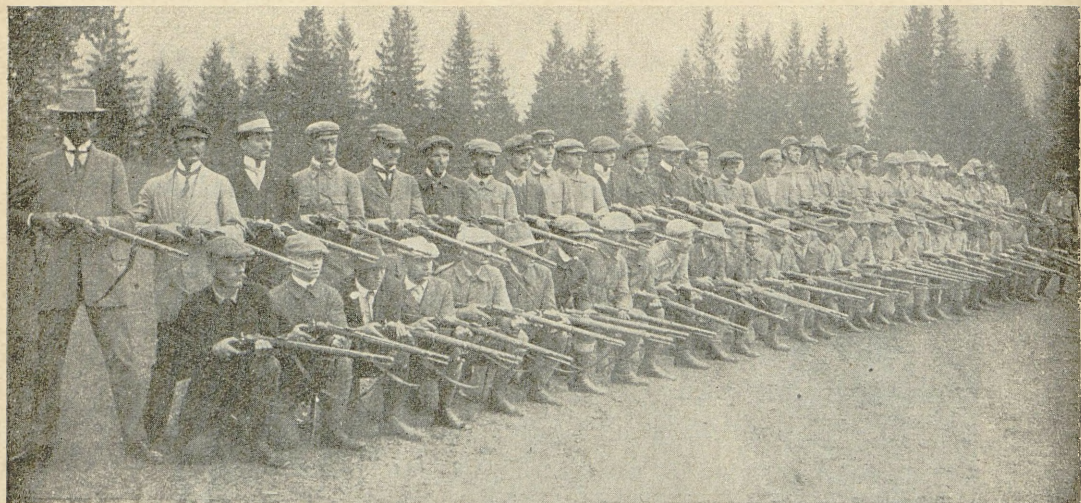
BIAŁE RÓŻE

Z pieśni legionowych.

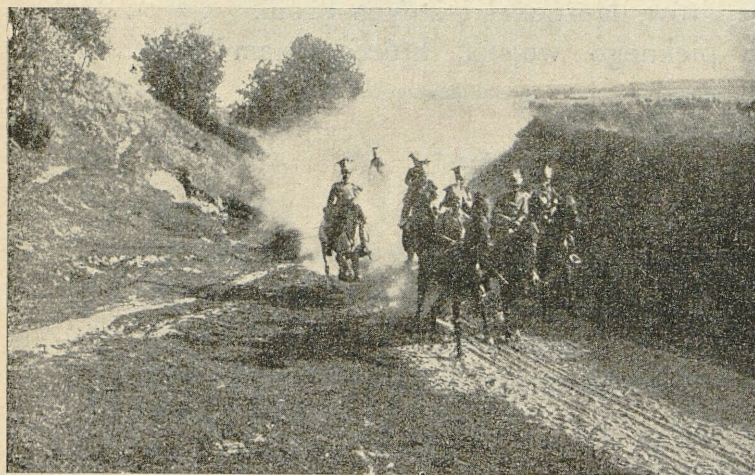
Rozkwitają pęki białych róż,
wróc Jasieńku z tej wojenki już!
Wróc, ucałuj, jak za dawnych lat,
dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat!

Przeszła wiosna, lato, jesień — tuż.
Już przekwitły pęki białych róż
Cóż ci teraz dam Jasieńku, hej!...
gdy z wojenki wrócisz do dziewczyny swej?...

Jasieńkowi nic nie trzeba już,
rosną ci mu nowe pęki róż,
tam nad jarem, gdzie w wojence padł,
zakwitł na mogile białej róży kwiat!...



Rok 1912 — ćwiczenia przyszłych bojowników o niepodległość Polski.



Patrol 1 pułku ułanów
Beliny,



Karpaty Wschodnie —
tyraliera pod Rafajłową,

Wołyń — w okopach
6 p. p. Legionów.



Rok 1917 — P. O. W., ćwiczenia pod Warszawą.

DO PIERWSZEJ KOMPANII KADROWEJ

Gdy wybuchła wojna światowa, z różnych stron Polski zaczęły ścigać do Krakowa oddziały związków i drużyn strzeleckich.

Do żołnierzy Pierwszej Kompanii Kadrowej, która z Krakowa pierwsza miała wyruszyć do walki z Rosją, Komendant Józef Piłsudski wygłosił następujące przemówienie:

„Żołnierze!... Spotkał was ten zaszczyt niezmierzony, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzę na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanię”.

POD ROZKAZAMI KOMENDANTA PRZED 20-tu LATY

Komendant nasz, brygadier Józef Piłsudski, miał wówczas lat 48, a my wszyscy mieliśmy przeciętnie po lat 19. My wszyscy t. zn.: 6 batalionów piechoty, dywizjon ułanów, dwie baterie artylerii oraz zakłady I brygady. My wszyscy t. zn. szeregowi i oficerowie, wszyscy bardzo młodzi, prawie o 30 lat młodszy od naszego Komendanta.

Jakżeż inna to była wiosna roku 1915 przed laty przeszło dwudziestu, kiedy w dniu 11 maja wyległy na okopy wzdłuż Nidy szaro-niebieskie sylwetki żołnierskie, by w przepięknym słońcu, w upajającym zapachu szerokich łąk nad Nidą rozłożonych, zbiegać się ku przeprowie rzecznej drobnymi kolumienkami i od wzgórz Skowronnej wyruszyć długą kolumną maszerującego, rozśpiewanego, pełnego radości i wesela legionowego wojska.

Szliśmy teraz szybkimi marszami na wschód w stronę Sandomierza. W tumanie kurzu, pokrywającego nas i do szarej ziemi upodobniającego, w ciężkiej, upalnej spiekocie, z karabinem na ramieniu, z tornistrem i nabojnica pełną amunicji, ze spiekłym od wysiłku gardłem szliśmy przez Szladków Duży, przez Bogorię, na Konary. W czasie marszu, gdy bokiem polnej dro-



W marszu pod Konarami.

gi mijał nas sztab brygady z Komendantem na czele, wówczas od końca kolumny, przez kompanie i bataliony .óśł, przelewał się jak grzmot, dłużył przez całą kolumnę wielki radosny krzyk, na który Komendant odpowiadał podniesieniem ręki do swojej maciejówki, krótkim, żołnierskim podziękowaniem.

W dniu 16 maja, kiedyśmy dochodzili do wsi Konary, kiedy w obłokach kurzu zniknęła szpica ułańska, przed wsią poczęły wykwitać szrapnelowe dymki i zaczął dochodzić nierówny, rzadki ogień czołowych patroli. Taka sobie zwykła wymiana ognia między przednią a tylną strażą, znak, że nastąpiliśmy nieprzyjacielowi na pięty, znak, że już jest niedaleko, że może zajął nowe w odwrocie pozycje, na których będzie starał się zatrzymać nasz niepowstrzymany marsz na wschód.

Ten marsz na wschód był dla nas jak gdyby nieprzerwaną, radosną pieśnią. Każdy przecież kilometr dalej to wyrzucenie z polskich zagonów stopy rosyjskiej, która była dla nas wtenczas nie tylko symbolem niewoli, ale niewolą prawdziwą. Więc naprzód, naprzód, jak najszybciej, jak najdalej do Wisły, a później za Wisłę, i dalej za Bug, zedrzyć z kraju naszego ponurą chustę niewoli przykrywającą obezwładnioną, bezsilną ojczyznę. Nadać jej rumieńców życia, stać się jej obrońcą, stać się jej zbrojnym ramieniem, które za nią i dla niej będzie pracowało, które da jej siłę, da jej możność powstania do życia... Takie przecież było nasze zadanie. Zadanie sześciu batalionów piechoty, dywizjonu ułanów i dwu baterii polowych dział.

Tego jeszcze dnia 16 maja poszczególnymi batalionami wkroczyliśmy na linię natarcia przeprowadzającego na wzgórzach nad Pokrzywianką, wśród jarów



W okopach pod Konarami.

sandomierskich. W dali wielkim słupem ognia i dymu paliła się przed nami wieś Beradz zapalona pociskami artyleryjskimi. Głuche bulgotanie ognia szło stamtąd nieustannie, kiedyśmy w ostrym pogwiździe kul zwarli się do biegu w tyralierze pod Przepiórowem. Biegniemy, w biegu śpiewamy, krzyczymy sobie „naprzód” i podrywamy się jeszcze prędzej, gdy za gwizdem pocisku rypać poczęły granaty w spiekłą rolę. Biegniemy naprzód, taśmy karabinu maszynowego przesuwają się szybko przed oczyma rosyjskiego celowniczego, gdy już niepowstrzymany nasz krzyk „hurra” zagłusza trzask ognia. Ogień raptownie milknie a przed rozżartą, zdyszowaną tyralierą dziewiętnastoletnich chłopaków stanęła długa linia wielkich rosyjskich chłopów z podniesionymi do góry rękoma. To jeńcy. Karabiny maszynowe już milczą — to nasza zdobycz. Prędko potem zbiórka, patrole w przód, meldunki w tył i nowy cel

natarcia — wieś Swojków, którą zdobyliśmy tego dnia wieczorem w niepowstrzymanym ataku na bagnety.

I tak co dnia, często i w czasie nocy od 16 do 24 maja przez osiem dni i przez osiem nocy wiedliśmy krwawy bój pod Konarami. Biegliśmy w tyralierze, krzyczeli zapamiętałe swoje „hurra” przy ataku na bagnety, którego nic powstrzymać nie mogło, cofaliśmy się w nocy, gdy gdzieś z boku austriackie linie puściły lub się poddały, szliśmy w ciszy, w milczącym kołysaniu śmiertelnie znużonej kolumny, to znów wysyłaliśmy patrole w przód lub na zielonych wzgórzach przetykanych młodym zbożem okopywaliśmy się szybko, żółty piasek układając w równe półkole okopu przed każdym z nas: żołnierzem Polski, żołnierzem Piłsudskiego, żołnierzem legionowym i... dzieckiem.

Szpital polowy brygady miał w tych dniach dużo do roboty. Lżej ranni odchodzili na tyły ze śmiechem i z przechwałką w głosie, że za tydzień wrócą do swoich kompanii, ciężko ranni milczeli w bólu i w złości zarazem, że ich dostało i że bezwładnie leżą jak kloce, polegli zaś, których było bardzo wielu, mieli ten spokój na twarzy, jaki daje umierającemu żołnierzowi jego ojczyzna.

Biliśmy się tak przeszło tydzień i nikt się nie bał. Nie bał się młody podporucznik Żarski-Radoński, dowódca plutonu, kiedy w ulewie ognia rosyjskich karabinów maszynowych spokojnie rozdzielał ładunki żołnierzom w okopach, nie bał się sierżant Dańko, kiedy na czele patrolu z kilku ludzi złożonego wrzasnął „na wariata” swoje zwycięskie „hurra”, by wziąć do niewoli zaskoczoną całą kompanię rosyjską — 150 ludzi i oficerów; nie bał się sierżant Brzozowski z szeregowcami

Jagoszewskim i Urbanowiczem, kiedy we trójkę wzięli do niewoli 58 rosyjskich żołnierzy ścigających cofającą się linię austriackiego 8 pułku; i wcale się nie bał szeregowiec Albin, który w czasie odwrotu, zaspawszy w okopku, pozostał sam i ujrzał przed sobą zbliżający się patrol rosyjski składający się z 8 ludzi. Cóż miał robić szeregowiec V batalionu Albin Stanisław? Miał się bać lub oddać się do niewoli? Narobił tedy strasznego krzyku i sam wziął do niewoli patrol rosyjski, wielkich ośmiu żołnierzy.

Nie można jednakże powiedzieć, żebyśmy się nie bali, tylko swój strach nadrabialiśmy zuchwałą odwagą. Bo przecież tak kazał się nam zachować On, Komendant. Kazał nam być dumnym z tego, że jesteśmy polskimi żołnierzami, kazał honor tego żołnierza cenić ponad życie, bo honor to Bóg wojska, kazał nam być pełnymi inicjatywy, przedsiębiorczości, uczył zuchwałego ryzyka, uczył uporczywości, siły woli, umiejętności wytrwania i gwałtowności uderzenia. Więc robiliśmy wszyscy, ile nas było zebranych w sześciu batalionach piechoty, w dywizjonie ułanów i w dwu bateriach polowych dział, robiliśmy wszystko tak, aby było jeszcze lepiej niż On sobie tego życzył. Taki już mieliśmy fason życia wojennego w naszej I brygadzie.

A jeśliśmy się bali i to bali straszliwie, jeśliśmy patrzyli za siebie z przerażeniem, to wówczas kiedy nad wsią Konary wzbijały się słupy granatów i kiedy ostry, zajadły gwizd kul przeszywał wiejskie opłotki. Baliśmy się wtenczas najbardziej, bo we wsi Konary, wśród świstu kul i rozdzierającego trzasku granatów, w małej izdebce chłopskiej — przechadzał się, dyktował rozkazy i przyjmował meldunki, cieszył się z nas i za nas się martwił, On, nasz Komendant.

O PUŁKOWNIKU LISIE-KULI

Gdy ruszył na wojenkę,
Miał siedemnaście lat,
A serce gorejące,
A lica jako kwiat.

Chłopięcą jeszcze duszę
i wątłe ramię miał,
Gdy w krwawej zawierusze
Szedł szukać mąk i chwał.

Lecz śmiał się śmierci w oczy
I z trudów wszystkich kpił,
Parł naprzód jak huragan
I bił, i bił, i bił.

A chłopcy z nim na boje
Szli z pieśnią jak na bal,
Bo z dzielnym komendantem
I na śmierć iść nie żał.

Nie trwożył się moskiewskich
Bagnetów, lanc ni dział,
Docierał zawsze z wiarą
Tam, dokąd dotrzeć chciał.

Gdy szedł już w bój ostatni,
Miał lat dwadzieścia dwa,
Miał sławę bohatera,
A moc i dumę lwa.

Świsnęła mała kulka
I grób wyryła mu,
Bohaterowi łoże —
Posłanie wieczne lwu.

Rycerski pędził żywot,
Rycerski znalazł zgon.
Armaty mu dzwoniły,
A nie żałobny dzwon.

Chorągwie się skłoniły
Nad grobem na czci znak,
A stara brać żołnierska
Jak dzieci łkała tak.

Sam nawet Wódz Naczelny
Łzy w dobrych oczach miał —
Ukochanemu chłopcu
Na trumnę order dał.

Czy wiecie wy, rekruty,
Kto miał tak piękny zgon,
Kto tak Ojczyźnie służył —
Czy wiecie, kto był On?

Otwórzcie złotą księgę,
Gdzie bohaterów spis,
Na czele w niej widnieje:
Pułkownik Kula-Lis.

Adam Kowalski

W DZIEŃ 11 LISTOPADA...

W dniu święta narodowego, 11 listopada 1926 roku przemówił marszałek Józef Piłsudski przez radio. W przemówieniu tym snuł Marszałek bajkę dzieciom opowiadając swoje wspomnienia z przed lat o doli nędznej pierwszych polskich żołnierzy i ich Komendanta. Przypominał, jak było dawniej i porównywał ze zmianami, jakie zaszły po latach w odrodzonej ojczyźnie.

„Był niegdyś listopadowy dzień jasny, kiedyś, roczków niewiele, a działy się wtedy czary i działy się dziwy. Na drodze błotnistej, w błoto wszędzie zawalonej, ciągnie szary — krótki i niedługi — wąż szary chłopaków i chłopców. Tak samo jak i ta żabka niezgrabnie skacząc, szli zmęczeni, przytupując niekiedy zmarznietymi nóżkami, po drodze błotnistej, szarej i wilgotnej. Biedne chłopaki. Biedni chłopcy! Przytuleni do siebie drżeli z zimna, oczki ich były niewyspane po nocy ciężkiej i ciężkich dniach wielu. Nogi zmoczone w trzewikach podartych, w błocie utyłanych, szli, tuląc się często do ziemi, by choć na chwilę przykucnąć i przez chwilę odpocząć. Szli, ciągnęli w 11 dzień listopada hen gdzieś pod mury Krakowa. Na czele ich jechał chłopak inny, jechał na młodej kasztance z łysą głową. Kasztanka, córka pól i łąków, zalotnie szła w miasto. Skąd przyszły biedne chłopaki w błoto utyłani, w łachmany odziani, skąd szli chłopcy, co na grzbietach kubraki zawzione mieli, zapaskudzone insektami, w koszulach brudnych, jak ziemia sama, szli do miasta? Jakąż przeszli oni ciężką dolę! Szli noc całą, tak że śmierć im wszędzie w oczy zaglądała. Szli przez bramy śmierci, przez wrota jej ciasne i duszne, szły biedne chłopaki,

czując śmierć za sobą. A prowadził ich chłopak inny, idąc z nimi po błocie w wąwozach ciemnych przez lasy ciemniejsze od ciemności. A gdy księżyc z za chmur na nich wyglądał, wydawało się tylko, że blask kosi śmierci w oczy im błyska. A nieprzyjaciół, co na nich czyhali, śmierć im niosąc, było bez liku, było bardzo wielu. Szli biedni chłopcy, i biedne chłopaki do ziemi przyciśnięci, brudni i zawszeni, podarci i obdarci jak żebraki, szli tęskniąc do murów Krakowa, gdzie o schronieniu tylko i spoczynku marzyli. Biedni chłopcy, biedne chłopaki, tak jak owa żabka po brzegach śmietnika niezgrabnie skakali. A na czele ich jechał chłopak inny, jechał na ładnej wiejskiej klaczy, co w złocie słońca złotym włosom lśniła. Klacz szła zalotnie do miasta. Lecz miasto złym okiem wiejską klacz spotkało. Gdy wchodziła już w pierwsze domy miasta, z góry pędziło straszdyło auto, hucząc i sycząc, łomocąc bruki miejskie puste i próżne, tak jak puste i próżne główki bywają, i łomocą i krzyczą swą pustotą.

Klacz wiejska na zadzie przysiadła nogami, brykała. Prychać nozdrzami ze strachu zaczęła, a ów chłopak uspokajał ją, głaskaniem i batem i zaczął mówić jej o czarach i dziwach. „Poczekaj kasztanko, nie tutaj będziesz, w stolicę wjedziesz, w bruki jej kopytami zadzwonisz, lud mnogi patrzeć na cię będzie. Na twoją szyję ładną, i na twój złoty włos. Nie bój się, kasztanko. Próżny strach twój tutaj”. I nie wiem i wam nie powiem, dlaczego to tak było, lecz są czary i diwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Czy to na wieżach mariackich, koroną zdobnych, są czarowne słowa, co hejnał co godziny liczą, może i dźwięki zaczarowane męski, czy w wielkim dzwonie Zygmunta, co na Polskę ser-

cem bije, jest siła czarowna, czy w podziemiach Wawelu króle śpiące snem wiecznym czary w ustach mają, czy w trumnie Kościuszki, czy w wielkiej trumnie Mickiewicza głosy w spiżę czarów biją, nie wiem i nie powiem. Lecz są czary, dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy.

Więc minęło roczków niewiele, latek niedużo, dzień goni dzień, nocnockę prześciga i przyszedł znowu listopada dzień jedenasty — patrzy znowu kasztanka ta sama, łysym łbem kiwa, a świat zaczarowany przed oczyma jej się przesuwają. W stolicy bruki pod kopytami jej dzwonią, i wszystko zupełnie inaczej wygląda. Czar nad czary, dziw nad dziwy. Kasztanka idzie, łbem łysym kiwa i wciąż się dziwi: gdzie chłopiec szary i brudny, gdzie pan mój zbiedzony. I łbem kiwnąwszy, sięga do swego pana. Ten sam, samiuteńki — a cóż się z nim dzieje? Patrzcie, jaki zmieniony: Na piersi gwiazd tyle, ile państw liczy świat. Na piersi wstęga co kolorem nieba i żałoby o zwycięstwach w wielkiej wojnie mówi żywiołowo i do niebios o zwycięstwo krzyczy. Grzmia bębny warkotem okrutnym. Brzmia trąby mosiężne krzykiem wołając żołnierzy. Idzie lud zbrojny, idzie twarda w zbrojach piechota, hełmy na nich stalowe, świecą lufy żelazne, idą krokiem twardym, miarowym, idą po zwycięstwo. Za nimi w spiżę zamknięte ciężko i twardo idą armaty. Wśród ognia szły konie prężąc ciała, wielkie armaty, ciężkie koła bruki przebijają, aż szyby się trzęsą. Za nimi malowane ułany nad ułany. Jedni idą konni, drudzy spieszeni, a trąby mosiężne i warkot bębnow, fanfar odgłosy o zwycięstwie mówią. Świat cały jest zaczarowany. Kasztanka łbem kiwa,

i wciąż się dziwi, bo są czary, bo są dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Świat zaczarowany, przemiany ogromne, skąd idą? dokąd płyną? czy z bajek i czarów? czy z czego innego?”.

TRZY MARYJE

Alleluja! — rozgłośnie dzwon bije —
Sen mi dziwny wydzwania w tej dobie...
w szarym polu trzy smętne Maryje
przy żołnierza klęczące gdzieś grobie...

W szarym polu przy żołnierza grobie
trzy żalosne Maryje dziś płaczą —
polską dolą złamane tułaczą
matka, siostra i dziewczę w żałobie...

— Gdzieżeś Janku, gdzieżeś ukochany?
zali słyszysz nas w mrocznej oddali?
Noc nad senne zachodzi kurhany,
któż nam kamień tęsknoty odwali?

A wtem jasność je zagnała uderzy,
snadź nie z tego zjawiona im świata...
nad mogiłą poległych żołnierzy
złoty Anioł Wolności przelata!...

— Idźcie — rzece — do domów weseli,
którzy martwych płaczecie tu kości...
Już z tych grobów Polska w cudnej bieli
zmartwychwstała do życia w wolności!!

Józef Mączka

(poeta legionowy, poległ w 1918 r.)

PIERWSZY MARSZAŁEK POLSKI JÓZEF PIŁSUDSKI

(1867 r. — 1935 r.)

Marszałek Józef Piłsudski drogi jest sercu każdego Polaka. Imię Jego zostało na wieki związane z historią narodu polskiego któremu wrócił wolność, utraconą przed 150 laty.

Przez całe swoje życie — aż do ostatniego tchnienia — pracował Marszałek niezmiennie, z bezgranicznym poświęceniem dla tego wielkiego celu — dla niepodległości.

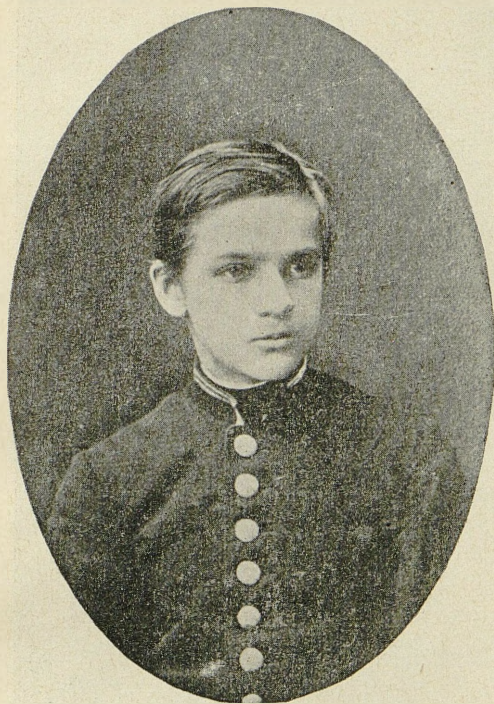
„Był to wódz, co trudów i poniewierki brał więcej niż dostojeństw, dobrym żołnierzem nazywać się jeno pozwolił”... i dlatego my, żołnierze, musimy dobrze poznać Jego życie, głęboko wryć w serca nasze wskazania Jego i starać się kochać ojczyznę tak, jak On nas tego uczył.

.

Urodził się Józef Piłsudski w dworku szlacheckim na Litwie, we wsi Zułowie, w powiecie święciańskim, dnia 5 grudnia 1867 r. Było to więc w kilka lat po krwawym stłumieniu przez Rosję powstania styczniowego 1863 r.

Już w pierwszych latach młodzieńczych boleśnie raniły dumną duszę chłopca opowiadania matki Jego, gorącej patriotki, o cierpieniach Polaków prześladowanych przez rząd rosyjski.

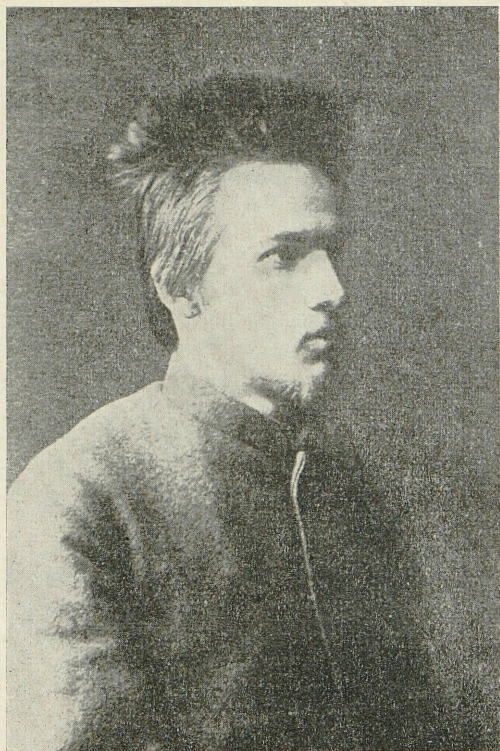
Z domu rodzicielskiego poszedł Piłsudski do szkół w Wilnie. Tam odczuwa na sobie metody dręczenia Polaków przez zaborców i tak to opisuje: „Cały czas w szkołach cierpiełem niezmiennie... uczucie niewolnika, którego w każdej chwili jak robaka zgnieść mogą, leżało mi na sercu kamieniem młyńskim”.



Mały Ziuk.

Buntuje się przeciw temu duch młodego Piłsudskiego. Ponieważ rząd carski zabraniał uczyć się po polsku, chcąc w ten sposób wynarodowić Polaków, zakłada Piłsudski z bratem swoim kółka dla robotników i uczy ich czytać i pisać po polsku a następnie wszczynają szerszą działalność zmierzającą do raz obranego celu — przygotowanie narodu do walki.

Działalność ta zostaje wkrótce ujawniona i w roku 1887 Piłsudskiego zsyłają na pięć lat do wschodniej Syberii. W roku 1892 wraca Piłsudski do kraju. Jedyną organizacją, która wówczas myśli o niepodległości jest Polska Partia Socjalistyczna — idzie więc do



Józef Piłsudski w więzieniu carskim.

niej i w niedługim czasie zostaje jednym z jej głównych kierowników. Z dwoma swoimi przyjaciółmi zakłada i wydaje potajemnie pismo p. t. „Robotnik”, w którym przekonywa Polaków, że tylko drogą walki zbrojnej mogą odzyskać wolność, do walki zaś potrzebni są żołnierze. Przez sześć lat wychodzi „Robotnik” rozpowszechniając tę ideę, wreszcie w roku 1900 żandarmeria rosyjska wpada na trop drukarni, aresztuje w Łodzi Józefa Piłsudskiego i osadza Go w X (dziesiątym) pawilonie Cytadeli Warszawskiej.

Piłsudskiemu udaje się jednak uciec stamtąd, przenosi się do Galicji (Małopolski) i stąd dalej kieruje P.P.S. W latach 1905 — 1907, gdy w Rosji wybucha rewolucja, a na ziemiach polskich powstaje możliwość walki z caratem z bronią w ręku, Piłsudski staje na czele bojowców.

Mimo bohaterstwa i wielkich ofiar rewolucjonistów ulegają oni w nierównej walce. Car tryumfuje. Piłsudski jednak nie daje za wygraną.

W roku 1908 powstaje Związek Walki Czynnej, a w dwa lata później Związek Strzelecki, którego głównym komendantem zostaje Józef Piłsudski, jednym zaś z najbliższych jego pomocników — dzisiejszy Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, Edward Śmigły-Rydz.

W szeregach strzeleckich, stanowiących kadre przyszłego wojska polskiego, gromadzą się rzemieślnicy, robotnicy, chłopi, studenci, akademicy, ucząc się sposobu prowadzenia walki i karności wojskowej.



W roku 1913 — oddziały strzeleckie w przygotowaniu do walki o Polskę.



Komendant Józef Piłsudski w dobie Legionów.

Kiedy wybucha wojna światowa w 1914 roku, Komendant ma kilka tysięcy ludzi gotowych walczyć i umierać za Polskę pod Jego rozkazami.

Z trzech wrogów-zaborców, to jest Rosji, Niemiec i Austrii, największy i najgorszy — to Rosja. Przeciw niej więc postanawia najpierw walczyć Komendant.

6 sierpnia 1914 roku Pierwsza Kadrowa Kompania Legionów Polskich pod dowództwem dzisiejszego ministra spraw wojskowych, Tadeusza Kasprzyckiego, wkro-

czyła do Królestwa Polskiego rozpoczynając chlubną kartę dziejów oręża polskiego pod rozkazami komendanta Józefa Piłsudskiego.

Równocześnie z tymi jawnymi oddziałami wojskowymi, powstaje na tyłach wojsk rosyjskich tajna Polska Organizacja Wojskowa. Gdy Komendant z kolei (w roku 1917 i 1918) zwróci się przeciw Niemcom, odegra ona wybitną rolę w ostatecznym wyrzuceniu zaborców z naszego kraju.

Żołnierze legionowi w setkach bitew i potyczek wykazali wspaniałe męstwo, hart i przedsiębiorczość. „Wyrobił się z nas typ żołnierza, jakiego nie znała dotąd Polska” — mówi w rozkazie Komendant. Ta postawa bojowa żołnierza legionowego zwraca uwagę państw wojujących, które starają się pozyskać go dla siebie — a przez to wogóle sprawa polska nabiera znaczenia w polityce międzynarodowej.

W roku 1916 Niemcy wraz z Austrią ogłaszają uroczyscie, że tworzą Królestwo Polskie. Była to je-



Józef Piłsudski w 1916 r. w czasie walk na Wołyniu.

dnak obłudna, na papierze tylko dana obietnica. Uczyniły ją Niemcy w celu zjednania sobie Polaków i ich woźdza, aby uzyskać pomoc w postaci większej ilości żołnierzy polskich. Omylili się jednak w rachubach. Komendant Piłsudski przewidział tę politykę i zapowiedział Niemcom, że nie odda im polskiego żołnierza i że wojsko może tworzyć tylko dla Polski rzeczywiście niepodległej. Równocześnie jednak, w myśl swego zasadniczego planu, wykorzystuje Komendant istnienie P.O.W. nakazując zwiększenie jej szeregów jako tajnego wojska polskiego.

Niemcy, chcąc uniemożliwić Piłsudskiemu tworzenie niezależnego wojska polskiego, aresztują Go i wywożą wraz z szefem sztabu, Kazimierzem Sosnkowskim do więzienia w Magdeburgu — w lipcu 1917 roku. Tam, w zupełnym odosobnieniu, pozbawiony wszelkiego zetknięcia ze światem przesiedział Komendant przeszło rok. Duch Jego jednak z za murów pruskiego więzienia krzepił naród polski nadzieją zwycięstwa.

Pogrom Niemiec w wojnie światowej i rewolucja uwalnia Komendanta z więzienia. Dnia 10 listopada 1918 roku wraca On do kraju. Wszystkie oczy i wszystkie serca zwracają się ku Niemu z wiarą, że tylko On jeden wyprowadzi naród z chaosu. Cały naród też uznaje go za naczelnika państwa. Natychmiast wysyła Piłsudski do wszystkich państw Europy i Ameryki oświadczenie o powstaniu niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej i żąda uszanowania jej granic i równorzędnego stanowiska z innymi państwami.

„Gdy stanąłem na ziemi polskiej — mówi sam Piłsudski — zdecydowałem natychmiast wyprzedzić wszystkich w Europie w pracy budownictwa państwo-



Nad Stochodem w 1916 r. — dekoracja „za wierną służbę”.

wego wśród ogólnego chaosu. Ześrodkowałem wszystkie swoje wysiłki”...

A wysiłku trzeba było olbrzymiego. Kraj był zupełnie zrujnowany, wyniszczony przez wojnę, ogłodzony, fabryki zostały pozbawione maszyn, setki tysięcy bezrobotnych cierpiały nędzę i głód. Po miastach i wioskach zostały zgłiszcza, w skarbie były pustki. A przede wszystkim brak regularnego wojska. Powołuje więc Naczelnik Peowiaków, których na wezwanie stanęło w całym kraju 50.000 i wysyła na wszystkie fronty, dla obrony zagrożonych granic od wschodu, zachodu i południa. Na wiosnę 1919 roku jest już 170.000 gotowych do walki żołnierzy i w lecie tego roku odrzucamy Rosjan daleko na wschód.

W kwietniu i maju 1920 roku Naczelnny Wódz, uprzedzając bolszewików w ich zamiarach zagarnięcia

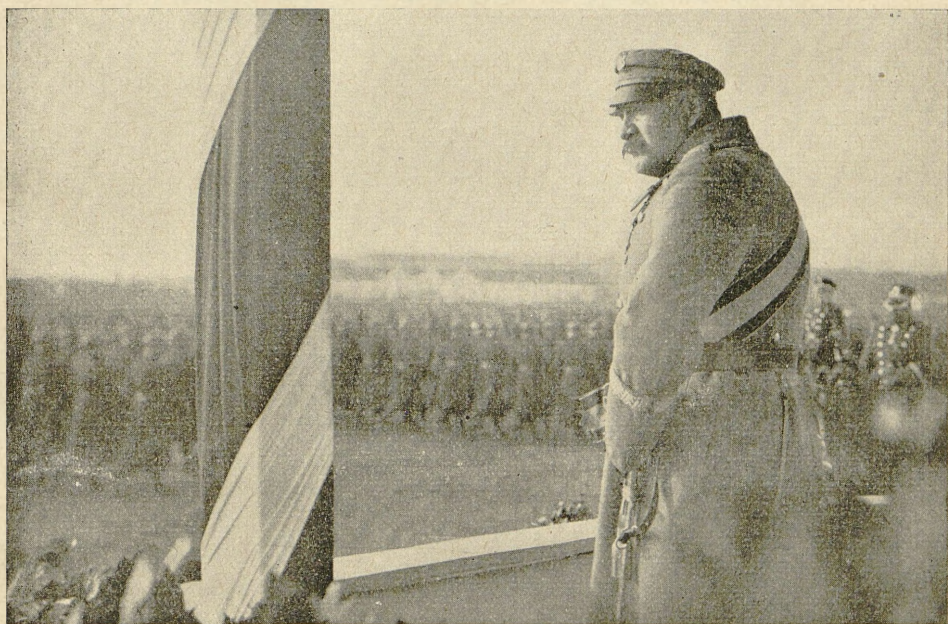


Rok 1920 — przemarsz wojsk na front przed naczelnym wodzem
Józefem Piłsudskim.

ponownie naszego kraju wyrusza przeciw nim i zajmuje prawobrzeżną Ukrainę wraz z Kijowem. Siły bolszewików, przygotowane do najazdu na Polskę, są jednak zbyt duże i musimy się cofać aż pod Warszawę. Bolszewicy głoszą już swoje pełne zwycięstwo, ale geniusz wojenny Piłsudskiego znowu ocala Polskę. Opracowuje On plan bitwy (którą później nazwano „cudem nad Wisłą”) i wprowadza go w czyn zadając straszliwą klęskę bolszewikom, którzy muszą prosić o pokój.

Józef Piłsudski kończy wojnę jako zwycięzca, wojsko ofiarowuje Mu buławę marszałkowską. Odtąd ma tytuł Pierwszego Marszałka Polski. Kraj może odechnąć, ale dla Marszałka nie ma dalej wytchnienia. Pracuje od rana do nocy i dzięki tej wytężonej pracy zdołał przez cały szereg swoich niezmiernie mądrych,

celowych zarządzeń wyprowadzić kraj na drogę rozwoju i dobrobytu. Dla siebie nie chce niczego. Nie przyjmuje kilkakrotnie proponowanego Mu stanowiska prezydenta Rzeczypospolitej. Usuwa się z widowni życia politycznego, ale nadal czuwa nad Polską. Kiedy zaś widzi, że znowu zaczyna być źle w kraju z powodu wewnętrznych waśni — wychodzi w maju 1926 r. ze swego skromnego domku w Sulejówku i przy pomocy swego wiernego wojska ustala porządek i ład w państwie. Sam jak zwykle usunął się od rządów naczelnym zatrzymując dla siebie stanowisko ministra spraw wojskowych, ale wywierał potężny wpływ na wszystkie sprawy państwowe. I aż do dnia zgonu Swego nie ustawał w tej pracy, by zapewnić państwu bezpieczeństwo i międzynarodowe znaczenie.



Fot. W. Pikiel

Defilada wojska polskiego przed swoim Twórcą w święto dziesięciolecia odzyskania Niepodległości.

„Niech przeto nie myśli wróg żaden czy nieprzyjaciół, że ziemię naszą znaleźć może bezbronną. Staniemy żołnierze jak zawsze jeden obok drugiego, by dać za ojczyznę życie”... mówił Marszałek.

.

Dnia 12 maja 1935 roku utrudzone serce Marszałka przestało bić. Pochowany jest Pierwszy Marszałek Polski, Józef Piłsudski, na Wawelu w Krakowie. Między królewskimi trumnami stoi Jego trumna. Serce Swe rozkazał złożyć na cmentarzu wojskowym na Rossie w Wilnie wśród wiernych swoich żołnierzy, a u stóp Swej Matki — Tej co Go kochać Polskę nauczyła.

Na przykładzie tej wielkiej miłości — uczmy się żołnierze kochać ojczyznę tak, jak On ją kochał.

NA STRAŻY WOLNEJ OJCZYZNY

MA LIBRARY WORLD CIRCULAR

WÓDZ NACZELNY MARSZAŁEK POLSKI EDWARD ŚMIGŁY-RYDZ

Buławę Wodza Naczelnego piastuje obecnie marszałek Polski, Edward Śmigły-Rydz. Twórca wojska naszego i budowniczy odrodzonej Rzeczypospolitej — Józef Piłsudski, umierając, w jego ręce oddał wodzowstwo. Dlaczego tak się stało, dlaczego właśnie generała Śmigłego, a nie kogo innego wyznaczył po sobie Marszałek? Gdy się usłyszysz historię życia dzisiejszego naszego Naczelnego Wodza, gdy się rozważy czyny, jakich dla Polski dokonał, każdy łatwo zrozumie, że inaczej być nie mogło.

Już przed wielką wojną, w której wziął udział niemal cały świat, to jest przed rokiem 1914, pracował obywatel Śmigły nad przygotowaniem kadry przyszłego wojska polskiego. Józef Piłsudski założył w tym celu Związek Strzelecki i w tym związku obywatel Śmigły był jednym z najgorliwszych pracowników.

Rozpoczyna się wielka wojna. Strzelcy pod komendantem Piłsudskim wyruszają do walki o Polskę. Jest tych strzelców niewielu, ale wierzą mocno, że wkrótce będzie ich więcej. Kiedy utworzono z nich pierwszy batalion, dowódcą jego zostaje major Śmigły. Działo się to już po wkroczeniu strzelców do zaboru



Pułkownik Śmigły-Rydz w 1916 r.

rosyjskiego, pod Kielcami. Batalion ten później nazwano trzecim. Z tym batalionem rozpoczyna swą służbę w polu major Śmigły i odtąd rozpoczyna się też jego sława.

Batalion idzie z bitwy do bitwy, jak to zwykle na wojnie i wkrótce wszyscy widzą, że jest z batalionów strzeleckich najlepszy. W bitwie pod Anielinem batalion bije się mężnie, ale pod przewagą Moskali musi się wycofać. Nadchodzi wieczór, dowódca batalionu zbiera ludzi i wraca w ciemności na pobojowisko po

swoich rannych. Nie zostawi ich w rękach wroga. Od tej pory każdy żołnierz batalionu wie, że go z bitwy rannego wyniosą. Wierzy w swego dowódcę. Idzie też za nim starając się naśladować jego odwagę.

W słynnym przemarszu z Wolbromia do Krakowa przez Ulinę Małą, przemykając się między korpusami rosyjskimi, III batalion idzie ze swym dowódcą w straży przedniej. Marsz ten opisał sam marszałek Piłsudski.

Kiedy Legiony przechodzą po wyparciu Austriaków z Królestwa na Podhale, tam III batalion zyskuje nową sławę. Gdy w grudniu 1914 r. Komendant tworzy pułki, to pierwszy pułk otrzymuje znów major Śmigły.

Rok 1915 spędza on ze swym pułkiem w walkach z początku w kieleckim, następnie w pościgu za odchodzącymi



Nad Styrem — płk. Śmigły-Rydz ze swym koniem „Lalką”.

Moskalami przemierza lubelskie i dochodzi na Wołyń. Tu w jesieni, jako dowódca brygady, złożonej z dwóch pułków, w bojach między Styrem i Stochodem nową chwałą okrywa Legiony. Mówi o tym w pochwalnych rozkazach komendant Piłsudski, dziękując podpułkownikowi Śmigłemu „za niezwykle męstwo i spokój w największym niebezpieczeństwie, za siłę woli i hart wykazany w tych chwilach”, za to, że jego żołnierz „nie ugiął się przy spełnianiu zadania przewyższającego znacznie siły moralne przeciętnego żołnierza”.

Od początku powstania Legionów aż do ich końca dowódca I pułku zawsze jest z nimi. Kiedy w roku 1917 Komendant zostaje wraz ze swym szefem sztabu, pułkownikiem Sosnkowskim, uwięziony, a legioniści po odmówieniu przysięgi na wierność Austriakom i Niemcom idą w rozsypkę, wtenczas pułkownik Śmigły staje na czele Polskiej Organizacji Wojskowej (P. O. W.). Jeżeli nie możemy mieć jawnie wojska, trzymajmy je chociaż w ukryciu. Prędzej czy później Niemcy zostaną pobici albo osłabną, a wtenczas trzeba będzie mieć siłę, żeby ich z Polski przepędzić. Narazie P. O. W. zbiera te siły, uczy młodzię wojny i prowadzi akcję dywersyjną niszcząc tory kolejowe, sieć łączności, napadając na transporty i kasy okupantów.

Zbliża się dzień klęski Austrii i Niemiec. Pobite przez sprzymierzone narody muszą one prosić o pokój. W Polsce P. O. W. gotowe do powstania rozbraja najpierw Austriaków. Kiedy Józef Piłsudski wraca z Magdeburga, wita go generał Śmigły jako dowódca oddziałów. Następuje wnet rozbrojenie Niemców. Ledwie z nimi sobie poradziliśmy, a już bolszewicy po-

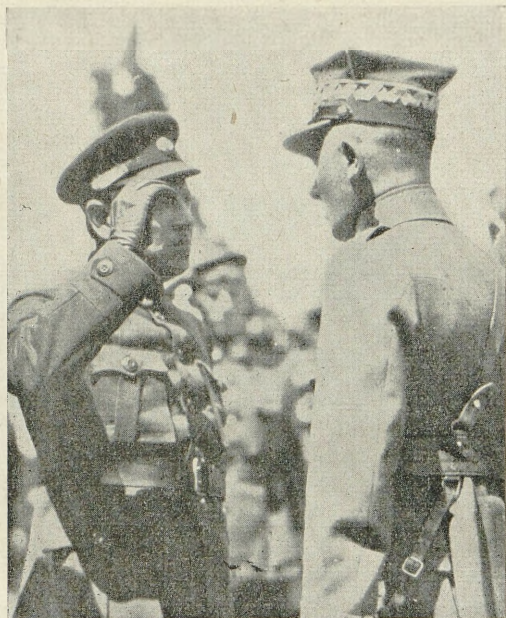


Rok 1916 — w chwilach wolnych od walki: komendant Piłsudski
i płk. Śmigły-Rydz na zawodach piłki nożnej.

czynają do nas włączyć. Generał Śmigły wyrusza zaraz też w pole, z którego zejdzie dopiero po ukończeniu wojny.

Początkowo walczy na Wołyniu prowadząc grupę „Kowel”. W kwietniu 1919 roku rusza z 1 dywizją Legionów na Wilno. Na Wielkanoc miasto zostaje zdobyte. Wilno miłe znów jest nasze. Wielka radość jest wtedy w całej Polsce. Przez lato walczy generał na Wileńszczyźnie i odrzuca bolszewików aż po rzekę Dźwinę na północy.

W zimie 1920 roku, dowodząc dwoma dywizjami naszymi i wojskiem łotewskim, w czasie trzaskających mrozów zdobywa generał Śmigły stutysięczne miasto Dyneburg nad Dźwiną. Stąd idzie na wschód wzdłuż tej rzeki i oswobadza od Rosjan kraj zwany Letgalią,



Rok 1920 — gen. Śmigły-Rydz i ataman Petlura.

dawne polskie Inflanty, które otrzymuje Łotwa. Do wiosny przebywa tu generał na straży zdobytego kraju i dopiero na wiosnę jego dywizja zostaje przewieziona na południe.

Tu na południu, z Wołynia ma się rozpocząć nasze natarcie dla wyrzucenia bolszewików z Ukrainy. W tym natarciu I dywizja szybkimi marszami dochodzi do rzeki Dniepru i zajmuje Kijów w dniu 8 maja 1920 r.

Ale Ukraińcy nie dość poparli naszych, bolszewicy zebrali większe siły i otoczyli armię generała Śmigłego. „Czerwona armia konna” licząca 20.000 ludzi przedostała się na nasze tyły. Rosjanie byli pewni, że całą armię wraz z generałem Śmigłym wezmą do niewoli, ale



Naczelny Wódz, Józef Piłsudski i gen. Śmigły-Rydz
na froncie w roku 1920.

przeliczyli się. Generał Śmigły najspokojniej stał w Kijowie, dopóki nie otrzymał rozkazu od Wodza Naczelnego, żeby się wycofał. Odchodzi więc. W bitwie pod Borodziańką pobił Rosjan i przedarł się przez nich. Szli za nim i przed nim, ale generał walcząc i odpierając ataki wyprowadził wszystkie swoje wojsko i tabory.

Szczęście sprzyjało tu bolszewikom; „konna armia” na razie uszła też cało z rąk generała Śmigłego, choć na nią zastawiał pułapki. Później jednak wykończyli ją nasi żołnierze.

Na razie jednak na całym froncie Polacy odchodzili i doszli aż do Wisły. Tu Wódz Naczelny postanawia odwrócić karty i z kolei uderza na bolszewików, którzy pchają się na Warszawę. W wielkiej bitwie, która trwała kilkanaście dni, od 16 sierpnia poczynając, generał Śmigły miał główne zadanie. Ze swą armią

wyszedł z nad Wieprza i uderzył na tyły i skrzydło Rosjan. Ci nie wytrzymali i poczęli uciekać przez pół Polski aż do Grajewa do granicy z Prusami Wschodnimi. Ścigał ich generał Śmigły ze swoją armią rozbijając czerwone dywizje jedną za drugą. W tej wielkiej bitwie zdobyła armia generała Śmigłego kilkanaście tysięcy jeńców i 100 armat oraz tysiące karabinów maszynowych.

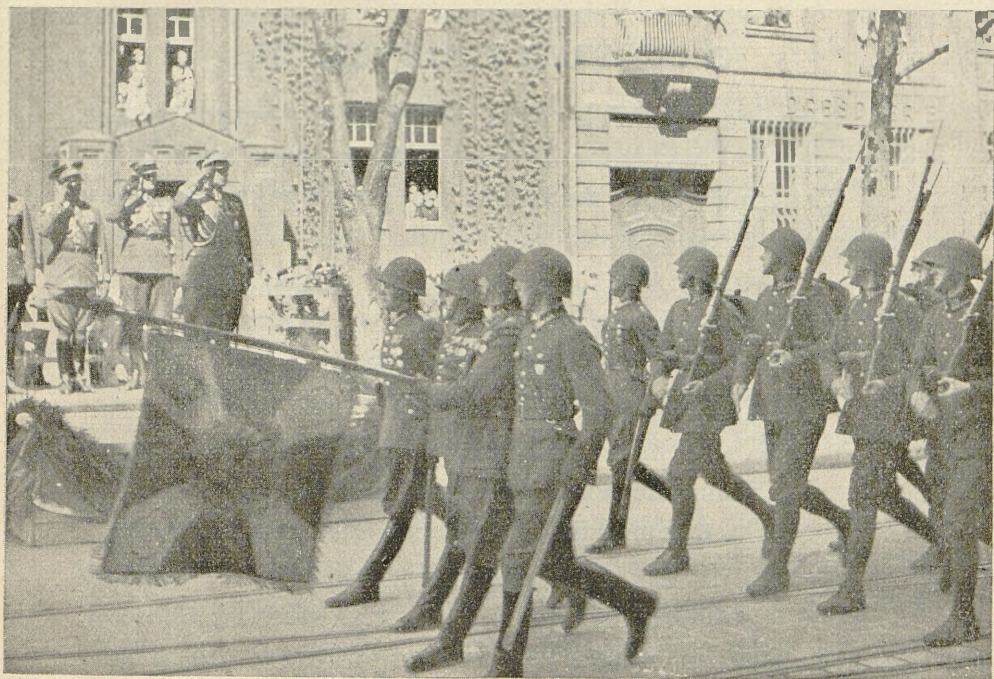
Po tej wielkiej klęsce Rosjanie zebrali, co mogli, i pragnęli znów rozpocząć natarcie. Marszałek Piłsudski wydaje im wtedy znów bitwę nad Niemnem. W tej bitwie tak samo generał Śmigły ma zadanie najważniejsze. Ze swoją armią zachodzi na skrzydło bolszewików i uderza na położone na tyłach Rosjan miasto Lidę. To zapewnia nam zwycięstwo. Wojska nasze ścigają czerwonych aż do linii dzisiejszej granicy, gdzie się zatrzymują. Rosjanie, nie mając możliwości zebrania nowego wojska przed zimą, bo już jest jesień, godzą się na pokój.

Z przeglądu czynów generała Śmigłego widzimy, że przez siedem lat wojny był on używany przez marszałka Piłsudskiego do wykonywania zawsze prac najtrudniejszych i że prace te z chwałą wielką dla siebie i sławy imienia polskiego oraz dla pożytku narodu wykonywał. Gdy było mało wojska — batalion, dowodził tym batalionem, gdy nas stać już było na armię — dowodził armią albo i frontem.

To też marszałek Piłsudski, odchodząc na zawsze, swoje zastępstwo mu zostawił, a Pan Prezydent Rzeczypospolitej w uznaniu jego zasług i odniesionych wielkich zwycięstw nadał mu dnia 10 listopada 1936 roku godność Marszałka Polski.

Należy marszałek Śmigły-Rydz do tych ludzi, którzy pragnęli Polski wielkiej i szedł wszędzie tam, gdzie była okazja do pracy dla jej dobra. Bił się za jej wielkość i za honor żołnierza polskiego. Zyskał uznanie całego narodu i miłość u swoich żołnierzy, którzy go widzieli przy pracy bojowej. Widzieli jego męstwo i oddanie się sprawie, i nieoszczędzanie, gdy trzeba było, własnego życia. Stąd też, gdy dzisiaj jest Wodzem Naczelnym i gdy prowadzi całe wojsko, wszyscy wiedzą, że nikt inny tylko on właśnie najbardziej jest tego dowodzenia godzien, jako ten, co najwięcej dokonał.

Wierzy w niego cały naród i żołnierz. A od żołnierza, podobnie jak od siebie, Wódz Naczelny wy-



Fot. W. Pikiel

Naczelny Wódz, gen. Śmigły-Rydz, w Katowicach dnia 3 maja 1936 —
w rocznicę powstania śląskiego.

maga, żeby to, co robi, robił dobrze. Mówi Wódz Naczelny: „Każda czynność nawet najdrobniejsza musi być wykonana z całym przejęciem, jak gdyby od jej wykonania wszystko zależało. Gdy strzelec czyści konia, to powinien to robić tak dobrze, jak gdyby od tej czynności dobro Polski zależało. Gdy czyści rysztniek, karmi lub poi konia, czyści karabin, to niech robi to tak, jak gdyby to była jedna z najważniejszych spraw. Gdy patrol idzie na zwiady, to musi pracować z takim przejęciem i dokładnością i oddaniem, jak gdyby zwycięstwo całej armii od tej pracy zależało”.

Gdy tak wszyscy robić będą, wówczas naszym będzie zawsze zwycięstwo. Pamiętajcie o tych słowach Naczelnego Wodza, żołnierze!

O CNOTACH ŻOŁNIERSKICH

Strzelec Wójcicki stał w świetlicy przed tablicą i odczytywał wypisane na niej „cnoty żołnierskie”.

Godzinę temu skończyła się pogawędka dowódcy kompanii o tych cnotach.

Miłość Ojczyzny. Honor. Wierność.

Odwaga i waleczność.

Moralność i religijność.

Karność i posłuszeństwo.

Koleżeństwo i braterstwo broni.

Samodzielność i przedsiębiorczość.

Prawdomówność i powściągliwość w mowie.

— Która ci się najwięcej podoba? — zapytał Wójcickiego jego przyjaciel, starszy strzelec Nalepa.

— Czy ja wiem? — Trudno wybrać, bo chyba wszystkie są jednakowo ważne. Nie?

— Masz słuszość. Ale przecież.

— Chyba — namyslał się Wójcicki — chyba honor żołnierski.

— A dlaczego?

— Poczekaj! Nie tak łatwo odpowiedzieć. Sam już nieraz o tym myślałem. Rozumieć — rozumiem, ale słowami to wyrazić — jakoś nie idzie.

W tej chwili podszedł do nich kaprał Walczak zaciekawiony, o czym też chłopcy rozpowiadają stojąc tak przed tablicą.

— O co chodzi? — zapytał.

Nalepa opowiedział o swej rozmowie z Wójcickim.

— Ano, rzeczywiście, sprawa niełatwa — rzekł kaprał.

— Już wiem! — wykrzyknął Wójcicki.

— No? Mów!

— Tylko nie śmieście się, jak głupstwo palnę. Otóż tak sobie myślę, że honor żołnierski dlatego bym wybrał, że w tej cnotcie mieszczą się wszystkie inne.

— Jakże to? — spytał Nalepa — w jednej mieszczą się wszystkie?

— Kazałeś mi wybierać jedną najważniejszą, więc według swego rozumienia wybrałem taką, żeby najwięcej znaczyła. Bo i posłuchaj. Pierwsza cnota miłość ojczyzny. Czyż może być honor żołnierski bez ukochania swego kraju?

— Dawniej tak bywało — odezwał się kaprał — w dawnych czasach żołnierze wynajmowali się różnym krajom i różnym wodzom. Pewnoś czytał w „Ogniem i mieczem”, czy też w „Potopie” o najemnej piechocie niemieckiej, albo węgierskiej? Taki żołnierz nie

służył swemu krajowi, tylko swemu wodzowi i za to pobierał żołd. Nie miłość Ojczyzny nim powodowała, ale poprostu pieniądź, za który służył.

— Ale wojska najemne też musiały mieć swój honor żołnierski — spytał Nalepa.

— A tak — odpowiedział kapral — honor i męstwo ceniły sobie najwięcej i dlatego to było dobre wojsko.

— No, to na moje wychodzi — powiedział Wójcicki.

— Niby tak i niby nie — oceniał kapral — prawda, że honor to bardzo ważna rzecz, ale tyleż samo trzeba cenić i miłość ojczyzny. Nie potrzebuję wam dużo gadać przecież; ale przypomnijcie sobie, że Żółkiewski, Sobieski, Czarniecki, Poniatowski, Piłsudski byli dlatego wielkimi Polakami, że nad wszystko ukochali ojczyznę.

— Ja też tak myślę — wtrącił Nalepa — że te obie cnoty są najważniejsze, bo na chorągwiach są wypisane słowa „Honor i Ojczyzna”. Wiadomo też, że dwa palce przykładane do daszka czapki przy salutowaniu mają te dwie cnoty przypominać.

— No! Zgoda — mówił Wójcicki — przekonaliście mnie. Ale przyznacie, że trudno pomyśleć o honorowym żołnierzu, żeby nie był równocześnie wierny, karny, posłuszny, mężny i koleżeński i żeby nie był porządnym i uczciwym, to znaczy moralnym, ażeby nie kłamał i żeby uważał na to, co mówi i nie plótł, co mu ślina na język przyniesie? No nie?

— Tu masz słusność — przyznał kapral — każdy dobry, to znaczy honorowy żołnierz, musi wiedzieć na ten przykład, że bez karności i posłuszeństwa wojsko by się rozlało na nic. Jedni by chcieli robić to, inni tamto i niktby do ładu nie doszedł.

A już najgorzej na wojnie. Była w Polsce taka wojna co ją „kokoszą” przezwano, dlatego właśnie, że wszyscy radzili, ale nie było takich, coby chcieli słuchać. Aż wreszcie zamiast iść bić nieprzyjaciela, wszyscy się do domów porozchodzili. Tak samo jest i z męstwem. Tchórzów się wróg nie zleknie, tylko dzielnych i morowych żołnierzy, co do bitki — jak to mawiano w dawnej Polsce — jak w dym pójda.

— Ale i koleżeństwo, to nie bagatelna sprawa — wtrącił Nalepa — pamiętacie, jak to ładnie mówił o nim pan generał, dowódca dywizji, kiedy był ostatnio w naszej kompanii na inspekcji w czasie pogadanki? Taka drużyna, czy pluton, czy też kompania, w której jest dobre koleżeństwo, będzie jak mur twarda. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! Żaden nie opuści swego kolegi, choćby w najgorszym niebezpieczeństwie. Każdy oddział inaczej będzie się bił, kiedy każdy żołnierz będzie wiedział i czuł, że zawsze przyjdą mu koledzy z pomocą. I na patrolu i w natarciu zaopiekują się nim, kiedy zostanie ranny. I wogóle będzie morowo w oddziale, który wie, co to „sitwa”. No nie?

— Nie ma nawet o czym gadać! — przytaknął kapral — to się samo przez się rozumie. Wiadomo, że nawet cygan dał się dla „sitwy” powiesić.

— Aleś ty łebski chłopak! — zwrócił się do Wójcickiego — Dobrześ pokombinował.

„Zarówno w najradośniejszych, jak najcięższych chwilach żołnierz musi być opanowanym i zrównoważonym, zdolnym do wykonania swego zadania w porządku i dokładnie“.

Józef Piłsudski

ZŁY i DOBRY KOLEGA

Od rana gwałt był w kompanii. Stwierdzono, że jeden ze strzelców (przykro nawet jego nazwisko wspominać) od pewnego czasu stale kolegów okrada. To z bielizny coś ściągnie, to z jedzenia; ostatnio buchnął komuś pasek do brzytwy. Na tym go złapano. Naturalnie, winowajca poszedł do paki, a dowódca kompanii zarządził zbiórkę, żeby z chłopcami o tej sprawie pomówić. Zbiórkę wyznaczono w świetlicy.

Dowódca kompanii przyszedł chmurny i zły. Przywitał się ze strzelcami krótko i powiedział:

— Zły to ptak, co swoje gniazdo kala. Wstyd nam, że przez jednego złodzieja hańba pada na nas wszystkich, na porządnym i uczciwych żołnierzy. Muszę wam tu mówić i powtarzać to, czego was ojciec, matka uczyli, co wam nieraz powtarzano w szkole i w kościele. „Nie kradnij!” to jest Boskie przykazanie; bez niego żyć by na świecie nie można.

Jakeście byli mali, dawała wam matka po kawałku chleba. To była wasza pierwsza własność. Mogliście ją zjeść, mogliście się z innym dzieckiem podzielić. Ale cóżby było, gdyby przyszedł mocniejszy lub sprytniejszy chłopak, chleb wam zabrał i sam go zjadł? Tobo była kradzież.

Potem dostaliście tę koszulę na grzbiet, potem kurtę, czapkę na głowę, buty na nogi. To znowu było wasze. Kiedy z wojska wrócicie, rodzice was majątkiem obdzielą, dla was na własność, jeżeli mają majątek. Jeżeli nie, inaczej pracować będziecie, i to, co zarobicie, będzie wasze. Nikt nie będzie miał prawa

gwałtem lub podstępem wam tego zabrać, bo to byłaby kradzież.

Tak jest i u nas, i na całym świecie. Na tym polega porządek, którego bronią przepisy i prawo.

A bywa i tak, że własność nie należy do jednego człowieka, ale do kilku, kiedy na przykład paru gospodarzy kupi sobie razem maszynę, wtedy to jest spółka. Albo ta broń i ta odzież, co ją tu w wojsku nosicie... Ani ona moja, ani wasza, ale należy do wojska, do rządu, do całej Polski. Byłoby wielkim grzechem, gdyby kto chciał ją sobie przywłaszczyć, bo ona służy na wspólny pożytek całego państwa.

Widzicie teraz, co to jest własność. Swoją — rozporządzacie sami; wspólną rozporządzają ci, którym została powierzona i muszą z niej zdawać rachunek. Widzicie także, jakim przestępcą jest nieuczciwy człowiek, który ten porządek psuje. Zasługuje on na karę i zawsze, prędzej czy później, ją otrzyma, jak choćby ten gałgan, co teraz siedzi w areszcie. Będzie on sądzony nie tylko za to, że ukradł, ale bardzo surowo, bo okradł kolegów.

Kolega — to wielkie słowo. Kolega — to prawie jak brat albo inny najbliższy człowiek. Z kolegą razem mieszkasz, razem się uczysz i pracujesz. Kolega w potrzebie tobie pomoże, albo ty jemu. Kolega ma do ciebie zaufanie, jak do brata, więc jeżeli go skrzywdzisz, to jest to podwójny grzech.

Wolno przyjść do kolegi i poprosić: — Podziel się ze mną tym, co masz, a ja ci się kiedyś za to odwdzięczę. Ale nie wolno bez pytania gospodarować w jego skrzynce jak w swojej. Gdyby było inaczej, to czy moglibyście wyżyć tu razem, w koszarach?

Dobry człowiek nieraz bliźniego wesprze, dopomógł, obdaruje, ale, by mógł to zrobić, musi wiedzieć, że mu jego mienia nikt gwałtem nie zabierze. A między kolegami, zwłaszcza z wojska, często pozostaje przyjaźń na całe życie, większa nawet niż między krewnymi. Pamiętajcie więc: przede wszystkim szanować cudzą własność. Wziął czy ukradł — to to samo, i nie tylko ten, co zabiera pieniądze, jest złodziejem. Po drugie — pamiętajcie, żeście koledzy, którzy muszą się wspomagać, a nie krzywdzić. Po trzecie — że dobrzy koledzy z wojska potem, w cywilu, są i innym ludziom mili, i między sobą przyjaciółmi. Bo wojsko uczy ich pospólnego życia, rzetelności i koleżeństwa.

A złodziei — żeby więcej nie było, bo to zakąła i wstyd dla kompanii!...”

Wstyd było wszystkim naprawdę za tego jednego złodzieja i złego kolegę. Ale już potem kradzieży w kompanii nie było.

O GODNOŚĆ MUNDURU

— A to nierogate stworzenie! Żeby go kule były!

— Niechże go kaczki zdziobią! — klął siarczyście strzelec Lipski ze swym towarzyszem Ogarkiem.

Właśnie powracali na apel do koszar, gdy w pewnej chwili zobaczyli swego kolegę (do diabła z takim kolegą), który szedł środkiem ulicy i zataczał się od rogu do rogu.

— Ależ się wysmarował, cała ulica jego!

Chłopcy klęli i pomstowali, ale swoją drogą zrobili, co do nich należało. Podbiegli do pijanego żoł-

nierza, wzięli go mocno między siebie i tak poprowadzili do koszar, gdzie go oddali podoficerowi służbowemu.

W koszarach dopiero ruch się zrobił. Rzadko przecież bywa, żeby któryś z żołnierzy tyle wstydu całej kompanii, ba! — całemu pułkowi, narobił. I to prawie u progu służby żołnierskiej, kompania bowiem dopiero co skończyła wyszkolenie rekruckie.

— Pies mu głęę lizał! — wymyślał któryś — żeby jucha munduru nie szanował.

— O widzicie! Tuście w sedno trafili — odezwał się sierżant-szef — macie słuszość. Kieps ten żołnierz, który munduru nie szanuje, jak należy.

— Słyszałeś? — szepnął strzelec Kijok do swego instruktora, starszego strzelca Józwy. — Swoją drogą przyznam ci się, że choć rozumiem, co to znaczy „splamić mundur”, nie potrafiłbym tego objaśnić.

— To nie taka trudna sprawa — mówił Józwa — każdy postępek niegodny żołnierza plami mundur.

Czy żołnierz upije się, czy awanturę robi, czy nawymyśla komu. Tak samo jeśli nie będzie pełnił służby wartowniczej jak należy, przedłuży samowolnie urlop, nie usłucha przełożonego, nie wykona rozkazu, nie będzie się zachowywał na urlopie, jak żołnierzowi przystoi, jeśli stchórzy na wojnie. We wszystkich tych wypadkach splami mundur.

Kijok podziękował starszemu koledze, ale jeszcze mu się widziało, że niedobrze rozumie. To też któregoś dnia, wspólnie z kilku innymi, poprosili pana porucznika, dowódcę plutonu, żeby im wytłumaczył na czem polega splamienie munduru.

— Powiedzcie mi chłopcy — mówił pan porucznik — czy szanowalibyście takiego człowieka, który by mogąc się porządnie i czysto ubrać stale chodził w brudnym, niepołatanym, wyplamionym ubraniu?

— Juści nie — odezwał się któryś.

— A dlaczego?

— Bo — namyślał się Kijok — bo taki człowiek samego siebie by nie szanował.

— Otóż widzicie — ciągnął oficer — o to chodzi. Jednakowoż ten brak szacunku odnosiłby się tylko do jednego człowieka. Nie mielibyście powodu nie szanować jego członków rodziny, czy znajomych. Ale inaczej jest z żołnierzem. Wszyscy żołnierze noszą jednakowe mundury. Kiedy któregoś z was zobaczą w brudnym, poobrywanym mundurze to nie powiedzą, „Kijok, czy też Walicki, lub Wawroś jest brudas”, tylko powiedzą: „żołnierz jest brudas”. Ponieważ wszyscy jesteśmy w jednakowych mundurach, trudno odróżnić jednego żołnierza od drugiego. I tak miano brudasza przyłgnie do wszystkich.

— Stokroć jednak gorzej, gdy taka niepochlebna nazwa odnosi się nie do zewnętrznego wyglądu człowieka, do jego ubrania, ale do jego wartości jako człowieka. Takiego człowieka, który się upija, nie chce pracować, kradnie, oszukuje, nikt nie będzie szanował. Wszyscy się odwrócą od niego, wszyscy będą nim pogardzali.

— Tak samo, a raczej jeszcze gorzej jest z żołnierzem. Wszystkie jego złe, niegodne, niehonorowe postęпки spadają na nas wszystkich, bo wszyscy nosimy taki sam mundur. Niehonorowy uczynek plami więc nie tylko tego żołnierza, który go popełnił, ale wszyst-

kich tych, którzy, tak jak on, taki sam mundur noszą. Wszystkie mundury są do siebie podobne. Dlatego hańba brzydkiego czynu spada na nas wszystkich i płami nasz wspólny mundur.

A trzeba pamiętać, że to niebylejaki mundur! W nim mamy spełnić najbardziej zaszczytny obowiązek, jaki może przypaść obywatelowi w udziale, to jest bronić naszego państwa. Nosili go ci, którzy polegli w walce o wolność naszego kraju. Na tym mundurze są więc ślady krwi i przebytych na wojnie trudów. Ten sam mundur przywdziewają nasi najwyżsi wodzowie, którzy walczyli o Polskę. Ten sam mundur nosił marszałek Piłsudski.

Godzi się więc plamić ten piękny i zaszczytny mundur?

— Nie! — odpowiedzieli zgodnie chłopcy.

— Rozumiecie teraz, co to znaczy plamić mundur?

— Rozumiemy, panie poruczniku.

— Pamiętajcie więc, chłopcy, że na nasz mundur patrzą oczy wszystkich obywateli i że swoim niehonorowym postępkami przynosicie wstyd nie tylko sobie, ale wszystkim swoim — wielu, wielu tysiącom kolegów.

„Czy w ogniu na polu bitwy, czy w obcowaniu z otoczeniem oficer i żołnierz ma się zachowywać tak, by w niczym na szwank nie narazić honoru munduru który nosi, honoru sztandaru, który nas skupia“.

Józef Piłsudski

PIOSENKA ŻOŁNIERSKA

— Pieśń żołnierska — wielka rzecz:
Za chleb starczy i za miecz,
Za pieszczotę dziewczyny
I za uścisk matczyny.
Polsce niesiemy śpiew,
Życie i krew!...

Tymi słowami zaczął plutonowy Zięba przemowę do tych żołnierzy, których wybrał z kompanii i których postanowił nauczyć śpiewać.

Zięba sam lubił i umiał śpiewać. Dobrym śpiewakiem był jeszcze w szkole powszechnej. Zostawszy w wojsku wydoskonalił się w śpiewie i dbał o to, aby jego kompania najlepiej śpiewała.

— Słuchajcie chłopcy — mówił dalej — nieraz się słyszy skargi na to, że kompania zmęczona, gdy z ćwiczeń wraca, ledwo nogi za sobą ciągnie, a tu każą śpiewać! Komu tam się chce! Byłe do koszar prędzej!...

— Tak nie jest! Ze śpiewem lepiej się idzie; same nogi w takt się podnoszą. Jak człowiek śpiewa, a jeszcze ładną piosenkę, zapomina o troskach, o przykrościach, bawi się tym swoim śpiewaniem. Dobrzy ludzie lubią śpiewać; tylko mruki nigdy nie śpiewają.

Idzie się czasem na manewrach: marsz długi, ciężki, deszcz siąpi, kiszki marsza grają... To nic! Jak się żołnierz rozśpiewa, jak piosenka jedna drugą goni — to zaraz lżej, weselej, przyjemniej. I człowiek dzielniejszy się robi, gotów do wszystkiego.

Mówią niektórzy, że my, Polacy, nie potrafimy dobrze śpiewać. To nieprawda! My tylko śpiewamy

inaczej niż inne narody, po swojemu, ale u nas tak samo śpiewa się chętnie i dużo. Mamy i krakowiaki, i kujawiaki albo oberki, i mazurki, i dumki, i inne pieśni. Główna rzecz żeby pamiętać, co w domu śpiewają, tych starych, ładnych pieśni nie zapominać.

Są też pieśni wesołe i swawolne, którymi się zabawiać i ucieszyć zawsze można. Trzeba je także śpiewać, byle były przyzwoite, nie miały w sobie brzydkich słów, bo choć żołnierz nie panna, ale trzeba dbać i o cudze uszy; nieraz przecież i inni pieśń żołnierską słyszą.

Najważniejsze, żeby nie śpiewać tych różnych, miejskich przeważnie piosenek, które wzięły się niewiadomo skąd, ani sensu w sobie nie mają, ani ładnej melodii. A nieraz żołnierze upierają się, żeby je śpiewać. Zdaje im się, że jak pieśń z miasta — to już lepsza. A to nieprawda, tak samo, jak miejski kubrak nielepszy jest od sukmany.

Ej, radość to, radość, kiedy oddział z pieśnią do miasta albo do wsi wchodzi! Ludzie z okien wyglądają, zbierają się na ulicy — a tu dziarskim krokiem piechota maszeruje w takt wybijając pieśni! Albo kawaleria nadjeżdża na koniach, a one, choć zdżozone, też pieśń rozumieją, zwawiej idą!... Brzmi pieśń nie obca, ale swojska, polska, nasza, dla wszystkich zrozumiała, wszystkim miła... Aż potem długo ludzie tę pieśń powtarzają, a i nam samym na zawsze, do starości, pieśń ta w uchu zostanie.

Rozumiecie teraz, chłopaki — kończył plutonowy Zięba — dlaczego w wojsku śpiewamy: dla siebie, dla innych, dla wesołości i ochoty. Radośnie służymy Polsce, czemużbyśmy pieśnią żołnierską nie mieli jej chwalić?...

CZAS DO DOMU, CZAS

Czas do domu, czas!
jutro zwolnią nas!
Już zatrąbią lada chwila:
— Hajda, chłopcy, do cywila!
Zdejm broń i pas...
Czas do domu, czas!

Lśni bagnetów stal...
Ejże, pułku żal!
Gdy zatyją w sadle kości,
żał nam będzie, żal młodości,
co ucieka w dal...
Ejże, będzie żal!

Ten, kto zuch, nie kiep,
nosił w górę łeb;
z kolegami się ćwiczyło,
szkoda, że się już skończyło.
Szedł na zdrowie chleb —
przyznaj, gdyś nie kiep!

Znajdziem pułku ślad
i za dziesięć lat!
Staniem znów w żołnierskim szyku:
Czołem, panie pułkowniku!
Každy będzie rad,
że jest jeszcze chwyt!

Antoni Bogusławski

OSTATNIE DNI W WOJSKU

— Jak też ten czas leci — odezwał się Kuba korzystając z przerwy w ćwiczeniach i zapoczątkowując od niechcienia codzienne żołnierskie gawędy. Jeszcze nie tak dawno jak szedłem z kuferkiem do pułku, a tu już minęło półtora roku i znowu człek swój skromny tobołek dźwigać będzie.

— Szkoda ci wojska? A może chcesz zostać w nim do śmierci? — wtrącił Jędrak, wykpisem powszechnie w kompanii zwany.

— Może i szkoda. Służba w wojsku jest twarda, to prawda, ale jakżeby z takiej gromady chłopów zrobić karnych i posłusznych obywateli umięających w szeregu stać, rozkazy rozumieć i nieprzyjacielowi pięść pokazać?

— Prawisz jak proboszcz na ambonie. A bo to źle ci było w chałupie bez wojska?

— Dobrze nie było. Jak teraz wrócę, muszę się zająć gospodarką porządniej, to i owo poprawić, zapisać się do kółka rolniczego, pogadać z sołtysem o założeniu spółdzielni. Przydałaby się również świetlica, chciałoby się wieczorami...

— Z dziewczętami potańczyć — zaśmiał się któryś z gromadki.

— To też, ale i ciekawsze sprawy miałbym w świetlicy.

— Jakie? — zapytało kilku.

— Alboż to mało słyszeliście od oficera oświatowego? Nie pamiętacie o Lidze Obrony Powietrznej Państwa? Trza chłopów nauczyć jak ma postępować, aby się obronić przed atakiem gazowym.

— A bo ci to uwierzą? — zapytał Staszek Gruchała, co to w tym roku z rocznikiem nastał do pułku.

— Myślę, że uwierzą. A jakby nie, to będzie nas kilku z tego rocznika i z dawniejszych, to założymy kółko rezerwistów i zaczniemy pouczać starszych.

— A co to za kółko rezerwistów? — zapytało kilku.

— Bójta się Boga, chłopcy! Czyż tego nie wiecie? Przecież mówił na wykładzie porucznik, że żołnierz, jak

z wojska wyjdzie, to też musi być zawsze w pogotowiu i od czasu do czasu powtórzyć to, czego się nauczył w pułku. Dawniej to przecie nasi dziadowie służyli przez kilkanaście lat w wojsku, a my teraz tylko przez kilkanaście miesięcy. Więc jak z wojska nas zwolnią, trzeba w gromadzie żyć i wojskowej służby nie zapomnieć. A na to jest właśnie związek rezerwistów.

— Ale przeciesz karabinu nie weźmiesz do chałupy? — wtrącił któryś.

— Ani munduru, ani plecaka — dodali inni.

— Wiadomo, że nie wezmę. To, co teraz mamy, jest własnością państwa i wszystko musimy oddać według spisu. Ale wojsko ma też taką broń i ekwipunek polowy, które wypożycza organizacji dla jej członków, kiedy chcą się ćwiczyć i powtarzać naukę służby polowej. A jak jest we wsi taka organizacja, to sobie można rozłożyć ćwiczenia na dni świąteczne i na porę wolniejszą od zajęć rolnych.

— No, ale ja wam tu prawie, a zaraz się przerwa skończy i pomaszterujemy. Nasz porucznik już idzie.

— Powstań, zbiórka! — rozległa się komenda.

Żołnierze poderwali się z miejsc i żwawo stanęli na drodze w kolumnie, gotowi do marszu.

Minęło dni kilka. Pułk wrócił do koszar i nastał wreszcie dzień zwalniania rocznika. Nadeszła godzina zdawania wojskowych rzeczy.

— Panie szefie, ktoś mi koc zamienił. Mój był prawie nowy.

— A gdzieście byli? Ja wam będę koca pilnował? Idźcie i poszukajcie.

Nasz Kuba nie miał takich kłopotów. Gdy przyszła kolej na niego, ułożył wszystko w porządku, prze-

liczył i zapytał szefa, czy mógłby na chwilę skoczyć do świetlicy i zobaczyć się z kierowniczką świetlicy.

— A to idźcie, tylko nie włączyć się po koszarach, bo zaraz dowódca kompanii nadejdzie i zbiórkę ma zarządzić.

Skoczył Kuba żwawo do świetlicy, zasalutował i przypomniał kierowniczce, że mu obiecała adresy dać i parę książek.

— Słuchajcie, Kuba — powiada kierowniczka — tu macie adres najbliższego koła Ligi Morskiej i Kolonialnej. Napiszcie do nich, to wam podadzą bliższe informacje, jak urządzić wycieczkę do Gdyni. Możecie ich również zapytać, czy w drodze powrotnej nie mogłaby wycieczka zawadzić o Górny Śląsk i Kraków. Bardzo się cieszę, że z was taki pełen zapału żołnierz. Chętnie też wam odpiszę na każdy wasz list, a czym będzie można, pomogę i poradzę. Tutaj na drogę daję wam parę książek o organizowaniu świetlic i kółek teatrów amatorskich na wsi, a tu znowu macie pouczenie, jak zakładać spółdzielnię wiejską.

Gdy Kuba wrócił do kompanii, zbiórkę już zarządzono. Wkrótce gotowi byli do odmarszu i z muzyką pułkową ruszyli z koszar.

Na dworcu czekała ich niespodzianka. Na peronie stał oddział w mundurach ze sztandarem. To miejscowy umundurowany oddział rezerwistów przybył, aby ich powitać w imieniu rezerwistów i pożegnać na dalszą drogę.

Nadeszła chwila odjazdu, pociąg wolno ruszył. Orkiestra pułkowa zagrała im ulubioną w pułku piosenkę. Wszystkim łyzy się zakręciły w oczach, a Kuba wspominał, jak to niesłusznie półtora roku temu z drzeniem i strachem na tej samej stacji wysiadał. Wstyd

mu było za siebie i tęsknica jakaś wdzierąca się do serca. Zdawało się, że opuszcza dom rodzinny na zawsze.

— Nie — myślał — ja nie zapomnę o oddziale. Ja z wami chłopcy, a jak Bóg da, to na święto pułku przyjadę.

— Bywajcie, koledzy — krzyczał — Kuba rezerwista mówi wam tylko dowidzenia, bo myślą zawsze będę z wami. Niech żyje pułk!

CZUWAJMY!

Czuwajmy...

głos się niesie daleko po nocy. Wołanie wołaniu jak echo odpowiada...

To obwołują się strażę na murach zamkowych.

Czuwajmy...

woła, widna między blankami murów, postać w blachy zakuta.

Czuwajmy...

odpowiada jej inna, po tamtej gdzieś stronie skalnego zamczyska.

Cisza...

Tylko jasność księżyca uderzy błyskiem po zbroi stalowej, zaświeci na toporze halabardy, tylko żelazo zachrzęści od chodu ciężkiego rycerzy na wartach, tylko puszczyk zakrzyknie z głębi murów.

Czuwajmy...

Tak to nawoływały się strażę w odległych, minionych czasach obchodząc mury dokoła, czuwając wśród nocnej ciemności nad snem mieszkańców zamku lub miasta warownego.

Minęły czasy odległe, zamczyska legły w ruinie, mury straciły swą moc... Innych dziś trzeba straży.

Nad niezmiernymi ziemiami Rzeczypospolitej Polskiej nie zmiłkły jednak głosy słyszane za dawnych lat...

Cz u w a j m y ...

leci wołanie od krańca Polski do krańca, ponad łąkami zbóż, ponad cichością lasów, ponad rozgwarem miast...

Od morza polskiego do Tatr — od śląskich hut aż na kresy...

Cz u w a j m y ...

To niemilkące obwoływanie się wart na K. O. P.-u granicznych strażnicach.

Lecz nie jedyna to straż, co czuwa nad Polski spokojem.

Cz u w a m y ... Harcerze i Strzelcy, Rezerwiści i Przystosowanie Wojskowe i Liga Obrony Powietrznej Państwa, z naszych obozów ćwiczebnych, z naszych świetlic i zebrań i grup...

Cz u w a m y ...

nad granic naszej ziemi całością —

nad państwa wielkością i siłą,

nad polskiej kultury rozwojem,

nad pracą i snem naszych rodzin,

nad dzieci polskich nauką.

Nad ciszą żołnierskich grobów

i nad wrzawą nowego życia —

nad Polski wieczystym jutrem —

Cz u w a j m y ...

Wrogów zewnątrz i wewnątrz jest wielu, niech nie brakuje nikogo do straży...

Cz u w a j m y ...

SPIS RZECZY

	str.
NASZA OJCZYZNA	
Kim jesteśmy	3
Nasze wielkie gospodarstwo — Polska	7
Piękno Polski	11
Frontem do morza	20
O Gdańsku	25
NASZE GRANICE i NASI SĄSIEDZI	
O naszych sąsiadach	31
Za wschodnią granicą	35
Dlaczego Józef Gawęda był dumny ze służby w K. O. P.-ie	38
Cztery pory roku żołnierza K. O. P. — wiersz	42
Ułan z Grudziądza	43
Czechosłowacja	47
Na granicy litewskiej	50
Łotwa i Rumunia	53
Patrol — wiersz	58
ŻOŁNIERZ i OBRONA PAŃSTWA	
Maciek Kowalski dostał wezwanie do wojska	61
Do brata rekruta — wiersz	66
Przysięga	67
Przysięga — wiersz	71
Czego się młody żołnierz od starszego dowiedział	71
Tajemnica wojskowa	75
Nasz szef kompanii	78
Karabin — wiersz	81
Zdobywamy P. O. S.	83
Jakie wojsko zwycięża	87
ŁUDNOŚĆ POLSKI	
Ilu nas jest?	91
Polacy zagranicą	96

ROLNICTWO	<i>str</i>
Polska — kraj rolniczy	105
Jak u siebie gospodarował Józef Balon	112
Osadnictwo polskie na kresach	117
Lasy — bogactwo państwa i narodu	119
Grzegorz Adamiak buduje nowy dom	123
Hej, żeby tak... — wiersz	128
GÓRNICTWO i PRZEMYSŁ	
Rzemiosło a przemysł	131
W kopalni węgla kamiennego	134
W hucie żelaznej	139
O przemyśle włókienniczym	143
Chorzów i Mościce	145
KOMUNIKACJA	
Nasze drogi wodne	153
Przez Gdynię	156
Koleje żelazne w Polsce	161
O pocście i komunikacji	166
Głos ze świata	170
L. O. P. P. — Lot	173
HANDEL i GOSPODARKA PIENIĘŻNA	
Handel zagraniczny Polski	181
Co to jest spółdzielnia	184
P. K. O.	190
USTRÓJ PAŃSTWA	
Rząd i samorząd	195
Co wójt, ojciec starszego szeregowca Jasińskiego, opowiada o samorządzie swojej gminy	200
Policjant Ostrowski na służbie	204
Prawa i obowiązki obywatela	209
W stolicy	212
Rzeczpospolita — wiersz	216
Ignacy Mościcki Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej	217
Sejm i senat	221
O sądach	226
OŚWIATA i KULTURA	
O polską szkołę powszechną	231
O czytaniu książek	235
W świetlicy	238
Zaproszenie do Domu Żołnierza — wiersz	241
Dom Żołnierza	241
W Muzeum Narodowym	248
Na Wawelu	251

Z DZIEJÓW WOJSKA POLSKIEGO

	str.
Dawne wojsko polskie	257
Śmierć Kościuszki — wiersz	261
Powstańcy 1863 roku	262
Wspomnienie rannego — wiersz	266
Jak powstało dzisiejsze wojsko polskie	267
Białe róże — wiersz	271
Do Pierwszej Kompanii Kadrowej	274
Pod rozkazami Komendanta przed 20-tu laty	274
O Pułkowniku Lisie-Kuli — wiersz	280
W dzień 11 listopada...	282
Trzy Maryje — wiersz	285
Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski (1867 r. — 1935 r.)	286

NA STRAŻY WOLNEJ OJCZYZNY

Wódz Naczelny, Marszałek Polski Edward Śmigły-Rydz	299
O cnotach żołnierskich	308
Zły i dobry kolega	312
O godność munduru	314
Piosenka żołnierska	318
Czas do domu, czas — wiersz	320
Ostatnie dni w wojsku	320
Czuwajmy!	324





32247/
2